





250  
263  
268  
272





Z CYKLU:  
CZARNE SKRZYDŁA

MATEUSZ BIGDA

1. GRUNT
2. MASŁO
3. SPIŻARNIA

MATEUSZ BIGDA  
SPIŻARNIA

# JULJUSZA KADENA-BANDROWSKIEGO

U K A Z A Ł Y S I Ę:

- Niezgula*, powieść, Lwów 1911, wyczerpane.  
*Zawody*, nowele, wyd. II, Warszawa 1922.  
*Proch*, powieść, wyd. II, Warszawa 1921.  
*Zbytki*, nowele, Kraków 1914, wyczerpane.  
*Piłsudczycy*, wyd. IV, Warszawa 1932. Nakł. Kadry.  
*Iskry*, Wiedeń 1915.  
*Bitwa pod Konarami*, Wiedeń 1915.  
*Mogily*, wyd. II, Lublin 1916, wyczerpane.  
*Spotkanie*, nowele, Warszawa 1917, wyczerpane.  
*Łuk*, powieść, Warszawa 1929, wyd. II.  
*Wyprawa Wileńska*, Warszawa 1919, wyczerpane.  
*Podpułkownik Lis-Kula*, wyd. II, Warszawa 1919.  
*Wianki*, Warszawa 1920, wyczerpane.  
*Wiosna 1920 roku*, Warszawa 1921, wyczerpane.  
*Rubikon*, nowele, Warszawa 1921.  
*General Barcz*, powieść, Lwów 1930, wyd. II.  
*Wakacje Moich Dzieci*, nowele, Warszawa 1924, wyczerpane.  
*Przymierze Serc*, nowele, Zamość 1930, wyd. II.  
*Miasto Mojej Matki*, Lwów-Warszawa 1928, wyd. III.  
*W Cieniu Zapomnianej Olszyny*, (Z cyklu: Miasto Mojej Matki), Lwów-Warszawa, wyd. II.  
*Europa Zbiera Siano*, Lwów-Warszawa 1927.  
*Nad brzegiem Wielkiej Rzeki*, Lwów - Warszawa 1928.  
*Rzymianie Wschodu*, Warszawa 1928, nakł. Sekcji Bibliofilów Pol. Uniw. Warsz.  
*Na Progu*, Warszawa 1928, Gł. Księg. Wojsk.  
*Lenora* (Z cyklu: Czarne Skrzydła), Lwów-Warszawa, wyd. II.  
*Tadeusz* (Z cyklu: Czarne Skrzydła), powieść, Lwów 1929.  
*Stefan Zeromski*, Lwów 1930.  
*Trzy Wyprawy*, Lwów 1930.  
*Pióro, Miłość i Kobieta*, Warszawa 1931.  
*Za Stołem i na Rynku*, Lwów 1932.  
*Aciaki z I-szej A*, Lwów 1932.  
*Mateusz Bigda* (Z cyklu: Czarne skrzydła). I. Grunt. Warszawa 1933.  
*Mateusz Bigda* (Z cyklu: Czarne skrzydła). II. Masło. Warszawa 1933.



JULJUSZ KADEN-BANDROWSKI

MATEUSZ BIGDA  
SPIŻARNIA

INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-250 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

WARSZAWA – 1933

---

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ”

<http://rcin.org.pl>



N<sup>o</sup> 

Zakł. Graf. B. Wierzbicki i S-ka, Warszawa, Chmielna 61.

<http://rcin.org.pl>

89

## Rozdział I.

### Świt w Lachowicach.

— A czemużeś się tak podwinął! — rzekł Bigda, sadowiąc się jeszcze wygodniej w Rols-Rojsie. — Zawsze się tak podwiniesz! — Bigda rozsiadł się roztropnie i systematycznie. Wyłobił sobie lekkimi kopnięciami drogę dla nóg. Rozpracował miejsce dla swoich boków. Dokonawszy tej pilnej roboty, opadł na poduszki.

Kos, Gruszka i Deptuła dziwili się niemało. Wiadomem było przecież, że i tak dwóch wysiądzie niebawem, przy pewnej cukierni, gdzie oczekiwać miało jeszcze inne auto, nieco gorsze, wypożyczone, ale bardzo porządne, wypożyczone na tę okazję przez jednego z bańdziochów przemysłowych.

Strzęgorz chciał „udzielić“ tym zmówionym ludowcom maszyny z Ordynacji. Nie zgodzili się na to ze względów politycznych. Na układy takie każdy jedzie na swoim.

Gdy przybyli pod ową cukiernię, z której przez oświetlone liście bluszczu buchały dźwięki muzyczki, Bigda się nie poruszył nawet. Kiedy się raz wygod-

nie usadowił, to już tak trwał, mogliby sobie łby porurywać, — nie zmieni już pozycji. Zapchał nogi w kąć przeciwległy i siedział, wyprostowany, sztywny, jak nieboszczyk.

Wysiedli Gruszka i Kos. Rozumiało się samo przez się, że nie Deptuła. Deptuła, główny ewangelista, musi pozostać z Bigdą. Gruszka i Kos musieli przejść do tamtej limuzyny. A tu tymczasem z połyskliwej ciemności Rolls-Rojsa rozlega się głos Bigdy:

— Obmyślcie sobie jeszcze, co byście tam mogli mieć do obmyślenia, żeby już potem, po wszystkim, nie było się zanadto czemu dziwić. No, — już.

Kos i Gruszka usiedli w tamtej limuzynie. Czekali, póki nie ruszy pierwsze auto Bigdy. Lecz Bigda na nich czekał. Raz dlatego, że chciał jechać ostatni, nie krępowany żadną kontrolą, po drugie, — potrzebował teraz dla siebie jaknajwiększej swobody czasu.

Wszystko, co się w Lachowicach rozegra, było Mateuszowi wiadome, choć nie wiedział, na co się ma szykować, lub przeciw czemu zbroić. Wiadome były wszystkie podchody ludzkie. Dlatego właśnie pragnął, ażeby mu przez drogę jaknajwiększa niewiadomość towarzyszyła. Dobry gospodarz zawsze przecie tak robi: — gdy jedno mu pracuje, drugie znów odpoczywa. Gdy zaś drugie pracuje, to niech pierwsze wyprzagnie. Tak już to sobie przyrzekł, a teraz ogromnie dobry był, — przed ciosem i przed skokiem, i przed postanowieniem ostatecznym, przed owym kompromisem — przed tem wszystkim. Tak był dobry, że mogliby Kos, czy Gruszka poprosić

o sto złotych, — dałby. Tak był w tej chwili dobry, miękki i zacny. Dlatego nogi srogo przed siebie wyciągał, aby nie zmiarkowali przypadkiem tej dobroci.

Gdy stary Gruszka znalazł się w tamtej limuzynie, — aby nie zmiarkowali, przypomniał sobie Bigda, czy zrobili, jak mówił, aby żaden ze sobą nie brał kuferków i nic do przebrania.

Kos, idjota, chciał, żeby każdy zabrał z sobą chłopski strój, swojej ziemi. A znów Lachowscy ażeby wystąpili w kontuszach. Taki będzie widoczny triumf chłopskiej sukmany. Oto, jedna teoria. Druga, aby, — to już znów Ciarach rozkoszny, — aby jeśli tam będą ucztowali, — niech ucztują we frakach, czy w smokingach, niby, że Europa współczesna dla wszystkich taka sama i co komu do tego?!

Na to Bigda powiedział takie chamstwo, że już się więcej nie mówiło o stroju. — Chcesz się ubierać, — dodał po swem dosadnem słowie Bigda, — to se koszule wypierz, nogi umyj, buty dobrze wypucz. Każdy jedzie, jak stoi!

No więc tak pojechali, dzięki czemu nowa czarna czamara posła Gruszki, ad hoc na uroczystość lachowską zamówiona, pozostała w Warszawie. Czamara, aczkolwiek księża trochę a trochę znów szlachecka, miała dla posła Gruszki znaczenie taktyczne. Niby, że wszyscy liczyć będą na szlacheckość Czamary, z powodu czego jeszcze lepiej wyjdzie historyczne a zarazem ludowe przygotowanie posła Gruszki, które miało się sfruktyfikować w Lachowie tak, aby hrabiom odrazu w pięty poszło.

— Pamiętajcie, panowie, — syknął Bigda, — niema żadnych kuferków, ani sztafirkowania!

Gruszka, nie dosłyszawszy, wysiadł, przebiegł przez jezdnię do okna z pytaniem, o co chodzi?

Na to Bigda, bo wiedział przecież, że nie mieli z sobą kuferków, już nie powrócił do tej sprawy, tylko, — dlatego lubił Gruszkę, że go do takich łatwych wzruszeń dało się zawsze użyć, — rozmigdał się mówiąc: — No i patrz, Gruszka, co się z tobą dzieje? Gdyś był młody, to cię panowie bili. Ojca swego pamiętasz, batami smaganego, a znów teraz popatrz tylko?! Jedziesz sądzić tych samych panów! Popatrz się Gruszka na te sprawy i pomyśl trochę o nich, jak to umiesz, gdy chcesz.

Gruszka na to, — umiał takie brewerje tworzyć, jak nikt w chłopskim obozie i może w całym sejmie, — wsadza swój siwy łeb przez okienko Rolls-Rojsa. Rozgląda się przez chwilę po aksamitnem wnętrzu i zatrzymuje sobie rękę Bigdy na głowie, jakby się tym dotykiem pragnął utwierdzić w nowej wierze. I we wdzięczności nowej. Podziękowanie nestora ruchu ludowego!

Było zrobione, że choć Deputa, na poduchach przy Bigdzie siedzący, wiele miał z Bigdą teraz otwartych porachunków, — doznał również uczucia wdzięczności. A przecież skąd i za co, do tego jeszcze teraz, po wczorajszej mordowni!?

Ostatecznie ruszyli, tamto auto szarpnęło pierwsze z Gruszką i z posłem Kosem. Wóz z Bigdą i Deputą znacznie wolniej za tamtymi posłami.

— Widzisz, jedziemy nakoniec, — rzekł Bigda. Bardzo mu się przydała ta ceremonia Gruszki, bo

i uspokojenie sumienia i — każdy człowiek potrzebuje choć krzyny nabożeństwa. Zamiast żeby miotać się w nagłych myślach o córkę, czy też raz jeszcze przypomnieć Ludwikę, czy dla uspokojenia mienie swoje przeliczać, mógł się Bigda przez chwilę darmo pobawić swą świętością. I właśnie już w tem zacnem przeświadczeniu o sobie, rzekł do Deptuły, gdy przez most przejeżdżali:

— Rzekę znów przejeżdżamy.

Wiadomem było obu, że droga do Lachowa musi przez rzekę prowadzić. Skoro Bigda wspomniał o tym fakcie, to nie żeby to była niespodziana nowość, lecz gwoli uwypuklenia jakiejś duchowej alegorji.

Tak rozumiał Deptuła. Dlatego wychylił się przez okno, by popatrzeć na widok: — żelazne kraty mostu, łątane ogromnemi kwadratami rozmigotanej wody rzecznej i puszystego nieba. Puszyste było, mimo, że w cieniach nocy pogrążone. Miało w sobie drżące, dalekie miejsca wklęsłości, z których jakby wylatał puch, trochę jaśniejszy, niż ciemność nocy. Deptuła cofnął się od okna i zaczął przypominać Bigdzie, jak szli tędy niedawno na drugi brzeg do karczmy żydowskiej i co tam wtedy jedli i ile wtedy spraw dokładnie obgadali.

Bigda nie słuchał. Okazało się zaraz za mostem, że Mateusz już śpi. Zaczynał nawet chrapać. Może to był i zaszczyt siedzieć tak blisko od owego chrapania, może Gruszka, czy Kos daliby za to wiele! Deptuła jednak cierpiał ogromnie z powodu tych odgłosów. Cierpiał ogromnie, ponieważ gryzła go w tej chwili i to nawet nie sprawa Lolki Romek, — lecz ich złamana przyjaźń, Bigdy, Deptu-

ły. Przyjaźń tak dawniej pewna, teraz niepewna, pomiędzy którą leży ponury cień, przyjaciele zaś cierpią nad tem, nic poradzić nie mogąc...

Bitki, duszenie, — to nie jest załatwienie takiej sprawy! Pośród straszego chrapania Mateusza, здавало się Deptule wyraźnie, namacalnie niejako, że prowadzony rykami, wyciem, skrzeczeniem i charkotaniem przyjaciela, wnika w ukryte wnętrze, już w samo wnętrze Bigdy. Dostaje się z łatwością, dokąd za dnia nie mógłby się przedostać... Jakby Deptuła zwiedzał ukryte zawsze i zazdrośnie strzeżone sprawy mateuszowe.

Rolls-Rojs nawet po kiepskiej szosie jedzie cicho i płynnie, że go prawie nie słyhać. Słyhać zaledwie obecność mechaniki, nie wyrażonej nigdy wyraźnem dygotaniem. Wyborna karoserja łagodzi jeszcze ową subtelną obecność maszynerji.

A teraz w wybornym obrocie lokomocji, — ryk dziki, trący się takim zgiełkiem w gardzieli! To znów przeciągły i niby konający, niemiłosiernie jednolity, to znów, jakby przedęty, stroskany wrzask niemowy. W porwanych nurtach potwornego rozgłosu zatracił się Deptuła. Grażył się w wrzaskach i topił, to znów obijał, — niczem o urojone granice, brzegi Bigdy, tłukł się wśród onych brzegów z takim bólem i jeszcze dalej zapadał w nieznanne głębie oddechu przyjaciela.

Śpiący Bigda ogromnym ciężarem opadał na Deptułę, gniotąc boleśnie. A tu mijają po obu stronach drogi cisze nocne, precudne, to jeszcze lasy szeleszczą zadyszany oddechem rozpylonego sre-



bra, to znów miasteczko przewieje strome, białe popółstwem powyginanych ścian.

Bigda spoczywa na Deptule, jak trup na żywym człeku, dławi, ugniata, miażdży. Deptuła głowę wywija z pod ciężaru i znów spoziera w kamienne oblicze przyjaciela. Gdy Mateusz umrze, będzie chyba wyglądał nie inaczej. Kto mu podwiąże szczękę, aby nie opadała, jak teraz? Ciarach to robi, Ciarach, przypomina sobie Deptuła. Przypomnienie rzeczy dopiero teraz pomyślanej przywodzi na myśl ich wszystkie sprawy Bigdy z Deptułą, — tyle ich jest!

Nie rachowali się pomiędzy sobą. Ale w wyniku nieuczynionych nawet rachunków, przypomniał sobie Deptuła, co przeprowadził w czasie tych kilkunastu minut, gdy byli sami... Kiedy Bigda jadło dla siebie kupował w wędliniarni. Wtedy to natchnął Deptuła, wiedziony nagłym niespodziewanym błyskiem postanowienia, — natchnął delegację lachowską, Gruszkę i Kosa, by się orzekli w rozmowach lachowickich a ostatecznych już — za Bigdą, niby jako za przyszłym prezydentem...

Poniosło tak Deptułę niespodzianie, czy dawniej o tem myślał, a teraz wystrzeżiło z myśli?... Chciał tego, czy też nie chciał, pragnął, czy mścił się teraz na Mateuszu, sam nie wiedział... Przy takiej konstrukcji, jaką wygotowali uprzednio, dawniej w sejmie, prezydent, chociażby i sam Bigda, — no, — to jest człowiek w kaftanie bezpieczeństwa. Ale zaszczyt! Będzie miał Bigda zaszczyt! Deptuła wspomniał teraz radość skwapliwą Kosa i czcigodnego Gruszki, wobec powyższych planów. Zgięty pod dojmującym ciężarem Mateusza przeraził się Deptuła naglej

myśli: że odwozi do Lachowic nie Bigdę, nie lidera chłopskiego, ale martwego dostojnika.

— Obudź się Mateuszu! — wrzasnął prosto do ucha Bigdzie. Przeraził się był bowiem i wystraszył ogromnie. Kochał tego twardego człowieka, jedyne-go, który tak czytać umiał w wszystkich myślach podstępnych, przewrotnych i kłamliwych.

Obudzić Mateusza nie jest rzeczą potoczną. Szarpanie i terpanie nie zda się tutaj na nic. Nieprawda też, by można obudzić Bigdę znanym sposobem ściskania za wielki palec stopy. Deptuła posiadał własny dobrze wypróbowany sposób. Naciśkał blizny stare na udach Bigdy, blizny po owych szpilkach od włosów, co go to niemi dziwki podczas żniw pokłuły. Pod bliznami zbiegały się widocznie nerwy, noga drygała w górę, — Bigda musiał się wtedy przebudzić.

Obudził się i teraz. — Gdzie jesteśmy? — zapytał, przecierając oczy z dosyć szczególnym młaskotem miętych powiek.

Deptuła nazwał okolicę.

Noc była czarująca, jedna z tych nocy wielkich, pysznych, rozdzwonionych, księżycowych i wonnych srebrzystą tajemnicą; z tych nocy, o których powiadają najlepiej zakochani: — patrz, jaka noc!

— O czemże myślisz? — zapytał nagle Bigda.— Bo ja o niczem.

— W takiej chwili nie myślisz o niczem!? — Deptuła odmalował Mateuszowi chwilę dzisiejszą. Istotę całej sprawy od szumu auta, od zbiegu potocznych okoliczności i skuteczków i przyczyn małych

i znowu większych i największych poprzez całe ubiegłe czasy długich pięciuset lat.

Przez pięćset lat ściskali chłopów tutaj za gardło, — nie znasz historii prawa, Mateuszu, — ściskali tak za gardło, że wkońcu z ludzi było porobili. Kraj cały upadł przez to. Nietylko kraj, oblicze Europy — a tu przyroda dzwoni w młodziutkich zbożach... — Oblicze Europy odmieniło swój wygląd przez chłopską sprawę polską. Wykreślono z powierzchni Europy ten kraj — gwarzył Deptuła — dla przywileju szlacheckiego bratobójstwa.

Bigda zaczął się. Nie lubił, kiedy Deptuła wpaadał w takie natchnienia. Zwłaszcza zaś historyczne. Cóż się w tem kryje znowu?... Słuchał dalej, co tu Deptuła rozpowiada. Deptuła prawi, że oni teraz we dwóch to naczynia historii, naczynia i symbole.

A cóżto znów za oszukaństwo, — zdrowy człowiek — symbolem?!

— My tu jesteśmy we dwóch — prawi dalej Deptuła, — naczynia i symbole jedyne sprawy chłopskiej. Ty jesteś pierwszy tutaj, — Bigda. Cóż ja? Jestem doradcą dobrym, wiernym.

Bigda: — Nie skarzę się, bynajmniej.

— Bo cóż historia, — prawi jeszcze Deptuła. — Historia, to zbieg rzeczy, — ludzie, — odpowiedzialność, a oprócz tego, tajemna aura...

Powiedzenie powyższe przepróbował Bigda w potężnych szczękach. Wyrzekł po chwili:

— Cóż mi tam gadasz, okoliczności, albo też, — zbiegi rzeczy?! Wszyściutko znaczą ludzie. Ludzie są tacy sami zawsze. Jeden będzie ci ciągle wierzył w historję, cuda, w jakieś aury tajemne. Drugi w nic,

oprócz siebie. — Bigda wyciągnął z bocznej kieszeni płaszcz kromy chleba, przełożone siekaną kiełbasą i począł jeść, nie częstując Deptuły. — Ludzie tak samo żarli, pili, tylko powtarzam zawsze, że mścić się nie umieli. Różni się, zamiast prawo przetapiać jak najprędzej.

Zapadło znów milczenie, w którym słyhać było wytworny bzyk motoru i ciężki chrobot twardych bigdowych szczęk. Droga nie była teraz pusta. Pomiędzy miasteczkami strzępił się ruch ponocny, bezsenna bieda niosła się z kąta w kąt, na wozach chłopi, baby okutane, stare brodate żydy a konie w świetle potężnych reflektorów, niby ruchome sino-czarne szkielety o połyskliwych oczach.

Deptuła czekał cierpliwie póki się nie doczekał, że Bigda odkręca na dół szybę okna, porusza się, gramoli i wystawia głowę na błogi przeciąg nocy. Co mu tam chodzi po głowie, pewno o córce myśli, o Zośce, jej małżeństwie. Czy też myśli o władzy? O Lachowie, o przyszłych rządach?

Deptuła zaniepokoił się. Nie dobrze bowiem, by o tych rzeczach myślał tu Bigda sam. Zdaleko umyśli i już potem nikt tego znowu nie odwróci. Teraz, — teraz!... Zebrał się w sobie Deptuła, ukropem to przez niego przeleciało po same końce palców. Podstęp podstępem, nienawiść nienawiścią, a znów miłość miłością. Jedno, drugie i trzecie razem, sformowane w takiej pokusie pięknej: Mateusz prezydentem!...

Teraz mu to podrzucić, popatrzeć, jak się przyjaciel zachwieje nad przepaścią. Gdy runie w nią uciechą będzie wielka i żałość taka sama. Tak się

to żyje, działa i pracuje z tym Bigdą od przepaści ku drugiej, jeszcze większej przepaści. Deptuła ją pociągać ku sobie Mateusza. Ujmował go za ramię, pulchną rękę pod plecy mu podłożył, — dziwaczne, osobliwe objęcie: w równo jadącym wozie takie ściśle, jakgdyby przed zabójstwem, — czy też wyznaniem najwierniejszej przyjaźni.

— Ty, Bigda, Mateuszu, — szumiał Deptuła prosto do ucha Bigdzie, — powiem ci rzecz, której od lat tysiąca nikt nie powiedział na tej ziemi chłopu. Zostaniesz głową państwa. To ty zostaniesz, boś się na to urodził. Gdy się *tam* znajdziesz teraz, to już będziesz na wieki. I w papierach największych i w kolejce najpierwszych ludzi. Tego nikt z ciebie nigdy nie wymaże!... — Czoło przychylił do rozłożystych piersi Bigdy, jakby go chciał na rogi brać w tej chwili. Bigda zastygł bez ruchu w objęciu przyjaciela. I tak jechali przez dosyć długą przestrzeń, wielki, kościsty Bigda w tłustych ramionach Deptuły, któremu ze wzruszenia, — mimo, iż chłód trwał na wiosennych polach, — aż pot spływał ze skroni. Gdy w las wjechali wysunął się powoli Bigda z owych objęć serdecznych.

Olszyny ćmią niebieskiem srebrem, na młodych dębach osiada biel księżyca, wszelaki liść skapuje wzruszoną rosą nocy — a Bigda nic. Chcą cię zdradzić, — słyszy to w swoich uszach, choć jeszcze nie pomyślał. Więc odpowiada:

— Zostanę prezydentem, ale ty, zostań Bigdą. To jest, rozumiesz, zostań aniołem stróżem prezydenta. Ty wiesz, jak ja to myślę: żebyś siedział na przeciw mnie...

Deptuła, przyczajony w oddechu i przyczajony w wszelkiej swojej wiedzy, powiada skromnie: — Owszem.

Poprawili się obaj w wozie. Deptuła usiłował oddychać jaknajrówniej, by się nie zdradzić żadnym gestem. Dokądże jeszcze dalej, dokądże jeszcze wyżej można się zawlec w dobrej, wygodnej skórze przyjaciela?!...

— Zostaniesz głową państwa — mruczy Deptuła. — Pierwszy człowiek w narodzie.

Bigda wzruszył się bardzo tym pomysłem, aż dyszec zaczął głośno. A potem znów powiada, wcale nie płaskim, żywym, piersiowym głosem: — Nie mówmy teraz o tem.

Minęli większe miasto. Na dalszej drodze ziemia przybrała jeszcze piękniejszych woni i cieniów i rozlicznych, błahych uroków nocnych. Zaczynały się stare włości lachowskie, bezmierne ziemie wieczystej ordynacji.

Tu urodził się Bigda, jako drwal młody pracował tu w młodości i do rozumu doszedł, — z którym powracał teraz. — Wyjść z niczem, dorobić się i powracać na miejsce pierwszych kroków z starym, męskim rozumem, to właśnie jest Ojczyzna.

Tego słowa nie przepowiadał w sobie Mateusz nigdy. Tylko je czuł, jak dzisiaj, niby z za głuchej ściany ważne jakieś stukanie, chociaż wielce bezsilne. A tutaj właśnie leży i wszędzie czeka biedna, stara ojczyzna. Zatrzymał auto, kazał jechać powoli naprzód, przed miastem Lachów, na skrzyżowaniu dróg zaczekać. Sam ruszył pieszo, przez las, potem

miała go droga prowadzić naprzelaj, lachowskiemi miedzami.

Szedł piechotą. To dobre jest, — przed taką walką i przed takim spotkaniem i pośród takich planów i niby chyba, że już na skraju najważniejszego losu, — dać się przewietrzyć ojczystemu powietrzu. Szedł prędko, aż się spocił pod ciężkim, grubym płaszczem. Zdjął ten płaszcz i zarzucił go sobie na plecy. Gdy uszedł jeszcze dwa kilometry, usiadł opodal leśnej drogi na kupie kamieni. Wytchnął.

A tu powietrze stoi ciche, noc upływa bezgłośnie.

Bigda wytchnął i ściągnął buty. Ściągnawszy je, poodwijał onuce. I znowu się zamyślił, ale nie własną myślą, lecz nocy tej i tutejszego świata, myślą swojej ojczyzny. Stara była i wątła ta myśl, lecz dosyć tkliwa. Ba, — odpoczywał sobie. Niech tylko ludzi żadnych blisko nigdzie nie będzie, — to Bigda odpoczywa. A jeszcze, kiedy dalej ruszył boso! Dobry jest dotyk ziemi, gdyż chłód po ciele rozprowadza, jak spragnionemu zimne słodkie mleko. To dobre jest, ale jeszcze ważniejsze: bose stopy, duckające po ziemi. Słuchał jednej i drugiej. To on Bigda tu idzie, czyli główna ojczyzna kroczy po ściółce leśnej. Radości z tego żadnej, ale spokój!

Bigda idzie!

Zestraszył się, gdy sobie to pomyślał: Bigda idzie! — Inni muszą wykręcać, zakręcać, przeinaaczać i zmawiać się, wymyślać. On zaś wcale nie myśli, ale gdy wie, że mu się palce jednej i drugiej stopy rozczapierzają na mokrych śliskich mchach...

Gdy wie, że jego pięta w równych cierpliwych krokach miażdży suche patyki, — wie wszystko inne...

Czy tak szedł długo, krótko, — sam nie wiedział. Miał teraz czas dla wszystkich swoich spraw, czas, — to są mocne pięty Mateusza.

Żona Ludwika i córka Zośka i Stanisław Mieniewski i Lachów i Lachowscy, mienie i wszystkie zgody i te tam kompromisy i niby siły, skały, — historia... Nie gorącować się, iść zawsze swoją miarą, czas zawsze zaprowadzi na porę, byleby wiedzieć, kiedy do niego wyciągnąć prędką rękę. Bigda szedł — swoją miarą. Z płaszczem na plecach, z butami, na kij zasadzonymi. Idzie, idzie i idzie w srogiem błogosławieństwie twardego swego serca, gdy oto ujrzał na skraju leśnej drożyny, do pół w blasku księżyca, a znów do pół w ciemności ludzi jakichś. Ludzi, — nie ludzi? Niby nie ruch, nie postać, ledwie obecność jakaś, — jaka, — czyja?!

Ktoś się tam czai jednak!

Stanął, — tam się nie poruszyło nic. Bigda znów ruszył naprzód, — wszędzie wokoło cisza. Ale u wylotu samej ścieżki znowu się coś chrobocze. Mógł się odezwać, może zawołać na tych tam zaczajonych. Kiedy mu było wstyd. Zszedł w cień, odczekał i tak już dalej kroczył, zaczajony. Przyszło mu na myśl o różnych, niespokojnych słuchach, ze strony Kapuścika i Deptuły. Niby o tych zamachach. Tu cię człowieku święcą na prezydenta, a tu na ciebie już zbirów podstawili...

Lecz jeśli zbirów podstawili, będzie przynajmniej wiadomo, jak się sprawa układa... Bigda idzie, zawierza swoim krokom, nic a nic się nie boi. Tamci



zaś siedzą skuleni tuż przy ścieżce i skrzynię jakąś politurowaną (bo przy księżycu błyszczą) ochraniają. Ukradli ją, czy jak? Doszedł już do nich Bigda, patrzy, — w liche, marne łachmany odziani. Zapytuje:

— A skądże to idziecie? Co niesiecie? — Stoi nad nimi, zadziwiony spotkaniem, choć jest to zwykłe spotkanie ludzi z ludźmi, — jeden idący a drugi, dajmy na to, — siedzący.

Tamci odpowiadają: — Co niesiemy? No, — rzecz.

Na to Bigda: — Jak kto niesie i odpoczywa, wiadomo, że ciężary przenosi.

Nastała chwila ciszy. Coś obleciało Mateusza, może nie strach, ale ogromne zrozumienie różnych ludzi i rzeczy, — od czego mógłby się nawet wzruszyć, gdyby miał czas. Czy miał czas kiedy na to? Nie miał, nie chciał, nie potrzebował! Nie zastanawiał się nad takimi sprawami.

— No, to będą zelówki, — powiada mniejszy z obu nieszczęsnych dziadów. — To sam pan prezes Bigda.

Mateusz ostrym głosem: — Coście są wy za jedni?!

A tamci w śmiech i powiadają:

— Teraz jesteśmy kino.

Bigda już wszystko wie, bo zna się z tymi ludźmi. Dawni żołnierze, inwalidzi, poznał ich kiedyś, podczas tak zwanej odbudowy kraju. Przyszli do biura kiedyś, rzekomo prosto z frontu te dwa potwory, kulasy oberwane, miał zaś wtedy pod sobą obywatelskie zaopatrywanie. Skóry i materiały, mąkę,

różne dobytki. Prośli go o buty, nakoniec o zelówki,— nie dał. I nic im nie dał, gdyż nikomu nie dawał, gdyż były to te pierwsze czasy, gdy się dorabiać zaczął przez wojnę i właśnie na tych sprawach gromadził swój kapitał, z którym później pracował w różnych spółkach, a na sam koniec w Harcie.

Była to podczas tej odbudowy rzekomej scena, można przyznać, gorąca. Z inwalidów kapały wszy, a zachowywali się bezczelnie, skłękali jego, prezesa komitetu, od ostatnich. Do twarzy mu skakali. Pamiętał dobrze, że ich sam postrzącał i wygnał, ale sprawa stała się dosyć głośna, zelówek żadnych nie dostali, nie zapamiętał wtedy nazwisk tych żołnierzy.

— Ba, jak się nazywacie?

Powiedzieli, że — Chybacz, Tylko.

— A cóż wy tu robicie?

— Odpoczywamy.

— Po czym?

— No, bo kino niesiemy.

Od słów do słów, że niosą kino do Lachowa, gwoli uroczystości, jakiegoś zjazdu niby. Ktoś tam pono przyjeżdża, pono sam poseł Bigda.

— No, to wiecie, że ja.

— Wiemy, — odpowiadają. — W trzeciej osobie mówimy przez szacunek.

To bywa tak: co inne ludzi zgoni, a co inne rozgania, lecz gdy się wymijają zawsze sobie powiedzą, czy dotną aż do krwi. Tak było wtedy przy zelówkach, tak jest teraz. Chybacz powiada: — Pan prezes zawsze górą.

Nie spodobało się Bigdzie spotkanie. Zawiało Mateusza od tych ludzi dawnym czasem wojennym, którego nienawdził, bo się wtedy na marnej krzywdzie inwalidzkiej dorabiał.

— Dlaczego jestem górą?

— Zelówek nam pan nie dał, a my i tak służymy.

— Boście są widać do służby urodzeni. Któryż z was operator?

Obaj znali się na tem, jeszcze z wojny. Prawdziwy operator, nadesłany z Warszawy uchlał się w Lachowie. Nawet razem popili. Jeśli nie ozdrowieje, mogą go zastępować, — z braku laku.

— Wykręcali my wojnę, — mówią, — możemy i pokój kręcić.

Nędzne, szare postacie. Zharatane to, marne. Liłość tylko wzbudzają. Patrzą żałośliwem spojrzeniem.

— Jak się to spotykają ludzie, — powiada cicho Tylko.

Księżyc — i noc — i cisza.

I znów patrzą i tak go jakoś śledzą.

— Co się tak patrzysz, jeden z drugim? — powiada jeszcze Bigda.

— Tak się patrzę, — rzekł wstając Chybacz, — jak się to nam układa, panie prezesie. W takim obramowaniu lasu, pan prezes boso z paletotem i z butami na kiju. Kij na łaskawych plecach.

Bigda: — A żebyś wiedział, dziadu, że łaskawe.

Chybacz się zaśmiał i powiada wesoło: — Widać, że są łaskawe i ważne, skoro tam powiadają

w Lachowie: jeżeli się fachowiec upił, to idźcie chociaż wy. Nakręcone być musi.

— No i patrzcie się na to, — powiada wówczas Bigda, bo tak mu jakoś wszystko zaraz odpowiadało w duchu. — Patrzcie się, co robicie? Coście robili, a gdzie teraz jesteście? Ileż to bitew różnych za sobą macie? I ran. Wszystko na to, abyście się tułali teraz. Taki jest los żołnierza. — Pan prezes ruszył wzgardliwie ramionami.

— Nie taki! — zaśmiały się te zielone zdechłaki. — Będziemy mieli osłodę, gdyż pan prezes da nam po papierosie — może?

— Dam wam po papierosie.

Wyciągnęli ręce. Kulawe to i krzywe. Bigda śmieje się głośno. To dobre jest. To jest właśnie — Historia.

— Dam po dwa papierosy. — Na tem skończył rozmowę. Dał po dwa papierosy i ruszył szybko naprzód. Gdy już odszedł spory kawałek, przypomniał sobie Bigda, że przecież bosy idzie. Nie wróci tak do auta.

Usiadł znowu na ziemi, aby się obuć zaraz. Uczynił to z rozwagą, gdy bowiem trwał wśród niepokoju, wspomagały go zawsze najlepiej te czynności zwyczajne, któremi się obrządzał, — jak ubieranie, mycie, choćby nawet czesanie.

Obrządza się więc Bigda statecznie i spokojnie, a gdy przeciera stopy z piachu i z mchu, z igliwia i z patyczków, przychodzi mu tu na myśl bardzo miła pociecha — że niema się co martwić. Jeden będzie na zawsze wojakiem, zetli się i wypali, skruszeje i cóż? Śmieciem zostanie; — ze stóp go zetrze i w niepamięć

wykruszy drugi, inny, mocniejszy. Rozmyślał o tej sprawie chyba aż do Lachowa, chociaż nie było to bynajmniej poważne rozmyślanie, ale tak tylko, takie snucie rozważań obojętnych, aby nie myśleć o tamtych innych rzeczach ważniejszych, które podsuwał podczas drogi Deptuła.

Niech się samo wykwas. Kiedy wjechali do Lachowa wydało się Mateuszowi, że się w nim rzecz wiadoma, — niby o głowie państwa i o tem całym stanowisku — wykwaśła gruntownie. Że to się stanie i że to trzeba przyjąć. Przyjąć, zużyć, jak każdą rzecz korzystną, która się nam przytrafia cudzym kosztem. Bo to jest tak: po tych ulicach chodził nieszczęsny Bigda młody, bosy drwał lasów lachowskich z ogoneczkiem wiewiórki przy marnym kapeluszu. Ale na tychże samych ulicach, w rynku, w kościołach i we farze, wszędzie chwała Lachowskich trwa, — ta sama twarz rzeźbiona rodowa, ordynacka.

Ojców i dziadów Bigdy nie uświadczy tu wcale. Cały kapitał ichni w krzywdzie, ale nie oni kupony odcinają. Wszyscy oni, — to tłuste błoto lachowskiej ziemi na butach roznoszone. Onego błota tyle można nanosić, że żaden Zamek dzisiejszy nie wytrzyma! Boją się tego błota, dlatego Bigdę na głowę państwa proszą. To dobre jest! Przeciwno wyrzeźbionej na wszystkich świętych murach gębie Lachowskiego wydrukowana teraz będzie na wszelakich papierach surowa gęba Bigdy...

To dobre jest!!! — pomyślał olśniony tak radośnie, że aż powietrze wciągnął, jak przy badaniu obcych a ważnych ludzi; dech zatrzymać, aby się

w zatrzymanym tchu poznanie samo swobodnie obra-  
cało.

Kiedy znajomym szlakiem sunął już Rolls-Rojs prosto do Lachowic, Bigda potwierdził najdokładniej: — że wróg prawdziwy, rzeczywisty, jeden tu tylko znajduje się, to znaczy pan ordynat Lachowski. Wszyscy tamci, Rosławski, Strzęgorz, który jeszcze, — to miazga. Jedyne wróg — Lachowski! Który czuwa, nawet gdy śpi! Czuwa swemi ziemiami, zamkami, ogrodami, długami, czuwa przywilejami, starością i herbami, marnością i przeszłością hrabskiej ojczyzny...

Są dwie ojczyzny, wścieka się skrycie Bigda, — jedna z rudym ogonem wiewiórki, — druga wymurowana w pałacach i w kamieniach. Są dwie ojczyzny, stara, pana hrabiego, wyrzeźbiona w kamieniach i będzie druga nowa, z Bigdą wydrukowanym na wszelkich papierach. Aż szczęki mu się zwarły od tej myśli. I tak zgniewany, bolesną gwałtownością zaprzątnięty, wjechał Mateusz Bigda w obejście lachowickiego zamku.

Bigda pamiętał ten zamek od dzieciństwa, czemużto teraz włosy mu się na głowie zjeżyły od straszliwej obcości, której tu zaraz doznał?!

Minęli wielką bramę starodawną, — wiadomo, w środku podwórca klomby. Boczne gmachy, z których woda przebłyskuje, czernieją bardzo groźnie. Woda zaś przebłyskuje to z tej, to z tamtej strony czarną, ciemną glazurą. Minęli bramę, Bigda widzi przed główną ścianą zamku lokai w długich frakach granatowych, okna parteru, poświetlane wszędzie, wyżej na gzymsach złote odpryski blasku.

Tyle zobaczy każdy okiem codzienności. Lecz ogół tego miejsca jest taki sam, jak dawniej, niezmieniony, wieczysty: Czyli, — że ziemia uniżona a nad nią ściana herbowa, wywyższona.

Coś mu nad uchem paple pośpiesznie Strzęgorz; Bigda nie słucha, w kamienną posadzkę uważnie zapatrzony. Strzęgorz paple, a Bigda, jak kot, gdy kostkę gryzie, przechylił głowę na bok i wszystkie mięśnie twarzy koło oka wykrzywił. I tak czeka i słucha.

Strzęgorz już wie! Odbiega i zawraca i bardzo blady, aksamitnym głosem zaprasza do jadalni. Przekąsić coś przed snem.

Bigda nie idzie, czeka, prawe ucho wyciąga, nasłuchuje. Jakoś nic nie usłyszał jeszcze z tego, czego tu oczekuje. Więc wychodzi na środek hallu. Mimo, że jest tu gwar, że goście do siebie przemawiają, Bigda przez hałas — nasłuchuje innych, poufalszych głosów. Dosłuchał się nareszcie! W kącie hallu, gdzie skręcają stare schody kamienne, trzeszczy coś coraz śmieiej. Zstępuje tu po schodach poważnie pan ordynat Lachowski.

Wszyscy milczą, a poseł Bigda, wciąż jeszcze z głową ukośnie przechyloną trwa, jakby kot chrupiący mysz złapaną. Powietrze zakwiliło?! To pan Lachowski wydał z swej piersi ów rzewny głos czułości.

Ruchy Bigdy dążą zawsze za chwilą, ale zdążyć nie mogą. Opadają niedbale w połowie towarzyskiego zamierzenia. Ruchy zaś ordynata wybiegają zyczliwie przed nadchodzącą chwilę, że gdy nadej-

dzie wreszcie, tak bardzo pożądana, — musi mijać samotnie.

Tak się ci obaj mężowie zamachnęli odwrotnie i odrazu wynikło z tego, — jakby się rozminęli. To nic. Ordynat schodzi poważnym krokiem ze schodów i powiada, stawiając nogę na kamiennej podłodze przedsionka:

— Przebacz mi, panie Mateuszu, wszystko złe, com ci kiedyś wyrządził.

Strzęgorz, Wrona, Deptuła, Kos i Gruszka są tu przecież i słyszą. Lecz czynią, jakby ich tu nie było. Taki ich wstyd zdejmuje wobec tego wyznania. Bigda, jak słuchał, tak dalej słucha, z głową wciąż przechyloną i ze zmarszczkami koło prawego oka zbiegniętymi. Albowiem czuje w wyrzeczonych przed chwilą słowach przewrotny podstęp...

Hrabia znowu powtarza, — przebacz mi panie Mateuszu...

Bigda ogromne ręce szeroko rozłożywszy, jak do złapania snopka, który ma zgóry upaść: — Kiedy ci nie mam, panie hrabio, już nic do przebaczenia.

Hrabia Lachowski zstępuje jeszcze niżej i dobrym, dawnym, staropolskim zwyczajem, całuje Bigdę w ramię. Nie w samo ramię, a raczej w jego miejsce, — gdyby Bigda był mniejszy i na takim poziomie posiadał swe ramiona na jakim mu ordynat swym pocałunkiem te ramiona wymierzył.

— Jeśli się tak zaczyna, — szepnął Gruszka do Kosa, — to będzie tu przeprawa!

A znów Deptuła powiada Gruszce: jeżeli ci panowie z taką pokorą podstępują pod Bigdę, — to go spłoszą, i zniecierpliwia, nikt potem nie da rady!



A znów Wrona i Strzęgorz spłoszeni są ogromnie: — gdyż mieli ułożone, że przywitanie odbędzie się wesoło, a tu hrabia uderzył w tak żałośliwy ton. Sam ton, to jeszcze głupstwo, — ale dlaczego nie dotrzymuje warunków pan ordynat?

Siedzieli teraz w pięknej jadalni, trzy pary drzwi aż do samej podłogi otwarte są naścieżaj, aby wiosenny wiew mógł swobodnie przenikać. Ów wiew podnosił się jakgdyby z misy srebrnej, — ową misą jezioro, z którego dymią resztki głębokiej nocy. Ordynat służył Bigdzie, podawał i zapraszał. Sam nie jadł nic.

— A czemuż pan ordynat nic nie je? — pyta niemrawo Bigda, popijając herbatę. Bigda pyta, ale nie słucha nigdy odpowiedzi.

Hrabia Lachowski poczerwieniał nieznacznie i odpowiedział, że nie je nic, albowiem jutro na intencję swych gości i na intencję zjazdu przystąpi do komunji świętej. Bigda zasepił się. Nie podobało mu się, że do takich nadziemskich rezerw ucieka pan Lachowski. A na cóż te rezerwy?! Prezes Bigda spojrział surowo na Strzęgorza, potem zaś na Deptułę.

Obaj widocznie nic nie wiedzieli o komunji. Albo też Strzęgorz wie i łże. Podczas kiedy Deptuła nie potrafił przewąchać?! Czy też nie chciał przewąchać?... Więc jeszcze nowy podstęp?!

Bigda nie dał po sobie poznać. Spytał nawet o księdza, czy jest jeszcze ten sam, stary prałat Korytko? Gadali znów o ludziach z ordynatem. O ludziach gadać łatwo, zmieniają się, mijają, a nic wkońcu nie znaczą. Choćby ten Ksawery, na którego woła obecnie hrabia, aby podał wędlinę. Naj-

starszy kredensowy, którego Bigda pamiętał, gdy sam jako chłopaczek do kurników przylatał. Staruszczyk Ksawery rozlewał teraz wino. Ręka mu się trzęsała, a hrabia wołał za nim — uważaj tylko stary, byś nie rozlał.

Wedle pana ordynata, jest to osłoda tak żyć wśród swoich z dziada, ojca na syna. Ci dwaj kredensowi to wnuki Ksawerego. Dobre tu mają życie, pewne. Jak zresztą cała służba.

Bigda nie odpowiada. A cóż się będzie chwalił, przypominał? Jak było z fernalami? Tu przecież wypadały najbardziej krwawe strejki całej służby folwarcznej. Stąd też pochodził ten przebrzydły rozbójnik Tyczka, fernalski król lachowski. Bigda nie mówi nic. Zamyśla się nad tą komunją ordynata, — bo to nie było w planie. Hrabiemu wstyd się płaszczyć, woli, żeby go jego szlachecki bóg wyręczał? O cóż to tak się płaszczyć pragnie pan ordynat Lachowski? Aby go chłopci zrobili głową państwa? Znaczy to, że go jego ziemianie nie chcą? Woleliby już Bigdę? Przekupili Deptułę? Jedni i drudzy chcą zagrać Bigdą w durnia?! Tylko te sprawy rozważa teraz Bigda, słyszy jednak zarazem, jak pan hrabia się chwali, że wszyscy jego synowie przyjeżdżają, aby poznać tu w zamku wybitnego męża, pana prezesa Bigdę.

Dosyć tego. Bigda wstał, by już odejść. Honorów mu zrobili chyba znowu za dużo. Wszyscy zaraz powstają, jakby za generałem, czy może królem, — hycle! Hrabia zaś obejmuje Bigdę delikatnie przez ramię no i sam odprowadza. Uśmiecha się zaś przytem nader wzniosłym uśmiechem. Bigda nie lubi

uroczystych objawów. A hrabia coraz czulszy. Albowiem, dotykając się Bigdy w zwykłym normalnym życiu, musiał ordynat zawsze myśleć o błocie grzanem, czyli o borowinie, w której kąpał swe artretyczne stopy. Teraz zaś mógł dotykać tego ludowca, jak zwykłego człowieka. Zwykłego i równego.

Było to wielkie szczęście, nie być wiedzionym ciągle na pokuszenie. Wszystko, — dzięki sakramentowi. Żadnych socjalnych myśli, żadnych myśli o ziemi, żadnych myśli o sprzedawaniu garderoby służących i żadnych myśli o pokrewieństwie między Bigdą i Lachowskimi, które napastowały ordynata, podczas posiedzeń w sejmie. Co więcej! Prowadząc kolegę ku gościnnym pokojom, spostrzegł ordynat, że nie usłyszał ani razu dzisiejszej nocy w towarzystwie Bigdy — szumu przebaczenia historii. Szumu tego bał się ordynat, — jak ognia. Mimo mniemania specjalistów, nie była to anemja z pewnością, ale coś duchowego, od czego uginały się hrabiemu kolana. Dzisiaj w trudnym towarzystwie Bigdy, szumu historii nie usłyszał pan Lachowski ani razu, — dzięki błogosławieństwu sakramentu.

Zatrzymali się u końca starych schodów przed pałacowem skrzydłem, zwanem skrzydłem Krzysztofa. Bigda nie patrzył na swój orszak. Z ogromną przyjemnością spozierał wciąż na służbę. Ksawery i dwóch, czy czterech jeszcze w zielonkawych kubrakach. Rozstępowali się cichutko wszędzie na każdym kroku.

Pan Lachowski zapowiedział uroczyście na jutro nabożeństwo, — jutro, dziewiąta rano. Uśmiechnął

się przy tej okazji pięknie, pokornie. Gruszka powiedział później, że hrabia Lachowski uśmiechnął się „złamanymi wiekami”. Miało to znaczyć, że wieki były srogie, ale już są złamane, weźcie teraz znów wy te wieki na siebie, może je złutujecie.

Wszyscy po tym uśmiechu boleściwym skłonili się poważnie, w stronę Bigdy, jakby tu pierwszą był osobą.

Zawrzało w Mateuszu, albowiem już zmiarkował, że się chyba zmówili przedtem. Zmówili się bez niego — o nim. Gdy ordynat powtórzył raz jeszcze z bojaźliwym czcigodnym uśmiechem — gość w dom, Bóg w dom, — zwarły się szczęki Bigdy aż mu w skroniach łupnęło.

— Dobranoc panom, — warknął, obróciwszy się przodem do nich wszystkich. Rzekłbyś: pierś im nastawiał do ciosu.

Skłonili się, kanalje, jeszcze głębszym ukłonem, a znów postowie chłopscy Bigda, Deptuła, Kos i Gruszka poszli ogromnym korytarzem w swoją stronę. Kos i Gruszka odpadli wcześniej, Deptuła miał swój pokój obok Bigdy. Mateusz umieszczony był w narożnym gabinecie wspaniałym z weneckimi oknami. Za Bigdą wszedł Ksawery do pokoju. Jawił się tutaj w charakterze do posług. Musiał chyba pamiętać jeszcze babcię Mateusza, matkę, musiał pamiętać ojca. Ojciec Bigdy był pijak, — rany boskie!

Ten sam Ksawery, który kiedyś na tenisowych kortach kopał takich, jak Bigda w tyłek, gdy ich zwoływał a oni iść nie chcieli. Kopał w tyłek, ciągnął za uszy, bił. I Mateusza kopał. Potem był na weselu Bigdy, sprawiając wielki zaszczyt. Ważny dygnitarz,

pierwszy kamerdyner hrabiego. Teraz zasuwał story i kotary.

Każde okno zasłonięte tu mają ci ludzie i uwi-  
te, jak gniazdko.

Ksawery nic nie mówi, manipuluje skrzętnie sznureczkami. Zasłonił oba okna poboczne. Pozosta-  
ło środkowe. Sznureczki przesuwają się w ciszy zio-  
nącej od jeziora, stary pilnie chrobotał, a Bigda sto-  
jąc na środku pięciokątnej sali wspominał dawne  
czasy, głównie zaś swe wesele: jakto z maszynką szli  
przez całą wieś, jakto się przewijali wielce zawsty-  
dzeni u podnóża lachowickiego zamku, jakto potem  
tańczyli w ciemności, pod stertami, jakto dla nich  
był wówczas szanowany, — kamerdyner Ksawery.

Młodość go owionęła, — Mateusza, mło-  
dość dawna i głupia, bezpowrotna! Wiek miniony,  
zawsze niezwyceżony i zbuntowany wśród dalszych  
ciężkich przeżyć.

— I cóż tu słyhać, stary? — rzekł Bigda, odpi-  
nając szelki. Na zjazd bowiem, do zamku wziął szel-  
ki, aby zbyt często, jak to bywa przy pasku, nie pod-  
ciągać portek.

Ksawery z pod firanek i atłasów wysunął siwą  
głowę. Utwierdziwszy kaprawe oczęta w szklanem  
spojrzeniu Bigdy zawołał: — Co tu słyhać? Dlabo-  
ga, co tu słyhać? Doskoczył do Mateusza i zaraz  
oprządził swoją niedolą, biedną, niewywdzięczo-  
ną pracą, nienagrodzoną cierpliwością i wszelkiemi  
losami tutejszemi dawnych starych znajomków.

Czepiało się to wszystko Bigdy, jak marna pa-  
jęczyna. Służba pańska, ordynacka, nigdy, nigdy na  
swojem. Jak Ksaweremu, po pięćdziesięciu latach wy-

sługi, dali kawałek ziemi, ale nie przepisali i znowu odebrali a znów gdy się upomniał, to już chcieli starego wyrzucić skoro oczy i ręce, nogi i głowę starą ma tak bardzo osłabłą.

Na to Bigda: — Czemuż mi to powiadasz? Czemu?

Ksawery wie, że Mateusz jest postem wielkim i że go teraz hrabie przepraszają. Ksawery nie śmie podejść do Bigdy na odległość ręki, ale drżącymi dłońmi głaska dokoła Mateusza światło elektryczne trzech pięknych lamp, skupionych pod sufitem.

Mateusz stoi nieporuszony w tem głaskaniu stroskanem. Nakoniec pyta krótko: — A na kogo-ście głosowali tutaj?

— My tu nie głosujemy, nas prowadzą do głosu.

— Was prowadzą do głosu? No, — powiada Mateusz, — to żeby was na przyszłość nie prowadzili więcej, zzuć buty panu prezesowi — i stul pysk.

Ksawery nie rozumie. Rozgląda się wokoło i pragnie się uśmiechnąć.

Na to Bigda swym płaskim głosem: — Zzuć buty panu prezesowi i stul pysk. — Co rzekłszy, siada Mateusz na fotelu a nogi obie przed siebie wyciąga. I podaje do zżucia zabłocone buciska.

Ksawery cicho płacze i łapie się za głowę, ale zzuwa te buty.

Bigda nie mówi więcej ani słowa. Patrzy, jak Ksawery zwija skrzętnie onuce. A potem legł Mateusz w łóżku. Patrzy, co dalej będzie? Ksawery stoi przy drzwiach cicho. Głowę zwiesił na piersi. W oczach mu błyszczy szkliwo starczych łez, czy też

cienkiego śluzu, — takito cienki, rzadki, kleisty śluz żałości.

Bigda rozłożył się na łóżku. Jest bardzo dobre. Moznaby chyba na minuty obliczać, ile czasu zabierze materacom, nim pod nawałem takiej ludzkiej postaci ugną się do granicy właściwego spłaszczenia. Mateusz patrzy na Ksawerego nieustannie, a tu na materacach poprawia się, rajdosi, aby już wreszcie przytłamsić owe puchy. Nakoniec westchnął mocno i powiada cierpliwie: — A jakże mówisz swemu panu hrabiemu, gdy cię nie potrzebuje więcej?

— Mówi się, — szepce cicho od drzwi Ksawery, — dobranoc, jaśnie panu hrabiemu.

— Mnie masz powiedzieć, — dobranoc, jaśnie panu prezesowi.

Ksawery to powtórzył, Bigda zaś dodał wówczas — wynochy stąd! Gdy się drzwi za kamerdynerem starym cichutko zamknęły, przewrócił się Mateusz na łóżku i oprzytomniał jeszcze jaśniejszą przytomnością: zdrową, mocną. Znikało w niej wszystko inne, pozostał on, Mateusz Bigda, sam jeden w całym lachowickim zamku, teraz dopiero jakby u siebie w domu, na zawsze już.

Wesołe echo szło od tej samotności.

Sam jeden z jakąś myślą. Która to była myśl — nie wiedział. Trwała wśród pierwszych brzasków świtu, skubały ją z oddali śmigłe odgłosy ptaków, trwała ta sama wciąż, zdało się Bigdzie, — czarna. Ta czarna myśl, — to chyba sama władza!?

Czy długo spał, nie wiedział. Obudziło go wkrótce, nie mógł zrozumieć co? Gdy jednak

usiadł na łóżku, wszystko miał ułożone na ten dzień dla siebie. Jakgdyby dzień ten odbył się już, on zaś Mateusz będzie już dzisiaj myślał znowu naprzód, na jutro, tak, jak lubił. Świtało. Zerwał się z łóżka i przyodział. Poszedł budzić Deptułę.

— Że co?

— Że nic, ale musimy wyjść, na świat. Jest coś do omówienia...

Zeszli schodami, boczną furtką do parku. Gdy się znaleźli na kamiennych terasach, zoczyli świat spowity mgłami, lotny i zwiewny, gdzieniegdzie tylko światłem przeniknięty. Nawet pobliskie mury grażyły się we mgle.

Deptuła zauważył szeptem, że to budowa włoska, renesansowa czyli włoskiego Odrodzenia. Na to Bigda:

— A cóż mnie to obchodzi. Nie o tem teraz myślę. Myślę o klubie naszym, gdy wrócimy. Gdy wrócimy, nie można im zostawić czasu. Odrazu posiedzenie jedno, — drugie...

O Lachowie, o zjeździe ani jednego słowa. Bierze mocno Deptułę pod pachę i skradają się obaj, bokiem, bo tak prowadzi Bigda. Prowadzi bardzo dziwnie, cicho, chyłkiem, ukradkiem.

Deptułę rażą pierwsze promienie słońca, lecz jeszcze więcej razi owo chytre skradanie. Idą we dwóch, jakby mordować kogoś tutaj mieli, a to Bigda tak wciąga w ten chód niby podstępny.

— Trzeba ci wiedzieć, — powiada niespodzianie Mateusz, — że się nikogo tutaj nie obawiam.

Deptuła pragnie odpowiedzieć do rzeczy, ale Bigda nie daje. I znowu rzecz, cichym łaskawym



głosem: — Popatrzno tylko Władek, — jak to wyporządkowali ten park, na przyjście takich chamów, jak my.—Znowu się każe skradać, końcem powieki przygląda się Deptule. Rozumiesz, — mówi, — patrzę czy nas kto śledzi. Albo też, może — samych siebie zwodzimy?!

Deptuła woła: — Co mówisz, Mateuszu?!

— A może nas tu śledzi stary fałas, Ksawery? Nikomu ufać nie trzeba, Władysławie, nawet swoim najbliższym. Przecież to już wiesz sam...

Idą wielką aleją strzyżoną, która wygląda, jak wykuta w szmarądzie. Pośród tych szmarągowych ciosów rozpoczyna swe płasy blada poranna mgła. Dalej chmiel, już za parkiem; białość ranka mota się pośród tyczek, jak srebrzyste przedziwo.

Bigda się śmieje cicho. Nie idzie w stronę chmielu a skręca w bok z Deptułą. Teraz jeszcze szpalery, a znów z szpalerów wypływają trawniki. Na trawnikach, niby motyle wielkie, przysiadają zroszone klomby. Jeszcze dalej, za drucianemi siatkami ogrodzenia rozpoczyna się niebiesko-popielata zielen warzywnego ogrodu.

Bigda nie mówi więcej, tylko się skrada ciągle. I zmusza Władysława, by się skradał tak samo. Deptuła jest posłuszny, pochyla się, przykuca, ledwie już może znieść ten stan — wtajemniczenia. No, bo się skrada w niewiadomym celu, a co innego chowa głęboko w tajemnicy przed Bigdą. Nie śmie przecież wyjawić swojemu leaderowi, że to ludowcy sami... Że to ludowcy pchają też Mateusza, by został głową państwa... Bigda wciąż wypatruje a teraz coś usłyszał. Co?!

— Słyszysz Władek ten tętent? To psy...

Deptuła: — I cóż z tego?

— Z tego? Że nie zdążymy powrócić już do zamku! — Nie zdążył wypowiedzieć. Nadleciały od strony zabudowań folwarcznych, zdyszane i zziajane, zapienione, z warkotem strasznym, — wściekłe. Bigda krzyczy: — Rozszarpią nas!!!

Deptuła przyłgął do Bigdy, wlepił się całym sobą w Mateusza, — napróżno.

Psy już w alei. Wówczas zaś Bigda z całej siły pchnął Deptułę na środek, a sam uskoczył ku wnętrzu w żywopłocie.

Ten widok i zabawa bigdowa i takie zacne moralne doświadczenia! Tłusty wielki Deptuła zachwiał się, poczem runął pomiędzy psy, nie mogąc nawet wrzeszczeć. Psy już na nim! Wówczas Bigda ogromną srogą sukę juk buchnie nogą w brzuch, — wnętrzości chyba tej suce poodbijał.

Padła na ziemię. Bigda idzie do tamtych dwóch z gwizdami, ze cmokaniem, z pieszczotą i ciałkaniem. Rękę do nich wyciąga. Ułaskawiły się odrazu. Deptuła blady, a przetyka gwałtownie, jakby się miał udławić. Bigda powiada, — to ci przejdzie, idziemy. To napewno ze strachu.

Poszli, pospołu z psami. Siedli w altanie powojowej, — powoje tak się zgrabnie wykręcają do słońca. Dwa psy ogromne przy wejściu do altany węższą, ozory z pysków wywalają. Deptuła skłonił się na ławeczce i siedzi rozwalony, pół na pół nieprzytomny. A Bigda: — Powiedz, jaką ja mam obronę w tobie? Masz przykład na tych pocziwych

psach, najlepszy. Pomyśl, ile to takich psów znajdzie się zawsze w wysokiej polityce?

Deptuła łapie się za głowę, niestety już zapóźno... Ledwie, że się przechylić zdążył przez barierkę powojowej altanki, — jak pojechał do rygi. Oddaje z siebie, chyba za całe lata i kończy i zaczyna i znowu, znowu jeszcze.

Bigdzie nic nie przeszkadza, mówi dalej: — Bo widzisz, jako że znam prastare Lachowice, czekałem na te psy. Dlatego tu przyszedłem, ażebyś się nauczył. Na drugi raz, jak co zamyślisz, co do mojej osoby, no to mnie już uprzedzisz. Patrz! Gdym cię nie uprzedził, no to widzisz, że womitujesz. A poco nam te rzeczy?... Róbcie sobie jak chcecie, — powiada znowu Bigda. W piersiach mu noc faluje, ale na ustach śmiech. W piersiach mu noc faluje czarna, która mówi: — jeszcześ nie zdążył skleić im ich jedności, jeszcześ nie zdążył pogruchotać jej gnatów, jak tego sami chcieli a już cię odsadzają od roboty i zamurować pragną w zimnym, wielkim zaszczycie.

Bo to po to, a po to! No, — niechże próbują zamurowywać Bigdę. Mateusz waży w sobie czarną rozwlekłą ciemność, pośród której przechodzą głucho jego bosc pięty. To wszystko razem — władza. Dać się zaprząć w złocony wóz, czy innych zaprząć? — nie wie Mateusz Bigda. Rozumu swego ma chyba nadto dosyć, aby wiedzieć, że lepiej zawsze bliźnich zaprzęgać. A żal mu znów zaszczytu. Więc tylko tak dodaje dobrotliwie, niby do dawnej myśli:

— Trzeba zawsze uprzedzić. Ja, — co do siebie, — nie postanawiam nic merytorycznego. Chodziło o formalność, Władysławie. Pójdziemy teraz do domu. Meritum jest meritum, a pospać trzeba też. No późmy, Władek, późmy.

## Rozdział II.

### Historja w Lachowicach.

Wrócili na skrzydło Krzysztofa obaj wielce zmęczeni. Zmęczenie Bigdy było szczere, a Deptuły nieszczere. Bigda ziewał rozgłośnie przez drogę (nie skradał się już wcale), Deptuła zaś nadrabiał miną, co mu po takim strachu i przypadłościach nie przychodziło łatwo.

Gdy się Mateusz z powrotem ułożył na łóżku,— a tak w pościeli miejsce sobie wyrabiał, jak pies na sienniku, — rzekł, jeszcze raz ziewnąwszy: — No i mówże Deptuła, opowiadałeś w samochodzie pięknie o historii, powiedzże coś raz jeszcze. Bo ja, mój drogi, tak: historia dla mnie, to te piernaty, na których się przewalam. Jak się na nich ułożę, tak się pode mną ugną.

Deptuła stał na środku pięciokątnej salki i opowiadał, póki Bigda nie zasnął. Srogie chrapanie zbudziło myśl w Deptule o Lolce Romek, jako o nagrodzie solennie zasłużonej. Zmęczyłeś się i zwywozili cię, człowieku, psami cię szczują, szarpia, pracujesz dzień i noc, bez żadnego wytchnienia, — a gdzież jest

twa nagroda?! Zabrali ci, — zabrali ci twoją jedy-  
ną frajdę! Bezpośrednio zabrał tę frajdę Strzęgorz.  
Deptuła jednak, spojrzawszy w stronę wspaniałego  
łoża, na którem, rozwalony szeroko, spoczywał Bi-  
gda, — nie wspomniał już Strzęgorza.

Starożytnie desenie pięknej posadzki zaskrzypia-  
ły donośnie, — lecz Bigda nie drgnął. Chrapał i ry-  
czał we śnie, jak legendarny smok, zalęgnięty  
w zamczysku. Deptuła podszedł bliżej, zatrzymując  
się przed krawędzią łoża. Stanąwszy tu, pochylił się  
ostrożnie, by spojrzeć w otwarte usta Mateusza.  
Wlewało się w nie słońce, złotym kurzem dymiąc  
w jamie ustnej. O brzegi dziąseł, inkrustowanych żół-  
tym połyskiem zębów, uderzał lekko język. Dlacze-  
gożto sądził Deptuła, że gdyby nie ta gęba purpuro-  
wa porannym blaskiem słońca wypełniona i wogóle, —  
gdyby nie c a ł y Bigda, inaczej ułożyłoby się wszystko  
z Loleczką?! Ułożyłoby się wszystko całkiem ina-  
czej, gdyż miałby człowiek czas dla siebie, — dla  
swych spraw.

Trzeba zdobyć ten czas dla siebie, dla swych  
spraw. Stanie się to niedługo, bo przecież Bigda, —  
gdy zawarli kompromis, gdy już rozbili ziemian, gdy  
obalają rząd, — Bigda nie będzie więcej potrzebny  
w polityce. Do świętego lamusa z Bigdą!

Deptuła opłakiwał poniekąd tę decyzję. Lecz  
jakże ją odmienić?! Było to chyba zresztą najlepsze  
wyjście, oraz najbardziej ludzkie. Gdyby nie takie  
wyjście, trzebaby wszystko rozegrywać inaczej. Już  
rozegrywać — ostatecznie... Nikt nie wytrzyma dłu-  
żej tak strasznego nacisku... Deptuła rozmyślał  
o tem w swym gościnnym pokoju, obok Bigdy. Zo-

stawił drzwi otwarte, by słyszeć ustawicznie, co porabia przyjaciel.

Bigda spał, całe skrzydło Krzysztofa wypełniając nieludzkim rykiem.

Dzień robił się przecudny. Podrumieniona słońcem zielen zdała się mienić złocistą różowością. Między dalekie rzędy szpalerów strzyżonych wdawał się cień głęboką granatową łatą. Na jeziorze zaś lachowickiem, widocznem z okien Deptuły, marszczyła się powierzchnia, jakgdyby w pawie oka, które się rozpływały to znów długim ogonem kręciły aż ku brzegom.

W owym zamęcie cudnym pawich oczek, prze-latujących po powierzchni jeziora zrozumiał ostatecznie swą myśl Deptuła: że sam też nie wytrzyma dłużej tak straszego nacisku. Musieliby rozegrać jakoś inaczej pomiędzy sobą — Deptuła z Mateuszem. Rozegrać — ostatecznie... Deptuła przymknął oczy, by się przysłuchać dokładnie owej myśli: — ależ tak, oczywiście, lepiej zabalsamować Mateusza żywcem... I znów kłopot zabawny: — gdyż trzeba będzie poszukać — nowej firmy bojowej dla społeczeństwa. Nowego szturmowego męża. Męża, — firmy. Urobić ową firmę, ujeździć. Samemu bowiem pozostanie się nadal tym pierwszorzędnym drugorzędnym człowiekiem.

Nie dali mu niestety myśleć więcej Gruszka i Kos nieszczęsny. Przyszli tu do pokoju Deptuły niespodziewanie, ponieważ, — jak mówili, — dłużej u siebie nie mogli już wytrzymać. Obaj byli odziani, umyści i gotowi, jakby już zaraz mieli iść na nabożeństwo, na którym, w krypcie ordynatów La-

chowskich, miał hrabia August na intencję zjazdu przystąpić do komunji.

Kos z Gruszką kłócili się przez całą noc. Oka nie zmrużyli, zasnąć nie mogli ani na jedną chwilę. Pokłócili się serjo o sprawy zasadnicze. Kos wyskoczył do Gruszki, że trzeba się wynosić stąd odrazu. Odrazu, — póki czas. Zerwać wszystko, wszystkie układy, zebrać wszystko — i wio! Gdy dotąd była zgoda, a wystarczyło zbliżyć się do zamku, by się takie galimatjasy okropne porobiły!...

— Zamek, herby, kamienie, mury, — ścierwo! To jest nie dla nas wszystko! Ni z tego ni z owego Bigdę do wiatru wystawiamy?! Ni stąd ni zowąd jakiesiś skryte tajemnice, jeden drugiemu boi się spojrzeć w oczy?! Ja wołam — opozycji, panowie! Dawajcie jak najwięcej opozycji. Ja się wam pierwszy w budżetowej komisji kamieniem poprzez najlepszy budżet położę, — byleby w opozycji! Ta zgoda — to nie dla nas! Niech Rosławski bierze sobie dom gry! Wszyscy niech mają wszystko! Lachowskiemu dać na odczepne pożyczkę — a my stąd uciekamy od tych herbów, salonów, złotogłowiów. I niech Bigda nie będzie, broń Boże, głową państwa. Bo co my wiemy o tem? Co wiemy, — czego chce? Czy nam to mówił, po swojemu, po ludzku?!

Deptuła:—Mówił mi to dziś rano. Merytorycznie sami mamy rozstrzygnąć.

A na to Kos, jakby się nagle dostał w okropny przeciąg. Zatyka sobie uszy i woła ostrym szeptem, aby nie zbudzić śpiącego obok Mateusza.

— Tego u nas nie było, — ja sam nie rozstrzy-



gam. Nie chcę herbów, salonów, złotogłowiów. Natoście znowu do Lachowic jechali, abym sam miał rozstrzygać? Niedoczekanie wasze.

Deptuła postanowił spróbować swej wiceleaderowskiej siły. Jak nie syknie na Kosa: — Milcz, ty ośle dziobaty!

Poskutkowało. Pod okno, ku Deptule wysunął się rozważnie Gruszka. Był dziś struty, aż mu starcze rumieńce na twarz wystąpiły. Niosło go i terpało w lachowickim zamku i judziło, jątrzyło... Gruszka rozumiał wykładnię politycznych postępów: dawać Bigdę na głowę państwa, to go ukoronować. To jest wstyd. To jest grzech. Bigda to ciemny chłop, podczas gdy Gruszka może powiedzieć o sobie całym śmiało, że już jest — humanistą.

Jeśli koniecznie chcieli, by Bigda został głową państwa (Gruszka nie mógł sobie przypomnieć, kto tego chciał właściwie), to cóż tu będzie z Gruszką? Z starym Antonim Gruszką, ojcem całego ruchu ludowego?! Bigda odejdzie od walki politycznej — skoro już cała walka i tak prawie skończona. Doskakiwać do tego będzie niechący... Czyli, że miejsce po Bigdzie w parlamencie i na wszystkich widowniach komu teraz przygodnie?

Nie Deptule, bo złodziej, dziwkarz, pijak, — ludzie to pamiętają. A więc miejsce — dla Gruszki. Prezesura stronnictwa — dla Gruszki. Prezydjum gabinetu, czyli no, premierostwo, — dla Gruszki.

A tu się Kos po nocy miota, uciekać chce i płacze, że go te stare mury ogłupiły, mury, kamienie, herby! Że się rozdarli w swoim własnym stronnictwie i po ludzku nie mówią.

Uśmiechnął się pocziwie Gruszka i zaczął temi słowy: — Ty się tu Kos obawiasz swojej własnej choiwości. Takbyś odrazu darł i takbyś rwał a nie wiesz, za co łapać. I z tego ci się wyraźnie maćci w głowie. A potem, jak zostaniesz ministrem finansów, jak cię już raz zrobimy, jak se siądziesz na skarbie, to znowu będziesz mądry?! Poczekaj jeszcze chwilkę. Poczekaj, co mądrzejsi powiedzą.

Całą noc żarli się z Gruszką o tę „chwilkę“.

— Nie chwilka a cholera, — powiada Kos.

Gruszka na to, że wszelkie decyzje na świecie tak kosztują. Wtedy znów Kos: — Ja wiem jedno, co czuję, — pożremy się tu wszyscy w tym zamku i wszystko się rozleci!

Gadają i gadają, cicho, by nie obudzić Bigdy. W uniesieniu gadają bardzo śpiesznie, więc się języki mówcom zawiązują. Mateusz ryczy i chrapie wciąż za ścianą, a tu oni szeleszczą, szeleszczą i szeleszczą, jak karaluchy, zabłąkane pod okno.

Gruszka prym trzyma i po porządku tłumaczy dziobatemu Kosowi. I Deptuła tłumaczy. Ale najlepiej Gruszka. Że, gdy już doszło do sprawy kompromisu, to Bigda jest już świętość ludowa. — Powiadam wam, że świętość.

Gdy to powiedział, zatkało ich gruntownie. Nie wiedzieli, co tu powiedzieć więcej. Gruszka zaś znowu:

— Jeżeli Bigda jest teraz wielkiem hasłem — Deptuła wtrącił radośnie: — No, — symbolem!

Wówczas Gruszka, nie patrząc już żadnemu z tych nikłych ludzi w oczy, lecz spozierając w przeczyste niebo ranka, szepnął w tkliwym natchnieniu:—

Przecież to syn duchowy mój, — ten Bigda, Bigda Mateusz. Wolałbym go, ma się rozumieć, mieć zawsze przy swym boku. Gdy go jednakże losy tak wysoko wynoszą, nie możemy dopuścić, by nie stał się sztandarem naszym. Sam będzie się też cieszył chyba. Choć ja to oplakuję, — nawet zapłakał Gruszka lekko, biegle, z miłą starczą łatwością, — lecz syna tego muszę ofiarować naszej ogólnej sprawie, jako nasz żywy sztandar.

Kos, gdy Bigda głośniej ryknął za ścianą, odwraca znów co żywo całą sprawę, gdyż niewiadomo, — czy Bigda zechce odejść? Kos mówi, że Mateusz nie zechce.

Doskakują do siebie. Co Bigda głośniej ryknie, to zacichną pod oknem i nasłuchują trwożnie. A gdy znów rechot Bigdy ustali się, wyrówna, — sprzeciwiają się sobie. Ciało swego prezesa nie mają tu, ale wśród jego myśli, jakgdyby ciałem była, — łązą, ryją i dłubią, kopią i wiercą, wiercą, by się do jakiej takiej pewności już dowiercić.

Jak długo musieliby tak szperać i myszkować? Deputa mówi wkońcu, że od siebie postawi hrabiego Lachowskiego, oni niech prą na Bigdę, — niby że obrażeni; ziemianie też chcą Bigdy, bo mają swoje porachunki z Lachowskim. Deputa uśmiecha się żałośnie do równiutkich gazonów i dodaje na końcu:

— A co Mateusz miał dla nas wszystkich zrobić, no to wiecie, że zrobił, skorośmy się aż tutaj wszyscy razem znaleźli. No więc panowie, należy mu się wdzięczność...

W tejże chwili, jakby na potwierdzenie tych

słów ważkich, znamiennych wchodzi służący z tacą. Zamilkli wszyscy trzej.

Służący jest w kubraku, czy fraku liberyjnym, taca rodowa, srebrna, wielka, rzeźbiona, herby na niej widnieją znowu, obok herbów prześliczne filiżanki, bułki, miód, masło, sery, fryzowane serwetki, czerwone konfitury.

Kos wciąż jeszcze spoziera na tę zastawę z płochliwym przerażeniem. Wtedy Gruszka nawdziwia stare okulary, podnosi jedną z filiżanek denkiem ku słońcu, aby zobaczyć markę wyrobu, chyba autentyczną. I powiada: — Owszem, to jest autentyk, znam się na tem.

Jakże zawile są drogi myśli ludzkiej?! Długie, długie gadanie nie przekonało Kosa. Ale gdy Gruszka zbadał filiżankę i wypowiedział dosyć protekcyjnalnie słowa — to autentyk, — Kos został przekonany.

— Ha! — uśmiechnął się nagle, — rozumiecie się na tem! No, to może już jedzmy. — Kos syrpnął głośno z filiżanki i dodał dobrotliwie: — A ten nasz Bigda furt ino śpi, — ma rację!

Wyrozumieli z tego i Gruszka i Deptuła, że już teraz i Kosa przerobili na swoją stronę. Podjadłszy, usiedli blisko siebie, aby się jeszcze trochę obyć z nową decyzją i przyzwyczaić do niej. Mówić na ten rachunek nie mieli już potrzeby. Palili papierosy. Dym się unosił przez słońce tak powolnie. A potem jak to przystało doświadczonym ludziom, podnieśli się od stołu równocześnie, zastawę bardzo uważnie od siebie odsunęli, — stary Gruszka popatrzył na zegarek. Wypatrzywszy na cyferblacie godzinę (bo

przecież nie dowiedział) skinął kolegom i poszli razem cicho do pomieszczenia Bigdy. Kiedy tam szli do niego, do jego narożnika, — Gruszka powiadał, że taka forma budownictwa jak tu, nazywa się erkerem.

Wzruszali ramionami po drodze. Ot tak sobie, wzruszali ramionami, — jakby im ktoś zarzucał, że stało się coś doniosłego, a nic się przecież w gruncie rzeczy nie stało...

Bigda się nie przebudził, chociaż już byli u niego, tu w erkerze. Chrapał dalej na hrabskiem, ordynackiem posłaniu. Wyglądał, zwłaszcza od zielonego blasku zasłon, — jakby siny i struty. Któż go miał pierwszy budzić? Należy przecież obudzić Mateusza, bo już czas do kaplicy. Deptuła oświadczył im niechętnie, że on budzić nie będzie.

Stali we trzech, opodal krzesła na którem trwało rozłożone ubranie Bigdy. Portki, kamzelka i zmięta marynarka. Przed krzesłem stały buty. Nie mogli ich wyminąć, ani Deptuła, ani przemądry Gruszka, ani nawet niepoczytalny raptus, — jakim był zawsze Kos. Nie mogli ich wyminąć, bo tak właśnie do łóżka to miejsce prowadziło. Wielkie buciska, chociaż stały przed stołkiem, to jednak tak się dziwnie rozgięły, — jakgdyby dalej szły ospałym krokiem Bigdy?

Czekać tu będą we trzech ważni posłowie, — przed martwemi butami?! Musiał się znaleźć między nimi odważny, któryby je wyminął, odsunął, lub, — do cholery, — kopnął. Należy zbudzić Mateusza, bo już czas do kaplicy. Kopnął te buty trzeźwym ruchem Deptuła. Gdy wywróciwszy

się, szurnęły popod krzesło, Deptuła ukazał Gruszcze Bigdę.

Gruszka pochylił się nad rozłożystą piersią Bigdy, ujął go za ramiona i jął się śmiać. Wtedy i tamci w śmiech, Kos i Deptuła.

Gdy się prezes przebudził, zobaczył roześmianych nad sobą, w słonecznym blasku dnia, — postów swych zaufanych. Jednym skrzętem postaci siadł odrazu na łóżku. Mówili później, w Warszawie, po wielkiem posiedzeniu sejmowem, — że chyba wiedział i pomiarkował zaraz wtedy w pościeli — wszystko... Przeszył ich t a k i m wzrokiem!

— A coto powiadacie?! — zawołał.

Oni się śmieją dalej.

Bigda, jako że zwykł zawsze aktualną czynność nazywać słowem aktualnem: — A czemu się śmiejecie?

Wszyscy spojrzeli w okno.

— Śmiejemy się, — powiada Gruszka, — bo to już czas, a ty wciąż śpisz. Już czas na nas, na ciebie, a ty wciąż śpisz!

Bigda: — To dobrze. Wstanę. — I znowu patrzy na nich.

Ucichli pod tym wzrokiem. I on ucichł. I tak się to sączyło pomiędzy nimi wśród pogody i słońca, ta cisza nagła, — niby duchowa treść, nieuchwytna.

— No, to wstaję, — powtórzył Bigda. Od tej chwili aż do zejścia do krypty nie wyrzekł do nich ani jednego słowa .

Martwili się i bali bardzo. Nie było dotąd takiego faktu między nimi. Mógł wybornie jeden drugiemu, z powodu jakiejś rzeczy, sprawy, osoby —

chcieć powybijać zęby. Ileżto razy, — ciągle! Mógł też, choćby Mateusz, z powodu jakiejś sprawy chcieć im połamać kości. Ale, żeby się to zrobiło co tu, po pierwszej nocy w lachowickim zamku, — żeby ze sobą szczerze mówić nie mogli?! Żeby byli skłóceni i skruszeni w swej woli, jeden przed drugim skryty?! Żeby po jednej nocy nawet Bigda nie wyjawiał co chce?! A tylko patrzył na nich pustym wzrokiem?

Szli nadół, on na czele. Zeszli do wielkiej sali znów pełnej ciemnych wyglansowanych przodków w cieniutkich złotych ramach. Nad ramami złociste herby. Tu znajdował się książę Roślowski, w długim czarnym surducie, którego poły na czarnym jedwabiu podwiewały, niby mięciutkie skrzydła.

Roślowski, Strzęgorz, podplenipotent Wrona, wreszcie pani Lachowska z synami i córkami. Cały ten ród Lachowskich. Wszyscy mieli tę samą twarz szanowną, może przytem kobyłą trochę, ale chyba szanowną? Wymoczone blondyny o wydłużonych szczękach dolnych, a znów w wymowie wszystkim po kilka liter brakowało, co znów określił Kos, iż rozmawiają, jak cudzoziemcy.

Najlepiej udała się ludowym posłom sama pani Lachowska. Deska! Deska z przodu i z tyłu. Ale z tej deski, ba, nawet do niedawna, wynikały dla rodu potomki, — ordynatowa robiła swoje uczciwie, nikt się do tego nie mógł chyba przyczepić. Spodobała się posłom ludowym, jako że się i Bigdzie spodobała, co zaznaczył wyraźnie, przemawiając do tej hrabiny uczciwie i łaskawie.

Było niedopojęcia, jak ten człowiek, gdy

chciał, — umiał zawsze wszystko, co potrzeba i zawsze trafił w ton. Tak samo teraz umiał utrafić w sedno.

Rozmawiał z panią o czym? O niczem, — cóż, — o dzieciach. Jak się je chowa, jak wyrastają, jak się uczą i ile z tem kłopotu i jakiego i kiedy?

Gruszka, Deptuła zorientowali się dość wczesnie, że to niedobrze, gdy Bigda staje się tak — *rodzinnym*. Już z praktyki wiedzieli, że wynikają z tego później w polityce zawsze najgorsze rzeczy. A tu Bigda, ni z tego ni z owego gada z ordynatową, jak z jakąś kumą wiejską.

To tak z hrabiną. Natomiast dzieciom, to jest synom i córkom ordynata umiał Bigda okazać srogą swoją powagę. Podawał rękę i skłaniał obojętnie głowę, jakby mu martwe manekiny pokazywali, a nie hrabskich następców.

Kosa zachwycił Bigda w chwili, gdy po kolacji pytał wielkich dryblasów hrabskich: — I czegoż się pan uczysz?

Dryblasy, jak niecierpliwe źrebce, zderzały się bokami, a Bigda już nie patrzył. Jeszcze gorzej się obszedł Mateusz z pannami Lachowskiemi. Tu, mało brakowało, by się odrazu tyłem nie odwrócił. Hrabinie zaś wciąż okazywał piękną, wytworną litość.

Taki to człowiek był, — zawsze nieprzenikniony.

Lachowski spóźnił się na zebranie, albowiem musiał jeszcze przystąpić do poprawki. Pan Rosławski ujmował te rzeczy dość poprostu, — że widać hrabia nawet w tak krótkim czasie nie potrafił się ustrzec grzechu.. Pan Rosławski żartował, ale pa-



nowie Wrona i Strzęgorz bardzo byli stropieni całą sprawą komunji.

Nie mówiło się o tem przedtem, hrabia to zdecydował sam, sam z tem wystrzelił, — jakież w tem plany miał? Oto zjawia się wreszcie dostojny i żaloszny. Czarno odziany, piękny i wyświeżony, jakby szedł na wizytę, czy audjencję niebiańską, lecz nie do sakramentu.

Tak to określił Gruszka.

Ordynat witał się z hrabiną, córeczkami, potem skwapliwie z Bigdą, jak człowiek, który dla nich, za nich i wogóle za wszystkich pójdzie zaraz na stos. Tyle smutku i takie wejrzenie boleściwe.

— Za nas wszystkich, — powiedział ordynat, rozkładając niewinnie ręce, — za nasze grzechy, za nasze przewinienia!

Za dużo było Bigdzie poświęceń i pokory. Przecie wiadomo, że im ktoś więcej chce, a sam w sobie jest słaby, — tem więcej będzie zawsze okazywał pokory i wszelkich poświęceń. Bigda znał się na takich sprawach po swojemu, miał przecie własną teorię przebaczenia. Bezkrwawe przebaczenie! Tem przebaczeniem utuczyć swoją władzę, jak indyczkę kluchami.

Lachowski wzywał tu do pomocy Pana Boga? Cóżto chce wyszachrować dla siebie, pan Lachowski? Chce zostać głową państwa?! To przecie jasne, wiadome, Bigda pamięta o tem, tylko sobie nie mówi, ażeby dla tej sprawy zostawić w sobie najlepszy odruch — niespodzianki.

Bigda trzymał teraz przy sobie Lachowskiego i nie wypuszczał z ręki. Rozmawiali uprzejmie i niby

to o niczem. Ale o niczem nie rozmawia się z Bigdą. Każde „nic” musi zaraz zostać dokładnem czemś. Bigda i tu naciska i tam znowu przyskrzynia i tu jeszcze zakręca. A Lachowski — w chrześcijańskiej pokorze, płąściutki, — jak opłatek.

No, to jesteś dziś święty? No, i jesteś — ofiara? I masz cierpieć tu za nas?... No, to poczekaj bracie, za Bigdę nie odcierpisz. To się nie da, — za Bigdę. Taki hrabia uśmiecha się do wszystkich łaską i natchnieniem?... No, to Bigda — jako, że człowiek prosty, — nic z tego nie zrozumie. Taki hrabia, ordynat, za swego Pana Boga chce się chować przed Bigdą?! Nic z tego! Pójdą razem, gdzie hrabia tam i Bigda, — ale Bigda nieodkupiony. Tu niema i nie będzie pośredników... Pan ordynat trudzi się niepotrzebnie i niepotrzebnie pości dzisiaj rano... Pan ordynat musi przyjść do pana pośła Bigdy *sam*, bez żadnych, choćby najwyższych pośredników. I *sam* ma mówić i *sam* ma pięknie prosić.

Idą. Ordynat kroczy ofiarnie, jak na ścięcie, natomiast Bigda srogo i ponuro, — niby upatrzonemu byka prowadzi do uboju. Już są w wielkim podwórku zamkowym, gdy z pośród szczelin muru wyłania się obiektyw i dwie maski ludzkie.

To są Tylko i Chybacz z kinem, zamówionem z Warszawy jeszcze. Chude gęby byłych żołnierzy mają kolor tych murów, biało-sino-ziemisty. Z drewnianej skrzynki wygląda ciemne szkieleto, słychać trzask, Bigda popatrzył na nich wzgardliwie, — bo cóż?! To jest Historia, przeszłość, która za marne grosze służy teraźniejszości.

Idą przed kinem pracującym, ogromnie za-

sromani. Posły ludowe nie wiedzą nic dokładnie, oczywiście prócz tego, co już postanowiły pomiędzy sobą same. Ziemianie nie wiedzą o ludowcach specjalnie, co do siebie natomiast, choć się zmówili przedtem, — teraz nic niewiadomo, gdyż jak rozmawiać przytomnie z ordynatem, gdy nagle hrabia chowa się za opłatek, chce odkupić *ich wszystkich*?! A rzecz jest ważna między dwiema stronami i już ogromnie trudna! Nie idzie o zasady całego kompromisu i nie o rozłam w sejmie, ale o to, co na sam koniec jedni i drudzy zachowali przezornie, to jest o pewne ceny ostatnie — osobiste...

Drzwi kaplicy otwarte. Z organów głos się sący świątobliwy. Stary prałat Korytko wychodzi do ołtarza. Ludu w kaplicy prawie wcale nie widać, ale z fornali i z pałacowej służby stawali się dość licznie.

Bigda patrzy uważnie, czy mu na dzień dzisiejszy przodków stąd nie wynieśli? Obecne sługi dworskie, oraz stare umrzyki lachowickie, ordynackie, hetmańskie, to dziś dla Bigdy jedno: Jedni i drudzy, fornale i umrzyki niech wiedzą, gdzie się znajduje Bigda. Znajduje się w najszanowniejszej ławie kolatorskiej. Tu się dziś zjawił, a niewiadomo jeszcze co tu dziś postanowi... Oddycha sobie trzeźwo i przelicza zapisanych w marmurze pod rzeźbami wszystkich lachowskich przodków. Po łacinie są zapisani, więc nie do przeczytania, ale Bigda ich kontroluje wedle zwyczajnych cyfr, rzymskich lub też arabskich, na których się wyznaje zupełnie dostatecznie.

To są przodkowie Lachowskiego. A znowu swoich przodków Bigda nie ma, poszli dawno na ściół-

kę. Bigda jest sam, — jedyny. Jeżeli ma do niego interes pan ordynat, — niech się też zjawi, bez żadnych pośredników!

Mateusz ścisnął szczęki, piersi mu się wzdęły, jak je ptak wzdyma do wysokiego lotu. Bigda ma zostać sam. Ileż to gniewu, ileżto śmierci, ile radości strasznych chowa się w takiej myśli. Bigda ma zostać sam.

Wszyscy obecni, pomimo nabożeństwa, patrzą ciągle na Bigdę. Pani ordynatowa bije się w płaskie piersi, Gruszka przyrodnik-pszczelarz myśli bardzo przekornie, ile się jeszcze znajdzie w ordynatowej jajek na jeszcze nowych, niepoczętych Lachowskich, Kos miota ciągle głową, to herby go tak duszą, Deptuła spęczniał własnym kwasem, Strzęgorz wciąż połyskuje czułym odświętnym blaskiem, — ale wszyscy jakgdyby pytali Mateusza o tę srogą samotność.

Najczęściej zapytuje tkliwym wzrokiem Lachowski. August hrabia Lachowski, ordynat na Lachowie, Lachowicach i tylu innych wsiach, miasteczkach, miastach, tylu polach i lasach, hektarach, tysiącach i tysiącach, milionach i milionach, służebnościach i długach, podatkach, rodowodach — z pokornych klęczek popatruje ku górze, ku siedzącemu Bigdzie.

Pragnąłby go odkupić i podzielić się łaską świętego sakramentu. Z drugiej strony, — jeżeli chcecie Lachowskiemu zabierać wszystko, pamiętajcie, że gdy jest w stanie łaski, nietylko jemu, lecz także jego hrabskiemu Bogu zabieracie!

Zabierają ordynatowi wszystko, każą tylko pil-

nować ordynacji i nic więcej nie dają. Hrabia czuje i to tem jaśniej, że jest w tej chwili w stanie odpuszczenia grzechów, — iż gdyby zrobili go najwyższym dostojnikiem Państwa, wypłynąłby na czystą wodę. Nie mogliby mu zabrać ordynacji, zaszczyt zaś w takim ręku, w ręku hrabiego Lachowskiego obrodziłby, jak żaden.

Panowie jednak, jego własni panowie zdradzili go i nie chcą. Ostatnia tutaj droga pozostaje, to jest droga pokory, i to właśnie do Bigdy. Okazać tę pokorę osobiście, — byłoby zbyt bolesne. Ale za pośrednictwem sakramentu, z świętą pomocą bożą?!... Pan Lachowski przekonał się z niemałym obrzydzeniem, że w takiej chwili uroczystej myśli o swej prywatności... O sprawach osobistych. Jakże tu z tego wyjść? Jakże o tem nie myśleć?! Myśleć ze wstrętem o swoich dawnych grzechach? Które, — jeśli już odpuszczone, — przestały istnieć?!

Pan Lachowski uciekł się do sposobu, którym się posługiwał w najtrudniejszych okazjach, gdy mu myśl przeszkadzała. Zamykał wówczas oczy i pochutku, w sobie, poprostu w sobie samym powtarzał monotonna jedną tylko sylabę: — Te-te-te. Te-te-te. — By o niczem nie myśleć!

Te-te-te. Te-te-te. Te-te-te... — A tu tymczasem już dzwonek podniesienia.

Wszyscy patrzą, co Bigda? Zaparł się w ławie, głowę tylko pochylił i po dawnemu trwa, — nieprzejednany. Nie! Bigda nie pozwala się odkupić. Widzą to Kos i Gruszka i też bardzo odważnie z rzeźbionych stali wyszczerzają zęby.

Panowie spostrzegają, że Lachowski kruszeje,

więc czynią wzniosłe miny. Dzwoneczek dzwoni wier-  
nie na bożą cześć, Gruszka szuka w swej własnej, hu-  
manistycznej duszy: — widzi, że ich rozorał Bóg głą-  
boko, jednych napoprzek drugim, ale miejsca dla sie-  
bie nie znalazł między nimi.

Hrabia przyjął komunię. Gdy wracał od ołtarza  
spojrzawszy raz na Bigdę zrozumiał, że ma przed so-  
bą długie jeszcze męczeństwo. Płaska i lśniąca twarz  
leadera ludowego trwała naprzeciw ordynata, jak  
wczoraj w nocy, w hallu: — nasłuchująca, na bok  
przechylona, ze zmarszczkami łapczywie ściągnięte-  
mi nad przymrużonem okiem.

Męczennikiem został hrabia Lachowski w kilka  
kwadransów później i to na razie wcale nie dzięki  
Bigdzie. Umęczyli hrabiego jego stronnicy, jego wier-  
ni panowie.

Po komunji pierwsze śniadanie spożył ordynat  
w kółku rodzinnem. Wyrzekł przy tej okazji pamięt-  
ne słowa: — Gdy was tak widzę wszystkich, no —  
to jest życie właśnie, niech was Bóg błogosławi. —  
Zakręciły się panu Lachowskiemu łzy w oczach. Te  
łzy były przecuciem wszystkich dalszych wypad-  
ków. Po śniadaniu udał się pan ordynat na małe  
i ostatnie posiedzonko do „swych panów”. Nie mieli  
tu już wiele do czynienia.

Istotne sprawy zasadnicze obrobione były je-  
szcze w Warszawie. Tam postanowiono wszystko i co  
do samego rozłamu ze Stachowskim i co do techniki  
tego rozłamu i co do nastawienia prasy. Rzeczy me-  
rytoryczne, a więc maximum posiadania ziemi, wy-  
jątki dla ośrodków uprzemysłowionych i tym podo-  
bne, jak również sprawy serwitutów — były już

w Warszawie wspólnie przesądzone. W Lachowicach miano tylko rozważać ostateczną sprawę personalnego obsadzenia przyszłego gabinetu i kilku jeszcze większych personalnych pociągnięć, pod czym trzeba rozumieć wynalezienie ludzi na najważniejsze w Państwie stanowiska.

Wynalezienie ludzi, gdy ma się do wyboru wśród najlepszej tradycji rodowej ziemiaństwa, czyli najlepszej, najstarszej szlachty polskiej, nietylko nie powinno sprawić żadnej przykrości, lecz może stać się prawdziwą przyjemnością. Tymczasem, asystując tutaj swą (po komunji) pięknie odbudowaną duszą, pan Lachowski czuje się podczas obrad „swoich panów”, — jakby w jaskini zbójców. Może tak samo czułby się wśród ludowców?...

Ordynat patrzy dziś odkupioną duszą i wyjść nie może z najgłębszego zdumienia. Gdy tu szedł po śniadaniu rodzinnem, aby nie przewidywać za wiele, aby się też nie denerwować, powtarzał sobie ulubioną sylabę: — te-te-te. Te-te-te.

Poprzez ową sylabę, niby przez kijek raz po raz podstawiany, skakał w wspomnieniu ordynata pevien malutki foksik biały. Foksik jest dobrą wróżbą, a tymczasem — cóż się tu dzieje znowu?!

Panowie opuszczają sprawę przyszłego gabinetu. Ministrami być nie chcą. Jakby wszystkim odeszła ochota... Może jeden Rosławski nie ma jeszcze zamiaru stronić od zaszczytów, wszyscy inni jednakże w imieniu własnem i w imieniu najbliższych i najwierniejszych sojuszników nie zgłaszają do tek — żadnych pretensyj?...

Obwarowali się gruntownie przy Banku Zie-

miańskim, zastrzegli sobie z wszystkich dostępnych i niedostępnych źródeł pożyczki dla swej bankowej „macierzy“, miejsca tu sobie zamówili najważniejsze! Przewidzieli też obsadzenie najlepszych placówek zagranicznych, zawsze w łączności ze swemi prywatnymi interesami.

Panie święty! To pewna rzecz, że prezesi trustów i kartelów chcą iść jako posłowie do tych krajów specjalnie, z którymi *ich* kartele pracują. Ale przecież takie szczegóły nie mogą zamazywać całości sytuacji?! Jeżeli zaś zamażą, to gdzie idea? A no tak, — gdzie idea?!

Idea jednak, to w życiu politycznym zbyt wysoka abstrakcja. Pan Lachowski już widzi, że nie może się powoływać na ideę. Jest jednak inna myśl, a też niewyświetlona należycie, — przyszłość. To myśl dostępna: należy myśleć o przyszłości. Pan Lachowski wygłasza drżącym głosem króciutkie przemówienie o przyszłości. Że przecież cała arystokracja, czy też, jak to się dzisiaj modnie mówi elita, wywodzi się z najczulszej myśli o przyszłości. Im głębiej tkwimy korzeniami w przeszłości, tem dalej w przyszłość sięgamy zaradczo.

Na to książę Rosławski, — że o przyszłości wszyscy już pomyśleli i to łącznie, — za siebie, oraz za ordynata, przedewszystkiem zaś, ma się rozumieć, — za kraj. Jeżeli o kraj chodzi, to właśnie on, Lachowski winien szanować się, on bowiem, nie kto inny, grupuje wkoło siebie pierwiastek tradycji i to najgłębszej, zawartej a priori w koncepcji ordynacji.

Hrabia Lachowski nienawidził dyskusji. Nie dlatego, by się nie czuł zdolnym do niej, ale dla-



tego, że miał za dobre serce. Sercu hrabiego, przez dobroć chyba, uprzejmość, czy też miłość bliźniego, — podobały się zawsze stokroć więcej wywody cudze od własnych, osobistych. Był w każdej kontrowersji przekonany zawsze i przez wszystkich. Istotne zdania swe i opinie polecał w takich razach bronić podwładnym: plenipotentom, dyrektorom, przedstawicielom i innym sekretarzom.

Wszyscy mu mówią o świętej zasadzie utrzymania ordynacji. No dobrze i już go przekonali, ale jest tu na szczęście rotmistrz Strzęgorz! Ten się tu musi wyjęzyczyć według myśli hrabiego, — tak, bo jest za to płatny wkońcu!

Strzęgorz — patrzy w papier. Ma przed sobą kawałeczek papieru i najspokojniej patrzy sobie w ten papier. Pan Lachowski ze swoją dziś tak czystą duszą, nie może pojąć poprostu, co się dzieje? To, co się dzieje tutaj gorsze jest chyba istotnie od wszystkiego...

Książę Rosławski, który dla siebie chce zabrać Sprawy Zagraniczne (wiadomo, że ma hotel w stolicy, hotel Patria), uśmiecha się falsetem i coś mówi o wielkiej sprzeczności pomiędzy praktyką tradycji, a teorią: że Lachowski w praktyce jest przeciwko teorii i to chyba najświętszej; że działa przeciw ordynacji.

Rozegrała się w tej chwili przykra ogromnie scena ze Strzęgorzem. Tem przykrzejsza, że uczuciowa. Strzęgorz postawił kwestję zaufania: Czy on, Strzęgorz jest wierny, czy nie? Czy się poświęca dla ordynacji, — czy nie? Jeżeli on, Strzęgorz, znajdzie się w położeniu, że mu wypadnie wybierać po-

między ordynacją, a jej symbolem i to najwidoczniejszym, to jest hrabią Lachowskim... Jeżeli miałyby dojść do tego, — on Strzęgorz, ani ziemi nie zdradzi, ani nie odstąpi od wielkiego człowieka!...

— Pozostaje tylko strzelić w łeb sobie, wielce zacni panowie, — zakończył wywody pan plenipotent Strzęgorz.

To było już najokropniejsze, bo i on także przekonał ordynata. Ale hrabia Lachowski uznał, — no, chyba wobec ludzi, którym płacił, mógł sobie na coś podobnego pozwolić, — że nie jest przekonany. Omawiali tę sprawę tyle razy! Cóż znaczy dołarowa pożyczka ordynacji, uzyskana ewentualnie dzięki większości w sejmie za reskryptem *jakiegoś* prezydenta, kiedy zostawszy prezydentem będzie można dziesięć takich pożyczek uzyskać! Pan Lachowski obruszył się i mówi, nie prosząc nawet Rosławskiego o głos:

— Ja tu trzonu nie widzę, moi drodzy, ja tu nie widzę trzonu i to jest chyba najgorsze ze wszystkiego!

Jakże krótko działa w takich warunkach najczystsza nawet łaska — sakramentu?! Wyrzekłszy słowa o trzonie, — słyszy już pan Lachowski szum przebaczenia historii.... A gdy słyszy ów szum, to wie, że już nie będzie mógł ustąpić, że się widocznie uparł, no — i że może w uniesieniu nagadać takich okropnych rzeczy!

Wstrętny, wstrętny Rosławski! Rosławski twierdzi, że metafizyki o trzonie nikt nie może zrozumieć. Trzon, czy też pion, to dla ludzi zdrowo myślących, — jest zawsze ordynacja. Więc nie owijać prawdy

w bawełnę, ale oczyścić trzon. To jest ten wkład, który stronnictwo czyni dla Lachowskiego. Ba, oczywiście, stronnictwo czyni te wkłady nie personalnie, ale dla ideowej zasady Lachowskiego. Pożyczka zagraniczna należała od samego początku wszystkich umów i chyba do dziś należy do tych pierwiastków, które przyjęli wszyscy, — jako tabu. Tego nikt nie wymawia nikomu, — pożyczkę wszyscy przyjęli, jako tabu. —

Gdyby książę Rosławski nie był przynajmniej wymówił słowa „tabu”. Hrabia Lachowski wiedział mniej więcej, co oznacza to słowo, ale nie lubił nazw wogóle, cóż zaś dopiero, takich nazw, kolonialnych! Tabu, to jakiś niby zakaz, roгатka, coś takiego. Coś, jakby cło duchowe?...

Na miłość boską, — teraz nie szum... Hrabia Lachowski ledwie słyszy, co mówią, albowiem już nie szum, lecz gęsta woda przebaczenia historii wlewa mu się do uszu! Jeszcze ostatnie wyjście: Hrabia Lachowski chce pobudzić Strzęgorza; daje mu nawet znaki. Hrabia Lachowski porusza złotymi swemi brwiami. Oznacza to, że zaraz wybuchnie już gwałtownie. Porusza brwiami, że aż go boli mięsień za prawem i za lewem uchem.

Oni zaś wszyscy — nic. Wówczas hrabia powstaje i rzuca im na głowy *wszystko*... Że ma dosyć *wszystkiego*, że *nie chce* ordynacji, że nikt nie może żyć wiecznie na uwięzi, a tradycja nie może dla nikogo stać się wiecznem więzieniem. A potem, — tak, — bez przejścia:

— Bo co robimy? Czy wybieramy na prezydenta Bigdę?!!

Wszyscy czekali na to, wszyscy dobrze wiedzieli, że przyjdzie tutaj do nich z tą sprawą Lachowski, czekali tylko, kiedy i aby właśnie dał się sprowokować. Gdy tylko wspomniał Bigdę, ksiązę Rosławski zaklaskał dyskretnie, poczem podszedł do ordynata, inni zaś za przykładem księcia uczynili to samo.

— Bigda, tak, właśnie Bigda na takim stanowisku, — szeptał poufnie Rosławski, — to przecież wilk z powyrywanemi kłami i z obciętemi pazurami, czy tego nie rozumiesz?!

Hrabia Lachowski wykrzyknął przeraźliwie: — Ale chłopci chcą mnie!!! Łzy popłynęły z oczu ordynata. — Ja to muszę uważać za dowód najświętszego przymierza, bo to jest intuicja ich odwieczna, — tak, z polską szlachtą, — to jest odwieczne, święte u naszego ludu!

Od okrzyku — chłopci chcą mnie, — zaczęło się to wszystko, kłopotliwe, nieprzyjemne, wręcz przykre, co nazywał, wspominając te chwile w klubie później Rosławski, biegunką lachowicką.

Hrabia Lachowski wydawszy ów charakterystyczny okrzyk, powołał na świadka pana plenipotentę Strzęgorza. Strzęgorz lojalnie stwierdził, że owszem, chłopci o tem *wspominali* z początku, lecz, o ile można było wypośrodkować, — woleli później swego Bigdę.

— Słusznie! — zawołał Rosławski, — ci ludzie mają poprostu instynkt tradycji. Ty musisz, Guciu, trwać przy ordynacji. To jest też polska szlachta z polskim ludem. Nie bądź, Auguście, jednostronny i nie zaślepiaj się, na Boga!

Lachowski krzyknął: — Jedna jest tylko tra-

dycja! My to sprawdzimy!! Panie rotmistrzu, proszę pana za mną.

Na sprawdzanie nie było wiele czasu, taki sam bowiem, jak tu, mieli pomiędzy sobą konwentykiel ludowcy i pewno już kończyli, aby się zejść na ostateczną wspólną konferencję, w sali kryształowej.

— Ja to sprawdzę, — wołał ordynat, wychodząc, — ja to sprawdzę natychmiast!

Jeszcze nigdy tak nie szedł przy swym szanownym mocodawcy pan Strzęgorz. Hrabia, trzymając swego rotmistrza za rękaw, biegł drobniutkim truchcikiem. Ciągnąc za rękaw plenipotentą, powtarzał ustawicznie:

— Bo przecież pan pamięta, nie byłem chyba nieprzytomny, przecież u mnie w pałacu, Deptuła, posel Deptuła, ten co to ma dwa doktoraty!

Na skrzydle Krzysztofa, gdzie mieli posiedzenie chłopci (skrzydło Krzysztofa, pradziada Lachowskiego, wielkiego reformatora), było wiele hałasu, a jeszcze więcej dymu kiepskich papierosów.

— Mój Boże, — westchnął Strzęgorz, — tu u nas, taki fetor!

Lachowski przerwał, twierdząc, iż przenosi fetory fizyczne nad fetory duchowe. Wywołali przez służącego Deptułę, — tego samego przecież, który w pałacu, w Warszawie, po śniadaniu padał nieomal na kolana przed ordynatem, ofiarując z ramienia Bigdy...

— Jesteśmy tu we trzech, — zaczął pan Lachowski, — we trzech, tych samych, którzy u nas w Warszawie... Bo mam ten dzień zanotowany w ka-

lendarzu,—hrabia wyjął z kieszeni maleńki kalendaryk, oprawny w starą kość słoniową.

Stali we trzech na krętych schodach, Deptuła zadziwiony niepomiernie, z czołem naprzód podanem i pośród blasku słońca, jakoby wszystko widzącem.

Trwać tu jeszcze przy tej rozmowie? Słuchać, jak o nim mówią, o nim, ordynacie Lachowskim, czy prawdę stwierdził, czy też kłamie? I to w sprawie zaszczytu, ofiarowanego już przecie! Nie, to nad siły ordynata. Wziął znów obu, Strzęgorza i Deptułę za rękawy marynarek, odprowadził kilka pokoi dalej, do małego wykuszu, w którym wisiały miniatury Lachowskich. Do wykuszu owego prowadziły trzy schodki. Lachowski uśmiechnął się boleśnie, wołając: — Nie chcę panów krępować. Wejdźcie tam i ustalcie, co pamiętacie o *tem wszystkim*. Ja tu czekam. Pan, rotmistrzu, jest człowiekiem wierzącym. A pan, pośle Deptuła, jeżeli pan nie wierzy, to ma pan przecież honor obywatela.

Gdy się znaleźli za drzwiami, Deptuła ze Strzęgorzem, zdziwili się niemało. Czegoż chciał pan Lachowski? O czem tu gadać więcej? Wiadomo przecie teraz, — że trup Bigda i trup — Lachowski. Takie proste!

Deptuła twierdził zresztą, że będzie dalej stawał Lachowskiego, lecz Strzęgorz wzruszał tylko ramionami. Owszem, — kler... To jest szkopuł. I duży, duży szkopuł. Ale w zasadzie? Przed klerem odpowiada Lachowski i Rosławski — nie Strzęgorz. Pan plenipotent załśnił dorodną postacią i zaśmiał się.

— Co mi tu mówisz, — chrypiał przemiłą chrypką. — Bigda, jako najwyższy zwierzchnik pań-

stwa, a Lachowski zamurowany w Lachowie, czy może być coś pożyteczniejszego dla nas, — dla was? Sam wiesz, jaka to gratka! — Ujął Deptułę serdecznie za ramiona i ukazawszy drzwi, za którymi stróżował Lachowski:

— Mój stary tu pilnuje, więc mamy trochę czasu. Jeżeli mowa o grzebaniu w sumieniach, — chciałem ci to powiedzieć, Władek... Nie masz do mnie pretensji chyba? To jest, — że twoja Lolka...

Zachnęło się w Deptule coś innego, nowego, — chyba prawdziwa rozpacz.

— Ta twoja Lolka, — śmieje się błogo Strzęgorz, — powiadam ci... Cóż za dziewczyna. Tylko forszę pompuje!... Ba, może aż za dużo. Ileś jej dawał, Władek? Bo ze mnie tak pompuje! Bardzo, bardzo wesoła. Owszem. Powiada, żeś był skąpy. Nawet, żeś jej zabierał wszystko, co dostawała z domu od rodziców. Jacyś Romeccy z Łomżyńskiego?

Deptuła patrzy przed siebie, nie czołem, lecz oczami, ba, — nic nie widzi! Zajęcza łapka uderza znowu w serce... I stopy, końce palców — stygną. I niema czem oddychać. W takich warunkach nie można robić przytomnej polityki. To wina Bigdy. Bigda nie pomógł wtedy, ba co więcej, przeszkodził. Zawsze, wszędzie, spotyka człowiek w życiu starszego, mocniejszego od siebie, który się przeciwstawia najprostszym uczuciom...

— Powiadasz, — Deptuła dopiero w miarę dźwięku swych słów wracał do przytomności, — Lolka się skarży, żeś ją z pieniędzy obierał? Ale przyznasz, że ją wytrenowałem?... Umie wszystko, ta szelma, co?! Moja szkoła.

Całkiem niezrozumiałe: gdy się mówi o Lolce, Deptuła szeptać zaczyna. Już podchodzą ku drzwiom, niepodobna, by pan ordynat czekał na nich tak długo.

— Słuchaj, Władek, — woła Strzęgorz, — jeżeli ci to robi jakąkolwiek różnicę, ta dziewczyna, że się tak lepi do mnie...

Deptuła aż się zachwiał na nogach.

— No, bo Lolka mi mówi, — już cały lśnił tym swoim śmiechem, — że ty za nią szalejesz. Więc jeżeli ci robi jakąkolwiek różnicę, mogę ci tę Romecką odesłać każdej chwili.

Stoją we dwóch przed drzwiami. Deptuła obejmuje przez ramię Strzęgorza i powiada, tłumiąc nerwową czkawkę: — Nic podobnego i nic mi na niej nie zależy. Nie powinienesz tylko przepłacać, najdroższy mój, bo nam wszystkim psujesz cenę na przyszłość

Spojrzeli sobie w oczy i zaraz odwrócili głowy jakby w obawie, — że się popalą wzrokiem. I tak już, śmiejąc się do siebie uprzejmym, ale jakże odpychającym śmiechem, otwarli drzwi na schodki.

Hrabia Lachowski nie wstał. Siedział, stróżował wiernie. Cóż to za głupi kawał?... Śmieli się z siebie obaj, Strzęgorz z panem Deptułą?! August hrabia Lachowski uważał, że mu wypada siedzieć tutaj na starych schodkach i czekać tu na siebie, — jako przyszłego największego dostojnika Państwa. Czyż największe postacie historii nie czyniły tak samo?!

Ordynat nie pamiętał, które, mniejsza jednak o nazwy. Nie lubił nazw. Było to rzeczą w historii oddawna notoryczną, że przed każdym wyniesieniem idą zawsze okresy smutnego poniżenia. Deptuła oraz



Strzęgorz musieli byli nieomal okraczyć siedzącego na schodkach ordynata i zająć go z drugiej strony. Tkwił, trzymając złoty zegarek w rękę.

— Nie zdajecie sobie panowie sprawy, — rzekł, — iż czekam, licząc rzeczywiście minuty. Bo to są już minuty o znaczeniu powszechnem.

Oświadczyli, że obaj całą sprawę odtworzyli w swoich sumieniach, wiernie ją ustalili. Skoro mowa o fakcie, to jasne, że nikt faktowi danemu nie zaprzeczy. Ale, —

— Ale?! — wykrzyknął hrabia. Działał teraz pod znakiem dobrej wróżby. Siedząc tutaj na schodkach wiele przemyślał. O ordynacji, o dzisiejszej komunji, — bądź co bądź oczyszczenie duszy, która po oczyszczeniu widzi dwa razy lepiej. Myślał tu też o Bigdzie. Będzie mu mógł powiedzieć (Bigdzie), że się go pozbyć pragną i dlatego mu proponują tak wielkie stanowisko. Będzie mu mógł powiedzieć (Bigdzie), że sam za niego weźmie to ciężkie brzemie. Będzie mu mógł powiedzieć, że ostatecznie, — porzuci ordynację...

Hrabia Lachowski nie zastanowił się zupełnie, dlaczego tak pożąda *najwyższego zaszczytu*. Zaszczycił ma to do siebie, że prowadzi i dalej i gdzie indziej, niżby ktoś mógł przypuszczać. Dokąd? Nie trzeba o tem myśleć. W takich trudnych wypadkach marzył hrabia — o lasach. Lubił je bardzo, — bardzo. Marzył o nich z tak bezinteresownem natchnieniem, iż nie wspominał nawet jednorazowych danin leśnych, a tylko przypominał sobie, jak w glinie zamaczany korzonek młodzianiecckiej płonki pogrąża w doł-

ku ziemnym. Był las — nie było nas. Las będzie, — ponieważ myśmy kiedyś byli!

Pomiędzy owe myśli wpadały ordynatowi za-  
zwyczaj wspomnienia różnych kobiet. Wspomnienia  
owe miał podzielone na różne klasy wróżb. Zło-  
wróżbne, — obojętne, — pomyślne. Do najszcześli-  
wszych należało jedno z najwcześniejszych, jeszcze  
z ulicy Instytutowej. O istocie wiośnianej, co biegła  
z foksikiem dookoła stołu, a nie chciała mieć po-  
tomka z Lachowskim.

Na tych kamiennych schodkach ozwało się to  
właśnie wspomnienie. Dlatego, gdy Deptuła i Strzęgorz  
powiedzieli, — jeżeli o fakt chodzi, to nikt nie zaprze-  
czy, — hrabia nie dał im więcej mówić. Wyrzekłszy, — nie  
mamy chwili do stracenia, — poszedł dziwnym „przy-  
siężnym“ krokiem z obu panami na skrzydło Krzy-  
sztofa.

Tak, przyprowadził tych świadków „swoim  
panom“. Tutaj powtórzył, — nie mamy chwili do  
stracenia, — i przeprowadził wszystkich, ludowców,  
ziemian do kryształowej sali, o starych ścianach  
lustrzanych.

W pośrodku widniał stół starożytny, kryty zie-  
lonem suknem. To na tem suknie miały zapaść osta-  
teczne uchwały. Tu w tej sali dopiero spostrzegł  
hrabia Lachowski, że między zebranymi niema pre-  
zesa Bigdy. Daje to chyba poniekąd do myślenia?!  
Zamiast Bigdy weszli znów dwaj obrzydli oberwań-  
cy z aparatem kinowym. Hrabia ich wygnał, skrzy-  
czał, ba — osobiście wypchnął obydwóch za drzwi.  
Pocóż mają nakręcać narady, których wynik nie jest  
jeszcze wiadomy?!

Pocóż obiektyw i tak dosyć tu było luster. Ukazywali się w nich, gdy przez złocone drzwi wchodzili, a potem, gdy się zwolna koło stołu zbierali kolejno wszyscy panowie posłowie. Tu się zbierają, lecz zbierają się również w starej, szklanej przestrzeni, czarną listwą przecięci, we wszystkich szklanych kątach to samo wciąż czyniący, a tylko w drzwiach środkowych nieobecni, które dają na wodę; to jest na staw, raczej jezioro lachowickie.

Ordynat uśmiechnął się do wszystkich posłów ludowych i ziemiańskich tą samą uprzejmością. O Bigdę nie zapytał. Może lepiej nie pytać? Może Bigda sam się domyśli, że został pokonany? A może to jest podstęp? Bigda boi się teraz wyniku obrad, nieobecnością swoją tworzy nową instancję jakiegoś odwołania?...

Bigda? Są na tym świecie sprawy, istotnie, tajemnicze. Hrabia Lachowski myśli z największym rozrzewnieniem — o Mateuszu Bigdzie. O—jedynym człowieku, — *jedynym* przeciwniku! Hrabia Lachowski błogosławi Bigdę. Bigda wie, że ma wytrwać na swoim posterunku, pośród ludowców. Niechże mu Bóg da zdrowiel...

Wszyscy stoją przy stole. Gruszka, pan Kos, Deptuła. Pan Wrona i pan Strzęgorz. Pan Rosławski.

Hrabia Lachowski wygląda od niechcienia na jezioro. Tafla jeziora mieni się wszelką barwą, — całą tęczą słoneczną. Owa tęcza powiewna przesuwająca się po wodzie, w cichym podmuchu dnia, — jakby kolorowa, zarazem święta, natchniona lekkomyślność... Ordynat zazdrości życia wodzie, jezioru i powietrzu.

Móc tak trwać i o niczem nie wiedzieć! Nie miałyby się jednak wówczas żadnej rangi, — tradycji!

Hrabia Lachowski idzie dostojnym krokiem ku zielonemu suknu. Widzi się równocześnie w kwadratach płyt lustrzanych, które wyłożono salę kryształową. Jedenastu Lachowskich, większych, mniejszych, ale wszyscy ci sami, — idzie ku zielonemu stolikowi. Każdy z nich jest hrabią, ordynatem, posłem i nosi imię August. Idą do tego stołu może już raz ostatni?! Albowiem wrócą zapewne, wszyscy jedenastu, jako najwyższy dostojnik, głowa państwa.

Myśli obecnie zebrać już niepodobna. Hrabia staje nad stołem uroczysty i skromny. Powtarza sobie po cichutku, — te-te-te... Te-te-te... Aby z czemś niepotrzebnem nie wyskoczyć. Aby zacząć spokojnie. Hrabia słyszy głęboko w sobie jedno jedyne słowo: — brzemię. Brzemię będzie tak wielkie, że przy brzemieniach innych mniejszych będą musieli pomóc ordynatowi wszyscy.

Nie bój się ordynacjo, — mówi do siebie w duchu.

— Moi panowie, — zaczął, gdy usiedli za stołem.

Za stołem już siedzieli, lecz nie słyszeli, że właśnie już przemawia. Wówczas hrabia Lachowski, wzmacniając głos wykrzyknął: — Moi panowie!! — A potem dalej, dystyngowanym głosem.

— Rozumiem dobrze, że mamy tu rozstrzygnąć sprawę pewnych stanowisk — i pewnego urzędu... Oczywiście, — zdolności, umiejętność, fachowość są nam potrzebne wszędzie... Są atoli urzędy, które znajdują się ponad granicą wszelkiej fachowości. Czyż

nie? No, tak. I tu wiemy z pewnością coś zupełnie innego: że trzeba — sercem gryźć! że im wyższe urzędy, tem obfitsze ofiary. Ta ofiara, złożona, — ordynat bał się Strzęgorza, bardzo się bał Strzęgorza, mieli to przecież oddawna ułożone, całą sprawę pożyczki. Ale cóż Strzęgorz, — prostak, dzieciak! W gruncie rzeczy, naiwny dzieciak!

— Ta ofiara, złożona na ołtarzu urzędu, gwarantuje nam czystość intencji kandydata. — Hrabia westchnął. — Ja pragnę tu powiedzieć, że nie ma dla mnie ofiar, gdy dobro kraju w grze. Wtedy niema tradycji, ordynacji a jedno tylko jest: dobro, dobro i dobro! Mówię to, w całkowitem poczuciu tego właśnie, co mówię i co powiedzieć winien człowiek, w dzień, w którym przybliżył się do Boga.

Był to chyba początek uczciwy a zarazem zupełnie bezpartyjny. Co pan Lachowski dalej mówił, sam nie pamiętał. Za dużo wciąż miał w uszach szumu przebaczenia historii. Mówił jednakże z wielkiem uczuciem i z największą powagą o brzemieniu... O rozlicznych brzemieniach życia człowieczego i o tem jednym brzemieniu, najcięższym z wszystkich innych.

Gdy usiadł wreszcie, usłyszał swoje ostatnie słowa. Słyszał je długo, nieomal przez cały, dość burzliwy początek dyskusji, ogromnie niebezpiecznej. Bo oto, jedni i drudzy uparcie powtarzają, jakimto trzeba być znakomitym człowiekiem, aby ten urząd objąć.

Trzeba być znakomitym i jeszcze znakomitszym i najznakomitszym. I wreszcie takim, jakiego pośród

ludzi wymarzyć już nie można. Lachowski patrzy, jak kiwają głowami, ileż tych głów? Ileż tych głów: Rosławski, Gruszka, Wrona, Strzęgorz, Kos i Deputa. Sześć głów tutaj nad stołem, ale w lustrzanych ścianach na każdej znowu sześć, razem dwadzieścia cztery, a jeszcze w kątach, a jeszcze pod sufitem. Ciemne wysepki, archipelagi głów!

Hrabia Lachowski przerywa wszystko nagle i powiada płaczącym głosem: — Powiedzcież więc panowie, kogo na takie stanowisko wśród nas tutaj widzicie?!

Jedni i drudzy twierdzą, że tu nie chodzi wogóle o nikogo. Że się to mówi t a k, na razie zasadniczo. Szum przebaczenia aż dzwoni w purpurowych uszach ordynata.

Wszyscy panowie płaczą nad ordynacją. A znów ludowcy wszyscy płaczą nad swem stronnictwem. Pan Lachowski nic nie rozumie, rozumie tylko jedno i to widocznie było, co mu zwiastował foksik wspomnień: że ma jednego tylko brata w swoim życiu. Tym bratem — poseł Bigda. Bo razem ich mordują tutaj obu ziemianie i ludowcy.

Pan Lachowski pragnie ocalić Bigdę. Dla pracy i dla życia. Niech sobie jeszcze pożyje ten brat Bigda. Stary August Lachowski niech idzie na ofiarę... Niech z królewskiego zamku musi się tylko przypatrywać ludziom, współczuć im, błogosławić. Ale tu wszyscy wkoło mówią o ordynacji. Mówią o niej i ciągle nad nią płaczą. Hrabia Lachowski drży i powiada zniecka:

— Ja nie chcę ordynacji! Ja wcale nie chcę ordynacji! Wcale a wcale nie chcę!! — Nie patrzy na

obecnych , boi się ich w tej chwili. Widzi jednak, jak w mętnych, zwietrzałych taflach szklanych kryształowej sali, Gruszka kiwa swą starą głową, rotmistrz Strzęgorz rozkłada płynne dłonie a pan Rosławski uśmiecha się żałośnie.

Już powiedzieli wszyscy, że i Bigda nie może i Lachowski nie może. Zanadto są potrzebni gdzie indziej. Hrabia Lachowski pragnąłby odpowiedzieć, że jest wszędzie gdzie indziej zupełnie niepotrzebny, ale szum przebaczenia historii dwoni mu ciągle w uszach.

Rosławski, dyplomata, hotelarz, zaczyna przekonywać, że pan Bigda nie stoi na czele ordynacji... Bigda, to człowiek wolny. Niezależny i wolny. Ludowe głowy zniżają się nad papier, głowy ziemian szybują wyżej, omijając twarz Lachowskiego, jakby go nie widzieli, jakby go tu nie było.

Ordynatowi wydaje się, że wszystko tonie zwolna. Jeszcze niedługa chwila a lachowickie jezioro wespnie się wyżej, w górę, aż tu, na pierwsze piętro i temi drzwiami szklanemi wpłynie do kryształowej sali. Hrabia Lachowski wydziwić się nie może, że koledzy nie przeczuwają wcale katastrofy.

Tymczasem, nagle, — wszyscy chłopci powstali. Hrabiowie też powstają. Gruszka płacze, łązy mu skapują ciurkiem. Pan poseł Kos śmieje się czarną gębą. Deptuła, — jak odęty! Strzęgorz aż łśni.

Niepodobna powiedzieć, co się dzieje nad stołem, w czystym, pustem powietrzu. Cóż powietrze? Jest to przestronny żywioł i nic więcej. Hrabiemu wydaje się, że ktoby tam wyciągnął rękę, toby mu się spaliła. Tyle tam w tem powietrzu nieprawdy

i podłości. Powietrze jednak wszędzie wytrzyma wszystko. Wytrzymuje nazwisko prezesa Bigdy na najwyższym urzędzie. Posłowie wyciągają do siebie ręce, powietrze ich nie pali i coś mówią o lat tysiącu. Gruszka idzie naprzeciw Rosławskiego, padają sobie uroczyście w objęcia, a wszyscy inni płaczą.

Płacze z nimi Lachowski, powtarzając uprzejmię: — to takie piękne. — Ale zarazem wie, co zrobi niezadługo: rozpowie o tem wszystkim i poskarży się Bigdzie. Odwieczny pan Lachowski ze skargą na swych panów u Mateusza Bigdy...

Mateusz to zrozumie.

Później radzili jeszcze o składzie gabinetu. Kto jaką tekę bierze? Przedstawiali nazwiska, taksowali przeróżnych ludzi, obsadzali urzędy. Lachowski już nie słuchał i tylko kiwał głową. Kiwał głową uprzejmię a równocześnie nie dawał za wygraną. O nie, nie, nie, przenigdy! Układał sobie swoją rozmowę z Bigdą. Z duchowym bratem Bigdą, którego, jak hrabiego Lachowskiego, spławiają przyjaciele.

Jeszcze kino. Te dwie maskary krzywe z werniksowaniem pudłem. Dwie maskary, dźwięczące wojennymi krzyżami. Szklący obiektyw przepelznął po kryształach, potem po głowach i obliczach, zbratanych jednomyślną zgodą.

Pan Lachowski nadał swej twarzy wyraz jak-najgłębszego smutku. Niestety, nie mógł wytrwać w tej pozie. Gdy bowiem jąta lekko terkotać kinowa maszynerja, jezioro znów zalsniło w słońcu piękną, tęczową, lekkomyślną nadzieją! Nie wszystko więc stracone?! I jeszcze jest nadzieja. Czyżby więc



ostatecznie Bigda kunktował tylko, nie myślał o t e m stanowisku?...

Idą do niego, idą, jego wierni posłowie. Stary Gruszka prowadzi. Idą dość uroczyście, nie patrząc się na boki. Z okien widać tyle słońca na drzwiach, na gazonach! Niewiadomo, jak tyle blasku pomieści się wśród liści. Przechodzą ganeczkami na skrzydło Krzysztofa. Bigda śpi! Słychać równomierne chrapanie. Stanęli we trzech, ogromnie zadziwieni. Deptuła mówi:

— To nic dziwnego, że n a s z Mateusz śpi, bo ganiał całą noc. I nawet rano ze mną ganiał. To teraz śpi.

Kos, Gruszka patrzą z wdzięcznością na Deptułę. Nie śmieliby dotychczas rozmawiać tak o Bigdzie. Tak aktualnie mówić o jego aktualnych czynnościach. A teraz właśnie mówią, jakby sam on, Mateusz, gdy się chce wypowiedzieć o jakiejś cudzej, zwykłej aktualnej czynności.

— I tak czas na śniadanie, — powiada cicho Gruszka.

— Jakie śniadanie? Jakie śniadanie, — zapie nił się znów Kos. — Śniadanie masz w południe? Mówże po ludzku, obiad!

Takowe wystąpienie Kosa jest dość znamien- nym znakiem. Wystąpienie to znaczy, że Kos jest w swojej formie, że się nie stropił wcale, że będzie doskakiwał do ludzi, jak zawsze doskakuje.

Już przed samymi drzwiami do Bigdy stają, jak- gdyby czegoś zapomnieli. Czego?...

— No, no, — uśmiecha się Deptuła i śmiało wchodzi pierwszy.

Ledwie wszedł, — już się Bigda przebudził i siada na posłaniu i zaraz spojrzął na najślabszego, to jest na Kosa.

Kos, neurastenik, — skrzyło go pod ścianę.

Gdy go skrzyło, — widać, jak się zwierają potężne szczęki Bigdy, że aż cień przelatuje od skuł powyżej skroni.

Była to ważna rzecz, kto zacznie pierwszy mówić, odrazu więc zamilkli wszyscy, wszyscy wielce przezorni. Rozpoczął pierwszy Bigda. Powiedział:

— No — i co?

Na to Gruszka, prostując się odważnie: — No i nic. Jak wiadomo. Ty.

— Ja?

— Ty.

Na to znów Bigda: — Chodź tu, Gruszka.

Gruszka podszedł ku łożu mocno i uroczyście. Przyszedł, stanął równo na obie nogi i czeka całym pewnie.

— No, Gruszka, — zaczął Bigda, nie patrząc na nich, a tylko wciąż przed siebie: — Toś ty jest głową naszego ruchu ludowego?... — Bigda położył olbrzymią swoją łapę na siwej głowie szanownego seniora. Położywszy tak rękę, obrócił głowę Gruszki w różne strony, w prawo, w lewo, pod górę, to znów w dół. Niby probował, jak się ta głowa obraca w swej nasadzie.

— Tyś jest najstarszą głową ruchu ludowego, — a teraz chcecie, abym znów ja pozostał najszanowniejszą głową. To dobre jest!! — zawołał. — No, i co będzie jeszcze do tego? — zapytał, widząc, że stoją bez ruchu i czekają.

Gruszka odstąpił parę kroków od łoża i zawołał ze łzami w oczach: — Ludzie będą opowiadali kiedyś o tem, jak o Krakusie, Wandzie! — Z tego okrzyku przeszedł do przebiegu zebrania, jakto panowie próbowali, macali i jak nakoniec cały gabinet ludowcy zagarnęli. Wszystko — pod znakiem Bigdy. Bigda na każdym miejscu.

Kos, Deptuła i Gruszka przyszli do Mateusza, ażeby go uściskać. Nie ścisnęło się Bigdy przedtem. Ale teraz podeszli, wzruszeni i splakani. Dał się ścisnąć, — jak drzewo, albo jak pal sękaty. Potem otrząsnął się i rzekł:

— Chodźmy na obiad.

Śniadanie, mówiąc po polsku obiad, było na dole, na parterze pałacu, Ksawery tam podawał z synami swymi i różnymi wnukami. Zaczęło się nasamprzód od rozmowy salonowej, o pogodzie, o niczem, a nie odbyło się też bez szumnego przechodzenia, bo zrazu wszyscy stojąco rozmawiali w gabinecie wspaniałym, — co ruszyć to kosztowność i ogromna pamiątka historyczna.

Kos to stwierdził napewno. Nawet w kącie pokoju takie choćby spluwaczki muszą być chyba z prawdziwej saskiej porcelany. Kos chciał, żeby to Gruszka zaraz stwierdził, na to Gruszka odburknął, że nie weźmie spluwaczki z kąta i dnem do światła odwracać tu nie będzie.

Zakąski zjedzono na stojąco, a znów dopiero potem poszli wszyscy do stołu. Jedli i przepijali w obliczu starych, malowanych przodków, ludowcy i hrabiowie i hrabianie, ich dzieci, o długich końskich pyskach.

Wszystko się działo pod znakiem Mateusza, ale on sam, — jakgdyby spał. Cześć mu okazywali wielką, z każdym słowem do niego, z każdym uśmiechem, albo dowcipem także, ogromny zaszczyt czynili wedle Bigdy, że gdy się tylko ruszył, to jakby perłę bezcenną zgubił nagle, a oni mu znajdują tę perłę i odrazu oddają.

Gdy gębę zaś otworzył, to znów czekali jakby miał całą mowę wypowiedzieć. Wciąż obojętniał i obojętniał więcej. Pani Lachowskiej odpowiadał na wszystko, co tylko zapytała i patrzył na nią grzecznie, owszem, bardzo cierpliwie, ale hrabiemu — prawie nie odpowiadał.

Kos i Gruszka już się nawet pomiędzy sobą nastraszili poufnie, że prezesowi, czyli Mateuszowi, uderzyło do głowy? Jeszcze urzędu najwyższego nie posiadał, a jak się prędko rozpycha i rozdyma!

Po śniadaniu, gdy wychodzili na terasy, dawniej mury obronne, — złapało ich znów kino. Znowu te dwa zgłodniałe typy, Chybacz, Tylko, krzyżami wojennymi obwieszeni, z czarną źrenicą aparatu, oprawną w czarny metal. Tu prezes Bigda okazał się łaskawym dla ordynata i powiada mu zcicha: — Spotkałem tych biedaków wczoraj w nocy na szosie. Widzisz pan, panie hrabio, to ciekawe! Tak wygląda historia, — żołnierze dawni, — dziś nie mają co palić.

Lachowski przyniósł coprędzej jakieś srebrne pudełko, z którego Bigda dał każdemu do garści po cztery papierosy i spytał:

— Co? Jeszcze zdejmujecie? Możecie nas zdejm-

mować także, jak tu będziemy pili kawę. Tylko stańcie zdaleka, abym nie słyszał trejkotu tej maszyny.

Po śniadaniu miała być pogawędka przy czarnej kawie i rozlicznych likierach na terasach zamkowych, potem zwiedzanie zamku, a potem wielka uczta wieczorem. Zjeżdżali się już na nią stopniowo przez dzień cały różni dalsi i bliżsi stronnicy polityczni, którzy wyłamać mieli z pod władzy Stachowskiego i nowy blok utworzyć złożony z ziemian i ludowców. Jakaż tu pogawędka i jakie przyjmowanie gości, kiedy najwyższa głowa, poseł Mateusz Bigda, leży na szezlongu przy czarnej kawie i tylko myczy, mruczy, wcale się nie odzywa. Odął się i zasępił, oczy do słońca mruży, na wodę się spogląda i wodą się lubuje tylko, fioletowo-zieloną, a ludzi już nie patrzy.

— Murzyna mu zakupić, — powiada cicho Kos do czcigodnego Gruszki, — ażeby go wachlował, hrabinę mu postawić, ordynatową, aby mu muchy z nosa odganiała!

Powiedziano najzupełniejszym szeptem, ale to z Bigdą zawsze! Na głośne nie odpowie, a na to, co nie słyszy, zawsze daje odpowiedź. Ledwie zakończył Kos poufne szepty pod gałęziami bluszczu, rozpiętego na murach, gdy się Bigda podnosi na wezgłowie, — takie mu coś podali do siedzenia, nie kanapa, nie fotel, jedno i drugie razem, chyba że coś, jak tron?! Bigda podnosi się z wezgłowia i mówi płaciotkami słowami:

— Kiedy ma być zwiedzanie, to już zwiedzajcie państwo, my sobie pogadamy z ordynatem Lachowskim. — Już patrzy za tamtymi, już wzrokiem

daje poznać, — wynoście się, bo mam coś ważniejszego od was...

Tamci zaś nadrabiają miną, aby przykrości swojej nie okazać. Ludowcy i hrabiowie tak samo nadrabiają. Bo jakże? Za rok ma zostać prezydentem i już jest taki król?! A król! Rozgląda się dokoła po kwitnących widokach ogrodu, dalekościach zielonych i popielatych cieniach i wysokościach niebieskawo-złocistych, w zębach zaś żuje głośno swą oschłość niecierpliwą.

Hrabia Lachowski zesmutniał jeszcze bardziej. Już tak nad nim przewodzą? Już mu tak rozkazują?! Nadziei jednak bynajmniej nie utracił a to z powodu: dzisiejsze ranne oczyszczenie duszy. To się udziela bliźnim, udzieli się i Bigdzie.

Tamci wszyscy z damami, honorami, śmiechami zabrali się i wyszli. Hrabina ofiarowała się oprowadzać przybyszów. Wysoka, chuda, płaska postępuje odrazu w pierwszej parze. Uśmiecha się do Gruszki.

Na samym końcu kroczy Deptuła, kwaśny, zły i strapiony. Bo co to za rozmowy teraz, Mateusza z Lachowskim? Kiedy wszystko skończone? Deptuła odwraca się i woła: — Czyż mnie nie potrzebujesz teraz, Mateuszu?

Tafla jeziora przystawia ściśle echa tym słowom nazbyt śmiałym.

Bigda zaprzeczył. Nie potrzebuje teraz nikogo do niczego. Zostali sami na omszałym terasie: Bigda na swem wezglówiu, czarno-złoto-czerwonem i Lachowski na wyplatany bujaczku. Pocóżby mieli gadać i o czem też naprzykład wobec takiego rodzimego widoku: tu się drzewa skupiły a tam rozis-

krzył trawnik, a tu jezioro wbiło się szklaną łąką, a między wszystkim polata brzęk robaczków tkliwy i pracowity!

— Jest w tych stworzeniach coś takiego dziwnego, jakgdyby wszystko z wszystkim łączyć postanowiły.

Posel Bigda nic na to. Cóż mu tam te robaczki?! Być może, że robactwo, co lata po powietrzu, chce wszystko z wszystkim łączyć. Bigda bynajmniej nie zamierza nikogo z niczem łączyć. Taki tu jest, jak przybył; i taki jest, jak kiedy stał o świecie w lachowickim przedsiönku i taki jest, jak siedział w ordynackich stallach.

Puchy, pierzyny, żarcie, napitki i honory i co tam jeszcze było? Wszystko, nawet samego Boga dla Bigdy wyciągnij, — to co? Nie wykupisz się i nie odkupisz. Niema tu innej drogi: — masz przyjść do Bigdy sam...

Pan Lachowski dopala zwolna papierosa. Czas najwyższy, by zacząć rozmowę gruntownie i rozsądnie, ale jakże ją zacząć? Borowiny na widok Bigdy, dzięki sakramentowi nie czuje dzisiaj w sobie pan Lachowski. Rozmowę trzeba zacząć. Pan Lachowski lęka się teraz Bigdy, jak się obawiał dawniej w młodości preceptorów. I oto mówi, jak mówił kiedyś dawno, podczas mozolnych lekcyj: — Przepraszam, nie słyzałem?

Na co Bigda, zdziwiony: — Ja przecież nic nie mówię. — A pocóżby miał mówić, albo też co, na przykład? Wiedział, dlaczego milczy. Posel Mateusz Bigda milczał tu sobie teraz — za całą swoją krew. Rozumiał doskonale, że ordy-

nata okrutnie świerzbi język, że ordynat chce gadać. I musi gadać.. Za siebie i za swoich, za całą ordynację, za wszystkich ordynatów, za wszystkie ich napisy po łacinie, — za całą swoją krew!

No więc, niechże probuje...

Bigda aż zamknął oczy z niebywałej uciechy. Miał czas! Miał *wszystek* czas dla siebie. To przecież właśnie — tylko piętami Bigdy odmierza się tu czas. Wstał. Hrabia Lachowski za nim. Zeszli po schodach na dół, znów pomiędzy szpalery na równy żwir alei. Bigda szedł pierwszy, Lachowski nieco za nim. Bigda, jak Bigda, łabatym, ciężkim krokiem, z głuchym odgłosem cholew. Lachowski pieszczotliwie, cieniusienką podeszwą. Bigda, jakby sam chodził tutaj wszędzie, bez nikogo i ciągle, zawsze pierwszy. Lachowski, — jakby prowadził z sobą całe towarzystwo...

— Pochodzić razem, pooddychać powietrzem pańskim, — powiedział prezes Bigda.

Pot lał się z czoła ordynata. Język zasychał w gardle. A tu trzeba powiedzieć dużo, trzeba chyba poprosić. *Poprosić* tego Bigdę...

W pewnej chwili niedaleko od klombów róż, prezes Mateusz Bigda wyciągnął rękę niedbale i machnął przez powietrze.

Nigdy dotychczas nie zabiło tak serce hrabiemu Lachowskiemu. Cóż znaczy to machnięcie?! Ordynat zaczął w najogłędniejszych słowach, proponując posłowi Bigdzie kombinację Strzęgorza. To jest, aby się Bigda postarał o pożyczkę zagraniczną dla ordynacji. A pocóż to ma Strzęgorz robić i tak nicby nie zrobił w tym przedmiocie bez Bigdy?!



Lecz pan prezes nic na to. To tutaj właśnie kiedyś uwijał się i śpieszył. To tutaj właśnie, w tym parku wypłaszał z nor króliki, z dołka podrzutki na czas wyrzucał Lachowskiemu do strzału. Bażanty z gąszcz wypłaszał, — aby tylko na porę. Teraz miał czas i czekał.

— Czy pan wie, panie pośle, — zaczął nieśmiało hrabia, — że przy ołtarzu dzisiaj, doznałem tak dziwnej sensacji? Co też to może ta nasza matka ziemia, — myślałem...

— A ciekawym istotnie, — poruszył się leniwie Bigda, — jak też pan myśli o tem? Co też to może ta nasza matka ziemia?

— Otóż to! Doznałem przy ołtarzu sensacji! W takim skupieniu, w takim szczerem skupieniu, mimo, że przecież byli tam wszyscy swoi... Moja rodzina najbliższa, moi ludzie, z którymi tu przepędzam życie. Doznałem tak dziwnego wrażenia, że, jakby tu powiedzieć, — tamci, to znaczy żona, dzieci, przyjaciele, — owszem, ma się rozumieć. Ale brat wśród nich wszystkich to tylko jeden pan!... Choć takie przeciwieństwa! Brat wśród nich wszystkich to tylko jeden pan. To znaczy ziemia, — przez obu uprawiana...

— Ja tego nie doznałem. — Poseł Bigda, jakby się swym ciężarem przesunął w samym sobie. Jak-gdyby zmienił swą własną równowagę. Okazał Lachowskiemu twarz. Naprzeciw twarzy ordynata, wyrzeźbionej w podsieniach, w kościołach, w samej farze, — okazał twarz swoją i niczyją, z tatarów czy też turków wymieszaną, płaską, żadną, wszelaką — twarz tutejszego chłopca...

Pan Lachowski musiał odpocząć, chociażby jedną chwilkę. Zapomnieć o tej twarzy, chociażby na sekundę, duchowo zniknąć, aby znów móc powrócić.

— Prezesie, pan nie doznał tego w kaplicy, bo nawet u mnie było to chyba dopiero może w stanie przecucia. Ale braterstwo, chociaż to słowo brzmi tak nieoczekiwanie w naszym towarzystwie, rzetelne i rzeczowe braterstwo odczułem przed południem, w sali kryształowej, podczas narady naszych panów. Kiedy to nas sprzedali, pana i mnie pospołu...

— Mnie wcale nie sprzedali. Można sprzedać, co zawsze kupić można. A mnie kupić nie można, bo jestem wart, — zawsze dla siebie tylko. Pan hrabia co innego. — Bigda spojrział na ordynata i uczył, co czuł wtedy, podczas pamiętnej rozmowy z Deptułą. Tam, w sobie, w piersi, w głębi — ów twardy młynek władzy. Rozstępowały się od tego żebra, a w grdyce łaskotało.

Bigda zamilkł. Popatrzył na hrabiego, jakby go teraz żegnał, terazniejszego Lachowskiego. Niech do mnie przyjdzie bez braterstwa, bez Boga, bez wszelakich odkupień, nawet draniu, — bez hrabstwa! To wtedy pogadamy. Do tego czasu Mateusz milczeć postanowił.

Idą. I znowu idą, oprowadzają się po ścieżkach, alejach i po słońcu i po cieniu, nad wodą i przez drogę i znowu koło kwiatów.

Bigda nie mówi nic. Jakby wcale nie słyszał. Wyteżą szklane oczy, tylko jeden ruch ręką, — machnięcie przez powietrze. Dlaczego zda się ordynatowi w owej chwili, że to machnięcie spycha go

stąd i spędza z tej alei i odrzuca na trawę?!... Bigda nie chce pieniędzy? Bigda nie chce zarobić?!

Pan Lachowski rozpoczyna raz jeszcze, lecz teraz przedmiotowo. Przypomina sprawę likwidowania ordynacji. Rząd ją obejmie, pokryje wszystkie długi, a różnica, jaka powstanie między wartością ziemi i długami będzie przez państwo w postaci renty wypłacona. Czyli, że można mieć hrabiego na garnuszku. Na garnuszku — tej renty...

— Tak, ja się nie upieram przy swojej ordynacji.

Bigda nie odpowiada. Może mu ciężiej iść? Wyciąga nogi z ziemi, jakby to było bagno, — a ścieżka przecież sucha.

— Jest nas dwóch, — woła hrabia Lachowski.

Prezes Bigda przystanął.

— Jest nas dwóch, — szepce hrabia z perłowymi łezkami pod niebieską źrenicą. — Ale pan teraz jesteś całkiem wolnym człowiekiem, a cóż ja? Nieszczęsny, biedny hrabia pańszczyźniany...

Na to Bigda: — Nie słyszę, panie hrabio.

— Ten pańszczyźniany hrabia na łasce pana <sup>x</sup> chłopca dzisiejszego. — Hrabiemu Lachowskiemu wystąpiły rumieńce na niebieskawe owisłe policzki. Począł drzeć. I tak drżał dosyć długo aż się z niego śluz puścił oczami. Bo to nie były chyba już nawet łzy, lecz śluz zlepiony, żałosny, taki cienki!

— Proszę o wybawienie, — lepił się hrabia do prezesa, — proszę o wyzwolenie. Teraz ty jesteś hrabia, — a Lachowski twój chłop.

Wówczas zaś Bigda w gniewie: — Cóż to znowu za kłamstwo?!

Lachowski już z rozpaczą: — Nie kłamstwo, szczerą prawdą. Ale ludźmi jesteśmy, Mateuszu, prawda? Ludźmi przecież jesteśmy wspólnie, — obaj? A cóż ludzie?... Jak ludzie! Biedni i nieszczęśliwi i wszyscy tacy sami. Jeden od drugiego zależy ostatecznie. No, to ci powiem śmiało, że cię proszę abyś mnie zechciał zrobić głową państwa. A co będziesz chciał za to...

— Za to nic dać nie możesz.

— Za to nic dać nie mogę, dlatego proszę, — błagam!...

Mateusz Bigda wyciągnął długą rękę, ujął nią zgóry głowę ordynata, tak samo, jak dziś rano głowę Gruszki. I znów pokręcił ową głową na strony, w prawo, w lewo, zresztą dość delikatnie, dodając krótkie słowa: — No, to ja ci to zrobię.

Hrabia Lachowski chwycił Bigdę za rękę i poprowadził do tej samej altanki, gdzie to dziś rano martwili się i pocieszali, biedny Deptuła z Bigdą. W altanie, w cieniu złotych powojów, rzucił się z czułym płaczem pan ordynat w ramiona Mateusza.

— To znaczy matka ziemia, — płakał rzewnie ordynat.

Wyściskali się wreszcie za tyle setek lat, — w oczy sobie nie patrząc. Ordynatowi było wciąż wstyd, że to tak tanio poszło i dość prędko, — Bigda zaś miał swój plan jak zawsze i we wszystkim...

Wieczorem potwierdził Bigda wszystko na bankiecie. Uczynił to stanowczo, ale tak po swojemu, iż nikt nie mógł zmiarkować na czem rzeczy stanęły? W czem się tu pogodzili, a w czem znów jest różni-

ca i jak porachowany będzie cały zjazd lachowicki?! Bigda mówił na końcu, już po wszystkich toastach. Ze swego zachowania nic nie zmienił. On tylko tak potrafi.

Zjawił się w starodawnym salonie, jakby to nie był salon, lecz poczekalnia kolejowa, na którymś dworcu jakiejś linji węzłowej: że to niby nie bardzo mu wiadomo gdzie, na co, z której strony, na którym torze oczekuje kogo, w którym pociągu?..

Stanął tu, tam, tu się przypatrzył i tam znów spojrzął chwilę i jakby się nakoniec odbił od wszystkich ścian, na których nie ma nic więcej do widzenia. Woda go tak ciągnęła, czy stare mchy zielone z pośród obronnych murów połyskujące ciemniem aksamitnym wśród nocy? Czy dalszy widok z długich okien pałacu, w rudawych smugach ciemności pogrążony?

Podchodzili do Bigdy jedni i drudzy, swoi, obcy, ludowcy i ziemianie, — nic im nie miał do powiedzenia. Słuchał, patrzył szklanemi źrenicami i odchodził ku dalszym oknom wyglądać na świat nocny.

Podczas uczyty, — znowu to samo. Bigda jadł i popijał, jakby za siebie oddzielnie tutaj płacił. Spożywał co i inni zaproszeni. Trzeba też dodać, że siedział obok Lachowskiej na najważniejszym miejscu. Ale i siedział bokiem, po swojemu i jadł półgębkiem.

A tu tymczasem, przynajmniej wedle Kosa, bankiet szedł, jak pioruny, i po starce stuletniej głowy się podegrzały a cóż dopiero przy tylu innych tak rozmaitych i solidnych winach?!

Polak może być dobry albo też zły, do tego, siego, czy tamtego. Jeżeli przy bankiecie, — to nie-

ma nad polaka! Takto powiadał Gruszka. Polak zjeść zdoła, zawsze, jak nikt, polak ci zje ofiarnie, a wypije nietylko do dna duszy, lecz także i dno połknie.

— Tak wypić, jak my tutaj! — wołał ksiązę Rosławski. Bo już przepili z Gruszką wszystkie inne granice, rzeczowe, polityczne. Zostali w wirującej nicności alkoholu, kraszanej dobrem sercem. Co w gębę wino wlejesz, to się wylewa z serca najczystsza serdecznością.

A tu dwadzieścia okien historycznej jadalni, a tu powszedy światła, a tu znów za oknami rozmiar pachnącej wiosny, — sto lat oddać za taką jedną chwilę niktby się nie powstydził! W tymto sensie mówili. Najprzód hrabia Lachowski. Kluczył, kluczył, miętolił i kołował, poczem rozplakał się poufnie. Nakoniec przymiliwszy się turkusowem spojrzeniem Bigdzie, wydusił wreszcie swój toast zasadniczy, — w czterech słowach:

— Gość w dom, — Bóg w dom!!!

Potem przemawiał Gruszka. Czamary nie miał. Miał inną niespodziankę dla wszystkich. Przemówił na początek po polsku, dalej zaś, jak nie utnie po łacinie! Prałat Korytko i sam ksiązę Rosławski, Strzęgorz, panny Lachowskie, — oklaskiwali wszyscy.

Wszystkim rozwiązały się języki, z którychto mów wynikało niezbiecie, że wszystko dotąd, na przestrzeni długich wieków, była jedna pomyłka. Tyle miłości teraz i tyle ukochania wszyscy do siebie czują.

Bigda, rozparty srodze, patrzył na Ksawerego. Jak się stary uwija, jak mu się ręce trzęsą, jak czuwa, drży, podbiega i jak ukradkiem w mrocznych

cieniach kredensu nawdziewa okulary, ślipie przez za-  
pocone szkła na rozliczne półmiski, aby porządku po-  
traw nie prześlepić. Widać nie wolno służbie mieć  
żadnych ułomności, a tylko śpieszyć wypada nieustan-  
nie. Ten właśnie widok starego Ksawerego napełniał  
Bigdę usposobieniem, koniecznem do tej chwili. Usposo-  
bienie zbierało się, wzmacniało.

No, — Ksawery się śpieszy, — a Mateusz ma  
czas.

Co się Bigda poruszył, to go znów przewietrzy-  
ło powietrze stron tutejszych, dobry powiew ojczy-  
zny. Są dwie ojczyzny, — potwierdzał sobie pre-  
zes, — jedna jest wyrzeźbiona w kamieniu, — druga  
umiera codzień w każdym lichym Ksawerym...

Wiedział to prezes Bigda, wiedział inne, pa-  
miętał wszystko inne. Cekał, kiedy wypowie tę swo-  
ją prostą wiedzę. Ba, nie wstaną od stołu, koryta  
nie opuszczą, póki się nie wypowie... Miał chyba  
czasu dosyć. Świadczyli prezesowi, kłaniali się tak  
nisko, mógł był robić, co chciał, wszelaką miarą  
wszystkich ich interesów rozporządzał dowolnie.

Tam z kąta znów maszki, krzyżami obwiesz-  
ne. Dwa inwalidy, bohaterzy nakręcają w aparat  
swych nowych, dobrych panów. I też się muszą śpie-  
szyć, niczem stary Ksawery. Bigda długiem spojrze-  
niem szuka ludowych posłów za lachowickim stołem.  
Gęby się im aż świecą. Rosławski z Gruszką prawie  
się już całują.

Chyba, że pora gadać?! Bigda powstał, uczyni-  
ła się cisza. Jedno naczynie, jedna łyżeczka nigdzie  
już nie zabrzękła. Mateusz Bigda stał rozważny, spo-  
kojny, bardzo cichy. Nagle, — uderzył pięścią w stół.

Serwisy podskoczyły i o sklepienia dźwiękiem swoim brzęknęły, przez wielkie drzwi weneckie śmignął szczęk szkła w rozległą głąb jeziora. Bigda przemierzył oczyma swoich ludzi i obcych, poczem utkwiał spojrzenie, jakby w zegarze domniemanym, na którym szuka godziny upatrzonej. Dopatrzyć się nie może. Znalazł, nie znalazł? Otrząsało go i mówi.

— Co się tu działo, wiem. Wiem wszystko, co się działo tutaj pomiędzy nami. Cóż? Zgadzam się na wszystko, choć mnie przy tem nie było. Ale, — panowie! Nie będzie tak, jak ja się na to zgadzam, tylko będzie inaczej!

Machnął ręką i przestał patrzeć w ów domniemany zegar niewidzialny. Szklanemi źrenicami powiódł pomiędzy ludźmi, wpatrzył się w Lachowskiego i zawołał: — Wstawać panowie, wszyscy, wstawać! Wstawać na cześć hrabiego Lachowskiego. Pierwszy to dzisiaj człowiek tutaj pomiędzy nami!...

Gdy się jeszcze wahali, czy też nie rozumieli, Bigda powtórzył groźnie: — Wstawać panowie, wstawać, pierwszy to dzisiaj człowiek!

Gdy już powstał, Bigda wznosił czoło wyżej. I tak trwał sporą chwilę z głową uniesioną, niby wilk, nim wyć zacznie. W rzeczy samej, — ogromna grdyka Bigdy jęła drgać, przesuwając się pod skórą, przez której spierzchłe fałdy jęły się przedostawać długie schrypte skowyty.

A oto nagle głos mu się przetaił całkowicie, stając się ostrym, cienkim, połyskliwym, jak blacha. Bigda zaczął:

— Panowie! Stoję tu za tym stołem a wkoło mnie, nade mną, przy mnie i wszędzie między nami



i wszędzie między nami leży tyle historii! Tyle wieków, ba, jakich?! Straszna jest nasza historia, panowie, między chłopem a panem straszna, straszna, panowie, która się w jednym tuczy a w drugim wciąż umiera! Ta historia weszła tu dziś do zamku na naszych chamskich butach. My tu jesteśmy, panowie moi zacni, — kto bądź. Ludzie zwykli, z tej czerni dookolnej, na której kwitnie wasz pałac, ogród i cała ta uroda. Skoro tu jednak wszedł, to cóżto jest za jeden ów kto bądź?!

— My tu jesteśmy, — woła Bigda, twarz mając już czerwoną, purpurową, żyłkami czarnymi przejętą, — owe miliony cierpień zakorzeniałych tutaj, a zawsze zapomnianych. Których ta ziemia stara nawet już nie pamięta. No! — przekreślił powietrze, jakby rozplątał przestrzeń sali na części. — No, więc tak wy, jak my zeszliśmy się tu na porachunek, który chcemy, aby był kompromisem. Zgodą. I to już jest zawarte pono, ów kompromis, zawarty, tak, od ręki. Cały dzień pracy naszej poszedł na ten interes. Jeden dzień — i te wieki! Mój dzień pracy nie poszedł, gdyż mi tutaj, pół - na pół, w głębokim śnie przepłynął. Chcę, by to było pamiętane, że gdyście się wy naradzali, to ja spałem głęboko.

Powietrze wielkiej sali, powietrze z nad jeziora oddało mu to słowo ostatnie w głuchym kształcie.

— Ale ten sen, panowie, — ciągnął Bigda, — przyszedł na mnie nie ze mnie... Uległem mu, jak brzeg nieumocniony ulega wodzie wielkiej. Tak ja uległem tutaj osobliwszej niemocy. A niemoc ta, panowie, wypłynęła z odczucia, z dopatrzenia tych długich strasznych wieków krzywdy i okrucieństwa.

Hańby i poniżenia, które tu widzę w każdym obrazku i w każdym lustrze, chyba w każdej cegielce tej wspaniałej budowli. Samo tylko wspomnienie, samo tylko dalekie wyobrażenie owych czasów a już mnie potrafiło wyrwać z mojej doczesnej jawy i w tamtą jawę przenieść... I tutaj, w tymto zamku, — jak kłódę powaliło. Com przesypiał, com śnił w tych murach lachowickich? Śniłem może te nasze dawne wieki, nieszczęście upłynione i plecy moich ojców pod batami ugięte, i matki nasze chłopskie pogwałcone, a dzieci nasze w gnoju, gorzej, niż wasze świnię!

Przerwał, gdyż mu powietrze znów grdykę rozsadało. Przerwał i patrzył się, jakby na jaki obraz biblijny z przypowieści okrutnej, świętej a oszukanej.

— Wyście tymczasem, — mówił tchu zaczerpnąwszy, — zgodę tu już skleili pomiędzy wami, nami. A czy niema trzeciego, zapytam się? Wypada się rozejrzeć. Kto jest ten znowu trzeci? I wy i my, to dobre jest. Ale pomiędzy nami i wszędzie poza nami, — to chyba będą jeszcze jacyś inni, przed nami i przed wami, po was, po nas? *Dzieje!!!* Ten mróz straszliwy, straszliwszy, niżli w ciężkiej godzinie niespodziewanej śmierci. Kto niesie owe dzieje w swoim ciele? I jak je rozgrywamy? Czy to ty, czy tamten? Lachowski, czy Rosławski, — może Gruszka albo Deptuła? Czy ty je niesiesz w swoim ciele, czy też tamten rozgrywa?! *Dzieje to są, panowie, — stanąć przy takim pługu i tę skibę odwalać dla następnych pokoleń. Dzieje to są. —*

Co chciał powiedzieć jeszcze, tego już wcale nie rzekł. Pot gęsty zalał Mateusza Bigdę. Pot ciepły

i kroplisty, że trzeba było kraciatą chustką, kupioną na lachowicką okazję, wytrzeć czoło i kark.

Co chciał powiedzieć jeszcze. Mateusz Bigda? Nie rozumieliby niczego: Że ma nad sobą zegar pusty, że na tarczy zegar ów zapisuje godziny wszystkim innym?!... Nie rozumieliby nic z tego. I że jedne tu tylko słyszą żywe kroki, kroki twardych stóp Bigdy? Nie rozumieliby nic z tego. Mateusz pragnął wszystko zawrzeć w jednym jedynym słowie. Ale, że mu się szczęki ścisnęły, zatrzasnęły, — nie mógł nic wypowiedzieć. Tylko tak myczał, skuczał z głową ku czarnym niebiosom wyciągniętą. Aż nagle, zaciskając powieki wrzasnął nieludzkim głosem:

— Panowie, Bigda idzie! Bigda idzie!!!

Ledwie zadrzało echo, ledwie wody jeziora dopadło, znów huknął pięścią w stół i znów zaskuczał długim, srogim skowytym i znów powtórzył zakamieniałym krzykiem ku ścianom i na świat: — Bigda idzie! Tu Bigda idzie, Bigda!!!

## Rozdział III.

### Okręt tonie.

Dzień, — cóż za dzień okropny! W niespodziewanem zimnie umotany, nagle, w lecie, jesienny. Mało, że wiatr od rana i plucha, od rana taki garus, taki gwałt. Poseł Tyczka, ojciec, opiekun całej służby folwarcznej wiedział, gdy stąpnął na mokry schodek tramwajowy, że to będzie dzień sądny. Wystarczyło wsłuchać się w dzwonienie konduktora, obrzękłe w gęstej mgle i prawie pogrzebowe.

Co poseł Tyczka wyczuł na początku, to się sprawdzało chwila za chwilą i człowiek po człowieku, łajdactwo za łajdactwem. Takie życie, to nie jest żadne życie, niech kto mówi, co chce!

Poseł Tyczka postanowił nie liczyć więcej na żadne rezolucje, obietnice, ustawy. Cóż, do jasnej cholery, liczyć jedynie na swoje własne siły! Które? Ludzkie, zwyczajne, czy też organizacji?

Organizacja? Fornali mogli zawsze z pod niego wyciągnąć i upić i porobić z nimi wszystko — przeciwnicy. Którzy? A mało to miał przeciwników po-

seł Tyczka. Przeciwnik jest to drań. Mało draństwa na świecie?!

Upić i przekabacić fornali, nie było to już nieraz? Powypuszczali ci przeciwnicy swoich księży, zamęcili, a ty potem odkręcaj! Nie spało już pan poseł Tyczka przed każdym swoim wiecem w Warszawie, pospołu z fernalami na słomie, po garażach, czy gdzie? Musiało pilnować ludzi, jak kwoka kurczą?

Organizacja, siły organizacji? Zapóźno już jest na to. Tyczka liczył na własną siłę, osobistą. Jeśli będzie za dużo fałszerstwa, albo nie tak, jak trzeba, czy, jak jest obiecane, — w mordę!

Wiadomo teraz, które siły, a niewiadomo tylko, komu rozkwaćkać mordę. W Rosji, w czasie zamętu tym „beznamiętnym“ trybem chadzał Tyczka. Szczerze, otwarcie tłukł towarzyszom mordy. Z czego później wielką gubernią władał niepodzielnie. Czemużto uciekł stamtąd? Za łatwe było takie walenie w mordę, czy co?... Za łatwe, obca ziemia. Można walić i rzecz jest zajmująca, ale na własnych śmieciach. Tu zaczął też od tego i dobrze szło mu wszystko, prędko i bardzo skłladnie, póki nie został posłem. Kiedy został tym posłem, tak się zrobiło, że się na pana podał, na wyższego polaka, prawie inteligenta.

Marynarka i książka! Która, jaka? Różne z różnych bibliotek. I okulary sobie sprawił, choć widział doskonale, chłop przecie był, jak dąb. Mimo tych okularów, polityka nie wyszła. Okazało się, — fernal, numer „nie przechodzący“.

Dzisiaj postanowił poseł Tyczka zawrócić do

dawniejszej metody. Jak co nie tak wypadnie, — w mordę! Z takim hasłem spokojnie, beznamiętnie przyjechał dziś do sejmu. Postanowił tu wszystko prowadzić szczegółowo. Na pierwszy ogień powysuwać fornali.

Wszystko wiadomo i od początku nic niema wiadomego: wiadomo które siły, wiadomo też, jak działać, ale co są fornale, to znowu niewiadomo! Czy są fornale, — czy trzy pokoje porządnego mieszkania w Warszawie, i żona ze wsi tutaj sprowadzona, zarazem czworo dzieci, albowiem piąte w drodze. Na przydatek do tego wszystkiego fisharmonja.

Dawny właściciel pozostawił w mieszkaniu fisharmonję, piękną z klapami drewnianymi i porcelanowemi guzikami i z malunkiem na fryzie. Na guzikach napisy różne, viola, — czyli że skrzypce. albo też vox celeste — czyli, że głos niebiański. Dawny właściciel wymówił sobie oczywiście, że ją zabierze później. Z tej fisharmonji nabrała sprawa fornalska we wszystkich posunięciach posta Tyczki silniejszego znaczenia.

W mordę, — albo nic nie wiadomo, bo jakie znaleźć wyjście? Synek Tyczki, ten drugi, przybiega teraz co dzień do owej fisharmonji, nogami ziemi jeszcze nie dostaje, ale jak zacznie grać! Przebiera po klawiszach, przebiera i wybiera tony kościelne i melodyki własne, takięto dziecko dziwne, powołane! A jeżeli fornale przegrają, wiele rzeczy powywraca się w sejmie, powywraca się w partjach i już, wynochy z miasta, wcześniej, później i już cię niema w mieście i już niema mieszkania i niema fisharmonji!

Nie powrócą te dawne dobre czasy, kiedyto

strejki szły po całej Lachowszczyźnie. Poseł Tyczka pomyślał zawczasu, by na dzisiejsze posiedzenie mieć swoich ludzi wszędzie na galerjach sejmowych. Potrzebował widoku owych ludzi, chociażby na wypadek własnego przemówienia z trybuny. Po drugie, na wypadek jeszcze innego, ważniejszego wypadku... Po trzecie, niechże ryczą i wrzeszczą, gdy potrzeba. Z tem tu jechał, do sejmu, wcześniej, już od samego rana. Wcześniej od wszystkich, wyznaczonych na dzisiaj konwentyklów. Miał to do siebie jedno, od losu szczerze dane, że gdzie stał i gdzie był, chociażby na platformie porannego tramwaju, — odstęp od siebie przepisany wytwarzał.

Gdy pośrodku platformy — takie a takie bary! Takie a takie lędźwie; takie a takie mięśnie obu rąk; takie a takie dłonie sięgają skromnie po własną portmonetkę, — jest zaraz przepisane poszanowanie Tyczki. Gdy tego dnia dżdżystego skierował kroki ku właściwemu budynkowi sejmowemu, to jest minąwszy wprzód wyzłocone sztachety, zakreśliło mu się raz jeszcze w głowie osobistą czułością.

Na myśl, jak chłopczyzna, ten drugi z rzędu, Piotruś, dosiada stołka przed wielką fisharmonją, aby wybierać tony z klawiatury. Gdy jednak poseł Tyczka pchnął szklane drzwi wejściowe sejmu, znikło odrazu wszystko, te tam jakieś uczucia, i jedno pozostało: wóz, albo przewóz!!

Obleciał swych stronników, co czekali w przed-sionkach. Pozbierał dla nich bilety na galerję, uciulane od innych posłów pod wszelakim pozorem. Mieli różne swe znaki, z sympatykami, że jak ty to, ja tamto, jak ja się wezmę za ucho, to wy śpiew zaczy-

nacie, a jak trzy razy uderzę się po głowie, to krzyk. Klapowały te znaki. Obleciał poseł Tyczka wszystkie kluby, przepatrzył cały bufet sejmowy, jeszcze pusty. Pierwsze zapachy śniadaniowe wyłaniały się z kuchen. Wszędzie nic i nikogo. Tego się bał najwięcej i to było, jak raz!

Wiedzieli doskonale przeciwnicy Tyczki, że gdy ma wroga przed sobą w postaci osiągalnej, zawsze wie, co ma zrobić. Lecz gdy takiego wroga widocznego niema, gdy go odszukać musi dopiero, to już, jak mawiał onże sam, poseł Tyczka, — szabasz! Szabasz, — wszystkie zamiary mogą łatwo wywietrzeć, potem nic niewiadomo.

Wiadomo, niewiadomo, to jest cały los życia! A tu fisharmonja i Piotruś... Miał dnie pan Tyczka, że wrogowie szli wciąż na niego, — określał to: jak na figurę. Szli, jakby na figurę, prosto, zamiast ominąć. Wtedy wiedział, co robić. A miał znów dnie, zwłaszcza gdy chciał się upominać o to, co się należy, że wszystkie drzwi były przed nim zamknięte, wszędzie nikt, albo słudzy, naprzykład woźni i co wtedy, i co?!

Taki dzień dzisiaj był. W sekretarjacie klubu socjalistów, czyli jak się mówiło „pod leaderem Mieniewskim“, — nikogo. Czarna żydowica (tak o niej myślał Tyczka), krzywa i pełechata sekretarka nie chciała nic powiedzieć. Posłowie obradują na mieście, bo płaszczów tu nie widać, — to wszystko, co wiedziała.

Pewno, że obradują. Tyczka też obraduje ciągle i to z kim, — z samym sobą! Rzecz jest wielka i straszna, jeżeli słuchy o zjeździe w Lachowicach są wier-



ne. A może się postowie porozbierali w szatniach, na dole, aby tutaj powietrza wilgocią nie zasmradzać (Mieniewski stary jest czuły na powietrze).

Pan Mieniewski, — Tyczka nie wiedział, jak dalej o tem myśleć. Mieniewski dawał pieniądze na strejki, nawet dawał swym ludziom, potem ochłódt, a teraz, jeżeli prawdą jest, że Bigda ma złamać Stachowskiego... Cała sprawa fernali wisi na Mieniewskim, ale jakże go złapać, jak się czego dowiedzieć? Taki dzień, — co się na kogo narwiesz, same tylko czynniki nieobliczalne całkiem. Tymczasem życie sejmu napływa i napływa drzwiami, korytarzami i w zapalonych wszędzie pełnych światłach, w sekretarjacie, wszędzie!

Każdy się za czemś śpieszy, jakiś kawałek sprawy, czy też kawałek sumienia przyniósł tutaj na sprzedaż. Każdy swe wielkie gówno uparcie naprzód toczy. Przy maszynach do pisania zaczynają dyktować sekretarze. A więc początek posiedzenia niezadługo!

Koło świetlistych biur Tyczka mija na palcach; z przeróżnych stron wypada rój śpiesznego pisania a znów ten rój, ten grad, raz po raz bije w głosy, które się teraz podnoszą w Tyczce, w te głosy fisharmonji. Tyczka przeczuwa beznamiętnie, iż wyjdzie z tego wszystkiego kłopot... Takato jest cholera: — jeszcze nie wiesz, że wiesz, a tymczasem zawczasu wszystko już ułożyłeś...

Co robić? Za co łapać! Swojaków utkał po galerjach, jeść nie ma co w bufecie, bo w domu dosyć zjadł, a gdzież jest pan Mieniewski? Tyczka idzie, roztrąca, rozindyczył się srodze, lecz jeszcze

głębiej odczuwa w sobie piękny ton fisharmonji. [Aby tylko nie wyszło z tego jakieś nieszczęście! Jakie, które i kiedy? Niewiadomo, — bo wszystko niewiadomo. Wiadomo tylko jedno, że się to skończy chyba mordobiciem.]

Tyczka wyszedł na podjazd sejmowy, ażeby tu wyczekać i kto się napatoczy tego odrazu łapać, nie puścić, dogadać się koniecznie. Napatoczył się Koza, niechże będzie ten Koza. Poseł Koza i Tyczka. Dość poręczne spotkanie: jakby się na pień gruby owinął mokry ręcznik. Zaczęli we framudze, chamrali się ze sobą w świetlistym korytarzu, później w hallu piętrowym. Z poszeptów Tyczki wynikały przedziwne wieści o zjeździe w Lachowicach. Coś się już przesączało do świadomości poselskiego ogółu. Potworne słuchy, że Bigda z ordynatem Lachowskim zlepili nową większość?! Wszyscy się tem brzydzą i wszyscy zazdrościli, więc jakże to zrozumieć? Jak gdyby sobie pluli sami do własnej gęby!

Szczepiały ich te wieści i zaraz rozczepiały i wynikało z tego, że człowiek jest nie człowiek, a rzecz nie jest już rzeczą i co widzisz — nie widzisz! Parlamentarny stan gorączki i błędnego majaku.

— Was, socjalistów wykiwają tu pierwszych. Ja jestem człowiek dziki — mamrotał poseł Tyczka, — ale mnie można mieć. Mieć zawsze, do wszystkiego, mogę się zawsze przydać! — Nim podał argument musiał się zawsze wzruszyć, gdyż inaczej nie sposób.

Tak samo było teraz; Tyczka, który w uścisku mógł tu z każdego wygnieść najostatniejsze flaki, płacze żywemi łzami! Koza widzi i patrzy: jakby się woda lała z niebieskich oczu Tyczki. Koza widzi

i patrzy, nie odpowiada wcale. Jest dziś w żałobie, w samych głębiach żałoby, jeżeliby żałoba mogła się między sobą rozróżniać jako tako. Kolory czerni są zawsze kolorami ciemności. W ciemności takiej żyje Alojzy Koza, ma nią przejęte teraz wszystkie myśli, wszystkie postanowienia. Z ciemności owej wynika pośpiech Kozy w postanowieniach i politycznych sprawach. Pośpiech ów ma prowadzić do wyjawienia prawdy.

Powiedzieć prawdę, obedrzeć ją ze skóry biedną, smutną i głupią — o parlamentaryzmie, albo ustawodawstwie. Rzeczy te nigdy nie stoją na porządku dziennym, jakże się dostać do porządku dziennego, jak dojść do przemówienia, kiedy partyjna władza nie pozwoli przemówić, — jest regulamin klubu i jest twój weksel bracie, dany na posłuszeństwo przewodniczącemu.

Koza dławi się ciągle swoim niemrawem słowem, a co przeżywał dawniej, to było jeszcze nic! Mógł przecież zawsze gadać i gadał, ile wlaźło, nakładli mu po pysku za gadanie, ale gadał, co czuł. Tutaj zdławiony chodzi, pysk mu zamurowali wekslem. Ma coś do powiedzenia, na ileżby to minut wypadło, kilka zaledwie, jedna minuta prośby! Stań na trybunie, złożyc nabożnie ręce, zakląć ich na kopalnie, na krwawe gruzy głowy, na zimną wodę pochylni, i dodać, — zechciejcie uszanować biedny parlamentaryzm!

Koza miał swoje, dość smutne porachunki z biednym parlamentaryzmem. Widział to, gdy zobaczył, że Zuza idzie na dno. Idzie na dno i tonie. Odszukał ją dzięki pomocy Kapuścika w Grec-

kim Hotelu. Był tam, widział ten pokój, kuferki po Kostryniu i to życie nieszczęsne. Wysztafirkowana Zuzanna, rzekomi impresarje, nawet nie żadne Coeur'y, małe ubogie hycle, wypędki i półludzie. Zuza pośród hołoty owej inna, lepsza, życiowa, przygnieciona lecz dobra, — gdzie przystaniesz i wszędzie, gdzie się schylisz widzisz, że tylko z krzywdy i że tylko z nieszczęścia wynika szczerą prawdą. A co z nią dalej robić? Na co się komu zda?

Parlamentaryzm, biedny parlamentaryzm! Nie trzeba było oglądać się na Zużę! Trzymać oczy zamknięte trzeba było na wszystkie biedy ludzkie, osobiste; nie handlować partyjną wiarą za lokowanie forsy po starym Kostryniu i nie kupować sobie za tę forszę znaczenia.

Koza nie wierzył, by postępował kiedykolwiek tak marnie. Wiedział jednak, że tu, na samym progu swej sejmowej kariery, oddałby przecież wszystko, by ratować dla Zuzy tych kilka marnych groszy. Nie uratował nic a stracił wszystko, nawet sympatię i szacunek lidera. I jeszcze więcej, swój własny, ach, swój własny szacunek dla lidera...

Tyczka, istny Sobieski z postawy, a ze względu na rozum głowy istna główka od szpilki, gada obecnie i międoli o leaderze Mieniewskim? Koza słucha donośnej chrypy Tyczki i drży. Drży we własnym sumieniu, w swojej moralnej podstawie, która zapewne musi mieć własną, nieubłaganą geometrię.

— No, to chodźcie, — powiada wreszcie Koza, — pójdziemy razem, znajdę wam Mieniewskiego,

z pod ziemi wam wyciągnę. Tak, do cholery ciężkiej!

Te słowa, — do cholery, — to specjalna w tych czasach muzyka dla biednych uszu Kozy. Rzecz pewna, niema już w cywilizowanych częściach świata żadnej cholery. Były dawniej rzeczywiste, kostropate, rozwolnieniowe, biegunkowe, naturalne, dziś są tylko cholery duchowe. Kto je ma leczyć, jak, przezczyszczeniem, czy zatwardzeniem, jakim? Serce wodą zalewać, czy parą rozdymać, gdzie jest cholera taka, w tobie, — we mnie, — w powietrzu?!

Biegną we dwóch na górę, a czas sejmowy przyspiesza swoje znaki. Dzwonki już dzwonią zewsząd, choć jeszcze niema posiedzenia, coraz więcej czarnego śmiecia poselskiego na schodach, w korytarzach i w hallach i już dyktują wszędzie w kancelarjach o wiele więcej, prędeej. Pod ścianami przybywa wszędzie ludzkiego gruzu i już się wodzą we dwóch, we trzech, jak to się wodzą skrytobójczo podczas dni przesilenia: poufnie a zarazem złowieszczo, ten z tamtym, tamten z tym, nie do pary, bez sensu.

Tyczka wie doskonale, że jest w tem sens ukryty, którego nigdy nie umiał sam wypatrzeć. Chodzą ze sobą, którzy się na trybunie świniami obzywali, śmiertelne wrogi chamrają się ukradkiem pod białymi ścianami. Tyczka czuje nieszczęście i powiada, co wie o Stachowszczykach. Że są gotowi, że borbę tu szykują, że tu pod sejm podejda i rozbić się nie dadzą, będzie interpelacja, czy jak tam, — w sprawie krzyża, a socjaliści nic! Na fornali nie patrzą, nic nie przygotowane...

Tyczka uchwycił oburącz posta Kozę za piersi.

Piers Kozy wątła, cóżto za piers, mój Boże, w rękach siłacza Tyczki. Cała piers z kamizelką, koszulą i krawatką, niczem chustka do nosa i to jeszcze dziecinna w ręku wzrosłego męża. Od takiego uchwytu posłowi Kozie oczy zapadły wgląd do czaszki. Powiada teraz Tyczka:

— Przygotowania idą, ale jest jeszcze czas aby wszystko załatać... Dajcie mi wyróżnąć w mordę Stachowskiego. Nic więcej, krótko, prosto! Szabasz!!

Koza w odpowiedzi na ową propozycję popada w zamyślenie. W zamyśleniu radość nagłą odczuwa: że jeszcze nigdzie nie słyhać ludzkich słów. Tu w sejmie przez dzień cały od rana do wieczora dudnią mowy. Z korytarzów na piętrach, wszystkiemi głośnikami, z każdej ściany, z każdego kąta wydymają się słowa. Dziś nic nie słyhać jeszcze. Koza ucieszył się i powiada do Tyczki, jakgdyby do swej myśli: — Biedny parlamentaryzm.

— Żaden parlamentaryzm, — Bigda!!! Teraz, jak przyjdzie Bigda, to nas tu wszystkich zgubi! — Wypowiedziawszy słowa owe żałosne, Tyczka zagarnął osobliwie całego Kozę w siebie i prawie uniósł, dowlókl aż pode drzwi klubu socjalistycznych posłów.

Korytarz, drzwi i klub, — rzecz zupełnie zwyczajna. Są to jednakże straszliwe progi społecznej moralności. Drzwi do połowy z drzewa, górna połowa jest z matowego szkła. Nic, nic, same przedmioty, ale pośród takich przedmiotów toczy się ciągła sprawa człowieczeństwa. To samo dalej, wszędzie. Niby szaragi, płaszcze, maszyna do pisania. Koza wdarł się do klubu, pewny, że tu nikogo

jeszcze nie zastanie. Tymczasem drzwi klubowej sali posiedzeń już zamknięte. Koza nie pyta i nie czeka długo. Zachodzi z boku do tak zwanej dyżurki, gdzie zbiera się starszyzna, główne prezydjum klubu. Za stołem rozsiadł się tu nad papierami poseł Cynwajs.

Rozmowa z posełem Cynwajsem stała się i odbyła, jak we śnie.

Tyczka rzucił się na Cynwajsa. Ten znów, niby męczennik zaraz odstonił pierś, że niby morduj, bij. Tyczka szalał, z pięściami doskakiwał, wrzeszczał, że go obecnie socjaliści wystawiają do wiatru, niema dla niego miejsca w Odrodzeniu u Dołańskiego, Bigda go już sprzedaje panom, a socjaliści, na rany boskie, socjaliści!...

Cynwajs na to spokojnie, że mógłby odpowiedzieć, iż socjaliści dawali Tyczce pieniądze, ludzi swoich dawali. Tu znów Tyczka o banku, tym Banku Robotniczym, o pieniądzach, o świństwach i nawet o złodziejstwach, jak nie ryknie, nie wrzaśnie!

Cynwajs, — teraz dopiero zrozumiał Koza, dlaczego z żydów wyszedł chrześcijanizm a potem znów socjalizm... Cynwajs na to, jak nie wrzaśnie o wierze w ducha, w człowieka, w jego walkę wieczystą. Żaden leader, czy narodowiec, niktby tak nie potrafił. Prawdziwe — dziesięcioro przykazań, — aż się Koze zebrało na płacz, chociaż nie wierzył swym przywódcom partyjnym, — cóż dopiero ten Tyczka?!

Drżał wielkim ogniem wewnętrznym i choć się brzydził Cynwajsa, że taki żyd krogulczy, — teraz patrzył się w niego, jak w tęczę. Ryk Cynwajsa wywabiał z wielkiej sali posiedzeń klubu lidera Mińskiego.

Co się za rzeczy dzieją dzisiaj w sejmie! Koza nie mógł wyjść ze zdumienia: piętnaście minut nie było tu nikogo, teraz już wszyscy siedzą z Mieniewskim na czele. Klub cały czy starszyzna wyłącznie, tego dobrze nie widać przez zamykanie drzwi. Widać tylko, że strasznie nakurzyli, powietrze jest aż gęste od niebieskiego dymu.

Mieniewski, istna skała tarpejska: stoi czarny, wysoki, w białe drzwi wrysowany, jeżeli nawet nie- szczęście zaplątany w banki, przedsiębiorstwa i szkody, — to może warto płacić, wszelkie straty pokrywać, gdzie drugiego lidera znaleźć z taką postawą i z taką doniosłością oblicza?!

Stoi i nic nie mówi.

Cynwajs urwał przemowę. Koza drży, jak osika, — bez najmniejszych zastrzeżeń. Ale głupi cham, Tyczka? Czy taki cham zrozumie postawę parlamentarnego przeznaczenia leaderowskiej postaci? Tyczka, w płaszczu zmoczonym, gdyż dotąd biegał w płaszczu, puciołowaty, mięsisty, z okrągłemi rękami, zbliża się do lidera. Wszyscy drżą, cóż ukrywać? Zbliża się do lidera Tyczka srogi, podchodzi, staje oczy w oczy i powiada nakoniec:

— Ja to załatwię za wszystkich nas, odrazu. A jak nie pozwolicie, to was samych... — Straszliwemi rękami ułapił się za głowę, by się udrzeć za włosy. Włosy miał gęste, złote, twarz okrągłą, jak koło, oczy głupie, niebieskie, sypiące promieniami. — A jeśli mi nie dacie, — krzyczał donośnie Tyczka, — toście są wciąż ci sami, tośmy są wciąż ci sami!! — Pokazywał palcem Mieniewskiego, Cynwajsa i sie-



bie. — Szlachcic, żydek i chamuś, biedny fornał! Szlachcic, żydek i fornał!!

Widok był niewymownie przykry, do tego nie spodziany. Koza widział tę scenę, jakby obraz stworzony nagle, sam dla siebie zamknięty. Wszystko tak widział teraz, — stworzone i zamknięte — gdy Zuza na dno poszła.

— Szlachcic, żydek i fornał, — wrzeszczał wciąż dalej Tyczka, — lecz w takim razie, panie Mieniewski, wypuszczę juchę z nosa, tobie wypuszczę juchę!

— Szlachcic, żydek i chłop, to razem właśnie Polska, twoja Ojczyzna, durniu! — krzyknął poseł Mieniewski. — Twoja biedna Ojczyzna, panie Tyczka. A cóż pan o tem wie?!

Słowo — ojczyzna, — w ustach wielkiego socjalisty świadczy o tej najwyższej cenie, jaką gotowa płacić wieczysta walka klas na rzecz znikomych zmagani o sprawy drugorzędne. Nawet Tyczka rozumiał taką ofiarność ducha. Ofiarność i wysokość. Wysokość ducha, to jest właśnie tarpejska skała, z której strącona będzie każda małość i marność. Wysokość ducha okazał w danej chwili właśnie leader Mieniewski. Tyczka zbladł, płacze, wyje, a pan poseł Mieniewski, nie zwracając uwagi na te żałosne płacze, już rozpoczyna mówić, opowiadać samemu sobie cicho, czego chciał, co zamierzał i jak to projektował w młodości. Mówi głosem spokojnym, rzewnym, nie patrząc na nikogo. Przemawia do swojej własnej krzywdy a z takim miłosierdziem i zwątpiałym rozumem i bez żadnej goryczy, jakby do samej wieczności tu przemawiał.

Najczcigodniejszy bronz ogorzałego oblicza w najczcigodniejszym srebrze wysłużonej siwizny. — Cóż pan wie o szlachcicu, — powiada cicho leader. I zaraz mówi dalej pięknie, rozumnie o swym dworze, dalekim pięknym dworze pierwszego dzieciństwa, o tej woli prostoty i woli ubóstwa i równości u syna tego dworu, dzisiaj pono lidera partji,— Mieniewskiego!

Przeżywa z tego na klasę robotniczą, a z klasy robotniczej przechodzi na pracowników rolnych, na umowę zbiorową, na marzenie dzieciństwa, które ma siwą starość koronować. Marzeniem tem jest rozwój klasy pracowników rolnych.

W trakcie przemowy dał leader znać oczami Kozie, by wyprowadził Tyczkę. Gdy się wyprowadzali tamci, skruszeni i złamani, leader wciąż mówił dalej, niby przed samym sobą spowiadał się. Gdy się zamknęły za Tyczką drzwi, Mieniewski przestał mówić. Tak, było to ohydne wkońcu! Sprzedawał teraz, niszczył i poniewierał najmilsze swe wspomnienia dzieciństwa. Pierwsze chwile myślenia, odczuwania! Spojrzał z najgłębszym wstrętem na Cynwajsa.

— Wolałbym, — rzekł, — zdechnąć już raz!

— Nieprawda.

— Prawda.

— Możesz sobie w łeb strzelić każdej chwili.

— Nie mam już na to sił.

Wówczas Cynwajs: — Gdy niema nic wielkiego na widoku, znajdzie się zawsze do odrobienia mnóstwo drobniejszych rzeczy. Mówię otwarcie: sprzedamy Bigdzie fernali, z Tyczką na dokładkę. To nas ratuje z afery Banku Robotniczego. Cóż,

trudno, niema wyjścia. Nie myślę więcej o tem. Rzecz druga: Stachowski, Stachowszczycy. Awantury, rozruchy... Jeżeli się pobiją, to z Bigdą. My przecież zostajemy na stronie.

— Mamy związane ręce! — jęknął nagle Mieniewski.

— Ja wcale nie mam związanych, — rzekł Cynwajs chowając obie ręce do kieszeni. — Polityka nie jest sprawą wolności, lecz pracy. Także — przewidywania. Trzeba ściśle ustalić jaka będzie ta nowa większość. Wedle moich obliczeń przypadnie nam conajmniej jedna teka, którą obejmiesz ty.

— A ty?

— Ja nic nie obejmuję.

Nikt na świecie, chyba że tylko oni jedni umieli tak się zwalczać wzajemnie. Ileż to trwało? Kwadrans, czy dwie minuty? Zapienili się obaj, rozżarli się, rozpiekli, — rzecz chyba była jasna! Tekę ktoś musiał objąć, niepodobna sprzedawać się za tanio za Robotniczy Bank!

Cynwajs wysuwał na tę tekę Mieniewskiego, czyli, że go wypychał z partji, z wszystkich dostojenstw i godności, z całej władzy partyjnej. Żarli się stojąc naprzeciw siebie, machający rękami, jakgdyby rwali z siebie strzępy żywego mięsa. Wzburzeni i opluci, za starzy na te kłótnie, oddechem za słowami nadążyć nie mogący, roztrzęsieni, zmęczeni i aż szczęśliwi z zajadłego gniewu.

— Albo będziesz ministrem, — albo możesz pakować manatki — powiedział na odchodnym Cynwajs. Wyszedł, drzwi starannie zamykając za sobą.

Leader pozostał sam. No tak, — „możesz pako-  
wać manatki”...]Upadek tego rodzaju należy jaknaj-  
prędzej nazwać poświęceniem. Poświęcenie dla partji.  
Cóż to za chwila, jedna z tak zwanych przez leadera  
*chwil ostatnich!* Rozpoznawał w sobie po pewnem  
drzeniu jednolitem, które pruć się zdawało całą po-  
stać, wszystkie mięśnie i delikatne tkanki. Udręczenie,  
ale zarazem rozkosz, — czuć się zwykłym czło-  
wiekiem, marnym, jak wszyscy inni.

Uczuć podobnych doznawał leader bardzo nie-  
chętnie. Kiedyż to, kiedy czuł się zwykłym człowiekiem  
w pełnem znaczeniu słowa? Marnym, jak wszyscy  
inni?! Chyba, kiedy opuszczał Zagłębie po najprzy-  
krzejszej rozmowie z Tadeuszem... Kiedy wracał na  
dworzec z Burusiem (smycz po Burusiu wisiała do-  
tąd za lustrem w sypialni leadera) kiedy wsiadł do  
ślipingu. Pociąg już ruszał, Buruś podskoczył był  
do okna, za szybą mijał świat Osady Górniczej dy-  
mem i mgłą zasnuty. Wtedy czuł się leader równie  
zwykłym człowiekiem, równie marnym i prostym, jak  
w tej chwili.

Mieniewski powstał, otworzył drzwi do pierwszej  
sali, — czekał tam jeszcze Koza.

-- Chodźcie tu do mnie, Koza, — zawołał pan  
Mieniewski, dając równocześnie znak pełechatej se-  
kretarce klubu, by mu nie przeszkadzano. Była to  
chyba niewątpliwie jedna z tych chwil *ostatnich*,  
przełomowych. Leader musiał się komuś wypowia-  
dać, złożyć na kogoś ciężar upokorzenia, klęski... Pa-  
ni Chylickiej nie było, jeszcze biedactwo nie wiedzia-  
ło o niczem, tam w Karlsbadzie. Mówić ze starszym  
synem, Stanisławem, dziś prokurentem Bigdy, albo

też z Tadeuszem, — sama już tylko myśl o Tadeuszu przyprawiała lidera o wściekłość.

Rozgrzeszenie, och, rozgrzeszenie, konieczne, — od kogoś, bylekiego, chociażby bylejakie, — ulęga! Mienniewski ujął Kozę pod rękę i przyciągnął do siebie. Chyba od czasów gdy się na froncie widywał z Tadeuszem, nie czuł się tak zwyczajnym i pospolicie zgębionym człowiekiem.

Sekretarz Koza dał się przyciągnąć, lecz trwał dalej w milczeniu. Któżby zdołał wypowiedzieć, co się obecnie działo w nieszczęsnem sercu Kozy?! Serce to zewsząd odpychane i odepchnięte, przez kobietę, przez partję, przez ojca partyjnego Drażka, przez tyłu ważnych ludzi, — znalazło się w tej chwili tak blisko największego człowieka partji, lidera Mienniewskiego.

Koza mówi, że leader poniewiera ludźmi, jak najwścieklejszy autokrata. A jednak, każdą cenę zapłacić chyba warto, każdą ofiarę złożyć, za tę serdeczną bliskość!

Stali w wąskiej framudze przed szybami podwójnego okna, zalanemi obfitym deszczem. Leader czuł wodę deszczu, jakby pod własną czaszką. Zmywało mu się wszystko pod powiekami, zmywało mu się wszystko w pamięci. Za chwilę trzeba będzie iść do Bigdy. Na dnie porozumienia z Bigdą leży Bank Robotniczy. Sprawiedliwość pieniądza najwyższa, najsurowsza! Fale obrotu wygładzą ją odrazu, pozostaje jednakże jakgdyby wiecznotrwała i niema słowa, któreby potrafiło zmazać wyrok sprawiedliwości dotyczącej obrotu groszem.

Przypomniało się liderowi, co opowiadał kie-

4  
dys o Drążku i o innych zaufanych działaczach, gdy ich pomawiał, iż nie mogą wytrzymać żadnej próby przedmiotu. Leader Mieniewski u kresu swego życia uległ próbie przedmiotu i jest na łasce Bigdy?! Nie poszedł przecież na zawalenie Banku Robotniczego, wołał gubić fornali. Wołał, musiał, czy chciał,— co robił, ach, cóż robił?!!

— Tak, towarzyszu Koza, — wykrzyknął, przyciskając do siebie kościstą postać sekretarza, — pozwólcie jedną chwilę refleksji. Jedna króciutka chwila. Myślę o swem dzieciństwie, mój drogi towarzyszu. Nie przeszkadzajcie mi, kochani, — ryknął nagle Mieniewski, widząc że kilku posłów wchodzi z klubowej sali posiedzeń.

Znikli w drzwiach, leader jeszcze mocniej przycisnął sekretarza do siebie.

— Dzieciństwo, — prawił dalej, — to jakgdyby w malutkim skrócie wskaźnik całego życia. Moje dzieciństwo to wieś we dworze. Dzisiaj stoję nad grobem,—wówczas...Wówczas w nieświadomości przeżywałem zasady mego życia przyszłego. Rozumiecie? Zasady, — linje kierunkowe. Dzisiaj — sprawa fornalska... Byli to wówczas tam na wsi, w mem dzieciństwie, pierwsi ludzie pracy. Fornale: rzecz, niby bez znaczenia a jednak dla mnie, wierzcie, o znaczeniu zupełnie zasadniczem. Dziś gdy stoję nad grobem...

— Co też pan mówi, leaderze nasz — uśmiechnął się fałszywie Koza, — gdzież to wasz grób, co też to powiadacie?

— W mojej słabości, — jęknął poseł Mieniewski, — w zmęczeniu jest mój grób, szanowny pa-

nie pośle. A tak, a tak.—Wyrzekł te słowa z wdziękiem. I lekko i rodzinnie, że Koza, chociaż nieubłągany i mściwy, rozżalony, przerzucił ramię przez postać Mieniewskiego. Ośmielił się ścisnąć w garści szew marynarki leadera, tuż nad boczną kieszenią.

— Nie mówcie tak leaderze, — westchnął Koza, — sami wiecie, że wszystko na was wisi i wszystko na was czeka. — Kłamał. Zdawało mu się jednak, że wypada tak mówić. Nic już nie wisi na tym starym szaragu.

— Otóż mój drogi towarzyszu Koza, — szepnął leader poufnie, — jestem na szczytach, wy zaś jesteście zwyczajny poseł, parlamentarny szeregowiec. Wedle hierarchji partyjnej, cóż, mój drogi: generał, — szeregowiec. Przychodzi taka chwila, chwila najcięższych zmagañ w której musi generał zastukać do serca szeregowca. Musi zapukać, niejako własnoręcznie. Bo szeregowiec, to jest zasada całego ruchu zbiorowego i wszelkiego działania. Wy jesteście. mój Koza, takim człowiekiem właśnie, tym zwykłym szeregowcem. Kopalnia, ojciec pijak, matka praczka. a znów wy, od pierwszego dzieciństwa w chomacie, — oto najczystsza pieśń jednostki robotniczej. Muszę zapukać dzisiaj do waszego serca.

Leader spojrział na Kozę zgóry. Szara twarz niezdarzona, brzydka, pokryta rudym puchem; zielonooka, mizerna trupia główka, — to właśnie szeregowiec partyjny, wychowany na wiecu syn społeczny... To on, on tylko może dać dzisiaj rozgrzeszenie!...

— Kochany przyjacielu, — mówił leader, — patrz, dzieciństwo i grób. W beznadziejnym uścisku tychże samych, nieszczęsnych ludzi pracy, fornali.

A teraz, drogi synu i towarzysz, — leader wypowiedział słowo „synu”, jeszcze czulej przyciskając Kozę do siebie, — patrz, ilu coraz nowych poświęceń wymaga droga nasza?! Cóżbyś wybrał na moim miejscu? — Mieniewski patrzył zgóry na pomarszczoną ze wzruszenia, żalowaną twarz Kozy, na szybę ciągniętą deszczem zalaną i uczuł z nieopisaną ulgą, że już zaczyna całkiem skutecznie przerzucać z siebie całą odpowiedzialność na nieszczęsnego sekretarza.

— Dla tych biedaków, dzięki którym przenieśliśmy sprawę pracy z miasta na wieś, należałoby poświęcić honor partji i kredyt, zaangażowany w Banku Robotniczym. Tak — krzyknął pan Mieniewski głosem najszczytniejszych przemówień, — popełniliśmy wielkie błędy w tym banku, tem większe, tem dotkliwsze, że błędy łatwowiej szlachetności. Brak doświadczenia, na Boga, jakże straszny brak doświadczenia! Ale teraz, teraz, kiedy nad grobem stoję, a mam wybierać między całością partji i jedną tylko częścią naszych wielkich zagadnień?...

Towarzysz Kozia zmartwiał poprostu w objęciu lidera. Błędy łatwowiej szlachetności?! Ładna szlachetność: tyle czasu siedzieli we dwóch w banku, leader z Cynwajsem i wszystkie kooperatywy partyjne zatruli forszą a Kozę, gdy ostrzegał, przez woźnych na łeb ze schodów zrzucali!

— Powiedz mi, synu mój, którego uważam za szarego człowieka partji, za tę najlepszą miarę społecznych prac, — cedził słowa Mieniewski, — powiedz, jak mam postąpić dzisiaj... Gubić całość dla



części?! Czy też część wyratować, nie patrząc już na całość?

Odskoczyli od siebie nagle. Przez sekretarską ciupkę i dalszą salę klubu, przez sale wszystkich klubów, przez wszystkie korytarze, halle, gabinety, bufety, przedsionki, loże rządu, galerję, pokoje marszałkowskie, wicemarszałkowskie pruć się długi przeciągły dzwonek. Dźwięczał i trwał, wzywając na posiedzenie sejmu.

Posel Mieniewski pochylil się nad Kożą i zawołał: — Powiedz co czynić, okręt tonie!

Drzwi od sali posiedzeń klubowych prysły, wysypał się z nich cały skłócony klub, huczący gęstym głosem towarzysza Cynwajsa.

Posel Mieniewski, jakgdyby usiłował zakryć całym sobą łup i ofiarę swoją — tak nakrył i odgrodził od innych, skulonego przy oknie Kożę. Posłowie wypychali się śpiesznie przez drzwi, a ci tu trwali, stary leader, wczepiony w swego szeregowca. Tamci już wyszli, a oni tu przy oknie ciągle jeszcze czekali, aż przeminie głos dzwonka. Przebrzmiał, cisza zapadła.

— Powiedz za siebie sam, mój synu, nie za partję, za siebie, za szarego, potocznego człowieka, — kusił leader Mieniewski, — wydaj rozporządzenie, poucz mnie. — Bronzowa twarz lidera lśniła bladym połyskiem, nad ciemnym czołem srebrzył się pierścień dostojnej siwizny.

— Gdy do tego doszedłem w mem szarem, marnem życiu, — zaczął Koza. Jakże się miał opierać tak wspaniałej pokusie były sekretarz Związku Górników, metalowców, towarzysze przez towarzyszy własnych

zawsze poniewierany, redaktor, którego w Zagłębiu kijem tłukli, — gdy do tego doszedłem, że mnie zapytujecie, takiego sobie pionka partyjnego i pionka życiowego...

Leader przerwał surowo: — Jesteście jeszcze młodzi, towarzyszu. Szanujcie swoją młodość i sądzicie rzecz surowo!

Jeśli tak srogo stawia kwestję Mieniewski, to cóż on, mały Koza? Przypomniawszy sobie, jak widział Zużę ostatnio, w numerze greckiego hoteliku, — tak ją widział przez szyby teraz... Zamazaną, w potokach niewstrzymanej żalości... Jak tam siedziała Zuza pod lampą, niby z ómą szeleszczącą! Óma, to kostjum zszyty do jakiegoś występu. Zuzanna Kostryńiówna, to miłość, miłość, miłość na śmietniku. Fornale znów, to jest to samo, co pomoc na kopalni. Ostateczna niedola, z której Koza wychodzi, której był bratem zawsze, którą tu miał wyleczyć idealną słodyczą ustawodawstwa. Cóż jednak Zuza i cóż fornale i cóż ustawodawstwo znaczy, gdy leader sam trzyma Kożę w objęciach, on leader, źródło partji.

— Towarzyszu Mieniewski, — mówił Koza, wyciągając ku górze rękę, jakby z toni otchłannej, — wedle mego świętego przekonania, choć ja nie znaczę nic i wcale się nie liczę, poobtrącany pionek na waszej szachownicy, wy macie obowiązek ratować honor partji wszelakimi środkami, jakie macie dostępne i jakie tylko są!! To jest wasz obowiązek i tu się nie rachują ani pieniądze, niby po kim i czyje, — mówił to w szczytnym mrozie wielkiego poświęcenia, — ani się nie rachują żadne klasy społeczne. Towarzyszu leaderze Mieniewski, jedno

tu tylko słowo, my za jego murami: partja!!! My — za murami partji.

Wypowiedziawszy przeraził się sekretarz Koza. Jak się stało, że aż do tych słów doszedł? Za to jedno objęcie dwuznacznego lidera? Który miał na swem czole całą historję partji od a do zet wypisaną kłamliwie, — oddać wszystko w swem życiu, nawet miłość osobistą od a do zet?

Koza chciał coś powiedzieć jeszcze, nie mógł. Usta mu tylko drżały. Zwrócił spojrzenie, pełne strasznej boleści na swego wodza partyjnego. Leader Mieniewski trzymał sekretarza wciąż w objęciach. Były to też objęcia zupełnie wyjątkowe. Rwały się ciągle, jakby prąd wewnętrzny rozszczepiał je, podczas gdy leader poniekąd wbrew prądowi zczepiał je i zaplatał.

— Kochany towarzyszu, — westchnął leader, — dziś w waszem ręku spoczęło życie partji. Rozstrzygnęliście sami. — Leader spojrzał raz jeszcze w oblicze Kozy. Nie Stanisław i nie Tadeusz bezczelny! Prawdziwym synem całożyciowej pracy lidera Mieniewskiego był chyba ten człowieczek, posłuszny, nieszczęśliwy.

— Chodźcież więc teraz ze mną moi zacni, kochani do pracy, — rzekł uroczyście leader.

Przez pokój sekretarki skierowali się już do wyjścia; Koza, objęty przez postać Mieniewskiego, któremu przewalało się w myślach głębokie obrzydzenie, pomieszane z najśłodszą tkliwością.

Mógłże Koza nie spojrzeć w owej chwili na pełechatą sekretarkę partji?! Nietylko spojrział! Przechodził, mijał przed nią, jakby ta brzydka i starze-

jąca się, nieporęczna istota była całym amfiteatrem, ba, tłumem niezliczonym, całą socjalistyczną partją! Niech zaświadczy, niech widzi, chociaż nic nie rozumie, niech sobie zapamięta jak leader Mieniewski w decydującej chwili kroczył pod rękę z Kozą.

Gdy się znaleźli na korytarzu sejmowym, już poza klubem, spadli z obłoków w sam środek codzienności sejmowej. Posłowie, dziennikarze, telegrafisci, protokulanci, stenografowie — wszystko zniknęło za drzwiami wielkiej sali. Jakgdyby wiatr wymiatał tych ludzi ze wszystkich zakamarków, kątów, schowków, lokalów, ubikacyj, — jeden ogromny przeciąg ludzki, poganiany dzwonieniem elektrycznych sygnałów.

Poseł Mieniewski spojrział przelotnie na zegarek. Spóźnił się o pięć minut do Bigdy, do gabinetu pana wicemarszałka Ciaracha.

— Kochany towarzyszu, — zawołał pan Mieniewski, wskazując głową salę posiedzeń, — idźcie, czuwajcie, ja w myśl waszych wskazówek będę ratował, co się da jeszcze uratować.

Koza już znikł za szklanymi drzwiami. Odwrócił się raz jeszcze ku Mieniewskiemu, jak człowiek, który usiłuje pokrzepić znacznie nieszczęśliwszego od siebie. I już utonął w czarnej nierównej skibie zgiętych pleców poselskich.

Idźcie, czuwajcie... Był to stary, wypróbowany chwyt posła Mieniewskiego, stosowany w najtrudniejszych wypadkach pożycia sejmowego. Wogóle, cały epizod z Kozą stanowił znaną w praktyce lidera punkcję. Gdy czas nie pozwala rzekomo na dłuższe konferencje, tembardziej zaś na „masowe po-

siedzenia", wypadek jest nagły, bierze się pierwszego z brzoła towarzysza, jego opinia musi zadecydować. Później na wiecach robi to doskonale wrażenie, dając całkowitą bezkarność. Opowiada się później na wiecu, jak to w najcięższej i najtrudniejszej chwili złożyło się decyzję w ręce pierwszego z brzoła szarego towarzysza.

Nie zdarzyło się jeszcze posłowi Mieniewskiemu, by ktoś ośmielił się podważyć ten wyborny proceder. Obecnie jednak, czy że sprawa była zbyt ważna, czy też, że zabarwiona kwestją osobistego prestiżu (ocalenie Banku Robotniczego!), leader ucieszył się, iż dostał rozgrzeszenie od szarego człowieka, zmartwiła go atoli cena rozgrzeszenia. Miał znowu wolną rękę, to prawda. Działał wedle myśli maluczkich i najmniejszych, to też prawda. Wiedział jednak, że rozgrzeszenie to wyżebrał i wybłagał, wymanił, wycygał od swego szeregowca. Czy można niżej upaść?! Kogoż jeszcze przekupywać wypadnie, gdy się już przekupuje szarą nicość partyjną?!

Zadzwoniwszy do gabinetu wicemarszałkowskiego, leader Mieniewski w oczekiwaniu aż otworzą, poczuł się — dziadem. Dziadem, nędznym żebrakiem. Nędzarz, żebrak! — Czy się nie pomyliłem? — zawołał, gdy mu wreszcie otwarto.

W wąskiej, czarnej przestrzeni półuchylonych drzwi lśniło ciemne oblicze Bigdy. Trwali naprzeciw siebie, obaj, jakby zdumieni. Nagle zadrżały płaskie, blaszane słowa: — Nie pomyliliście się, panie pośle, skorości tu trafili.

## Rozdział IV.

### Spizarnia Bigdy.

Zamknawszy drzwi za leaderem Mieniewskim, rzekł Bigda: — Mam na ten cały interes siedem, no, dziesięć minut. Najwyżej dziesięć minut. Bo więcej czasu nie mam.

Leader stał przez chwilę bezradnie pośrodku gabinetu wicemarszałka Ciaracha.

— Czasu jest mało, — chrypiał Bigda, — ale ten czas jest cały dla nas i nikt nam nie przeszkodzi.

Sytuacja wydała się panu Mieniewskiemu groteskową, niezwykłą, zarazem pospolitą; sytuacja kryminalnego romansu, którą przeżywa... Przeżywa?! Odcierpieć się to musi każdym nerwem, każdą myślą! Przypomniały mu się rzeźnie centralne, które zwiedzał parę dni temu na czele jakiejś komisji: — spojrzenie ogłuszonego wołu. Leaderowi tak samo teraz zapadają powieki na oczy. Za chwilę ma się rozegrać rzecz decydująca, trzeba skupić uwagę, chodzi o partję, honor, Bank Robotniczy, chodzi tu też o syna, o całe stanowisko, może przyszły gabinet, — a tu, powieki zapadają na oczy.

Kto Bigdę zna, nie może mieć najmniejszych złudzeń. Tu jest główny plac boju Bigdy i niema stąd odwrotu. Zwłaszcza dzisiaj, gdy wszystko postawiono na kartę. Plac boju, oraz główna kwatera: butelka wódki, kieliszki na spodeczku sejmowej restauracji, wędlina pomierzwiona na talerzu, stara ciężka papierośnica, z papierosami zlanemi wódką od strony ustników, aż do połowy „palenia”. Na podłodze, na stole, wszędzie pełno niedopałków, a powietrze sine od dymu.

— Nie wiem, — uśmiechnął się Mieniewski, — siedem, ewentualnie dziesięć minut, nie wiem, czy w tak dokładnie określonym czasie zdążymy dojść do ładu?

— Cóż, możemy spróbować! Jak nie dojdziemy, to się jeden wywróci, a drugi dalej pójdzie. Słucham pana, panie leaderze. — Był to chwyt Bigdy, ponieważ już klasyczny: wołać kogoś do siebie, mieć do niego interes ważny, potem, jakgdyby tamten człowiek pchał się tu i napraszał.

— Mogę panu powiedzieć, — zaczął cierpliwie Mieniewski, — wszystko to samo, co pan sam wie. Stachowski, — Narodowcy! Rozruchy, awantury. Nie wiem tylko, w jakich to planowane jest rozmiarach. — Nie wypadało mówić leaderowi, iż wiedział o rozmiarach, ba, że licząc się z nimi wydał odpowiednie instrukcje swojej partyjnej milicji. — Wydaje mi się, — kończył leader to zdanie z wielkim dostojenstwem, — że rozmiary okażą się o wiele większe, niż dotąd przypuszczamy.

— Napijmy się, — przerwał Bigda. Mateusz mógł pić zawsze, ile tylko zapragnął. Wytrzymawał,

gdy wszyscy inni dawno pod ławami leżeli. Pierwsze zwycięstwa Mateusza nad Gruszką datowały od pijackiego stołu. Bigda wiedział, że leader był też kiedyś niezgorszy w srogim fachu pijackim, teraz jednak na starość zesłabł znacznie, lekarze zakazali i pić wcale nie może.

Niech pije, jeśli pragnie rozmawiać z panem Bigdą! Mieniewski spojrział z determinacją w piwne źrenice Bigdy i wychylił kolejkę dwóch kieliszków, na poprawiny trzeci.

— Ba, — dodał Bigda, — tego, co przepijemy, nie wciągamy wcale do czasu, przeznaczonego na rozmowę.

Leader Mieniewski odpowiedział wzgardliwie:— Możesz pan sobie wciągać, czy nie wciągać, jest mi to obojętne w pewnym sensie.—Te słowa,—w pewnym sensie, — to była jeszcze furtka. Złagodzenie, zmiękczenie. Leader wyrzekłszy owe słowa, przesiadł się pod ścianę, na kanapę, gdyż było mu niedobrze po wódkach (wątroba), nie chciał siedzieć naprzeciw okna, pod światło i nie chciał patrzeć w szyby, zlewane deszczem. Widok taki demoralizował dzisiaj pana Mieniewskiego.

— Mam na ten nasz interes, panie Mieniewski, — rzekł Bigda, kiwając się nad stołem, opodal lidera, — siedem, czy dziesięć minut. Czasu niewiele, ale to nie dziwota, bo już wszystko, co trzeba dawno załatwione. Mam to tutaj, w kieszeni. — Uderzył się po lewej piersi, na której zwykł był nosić swój wielki stary portfel. Nie notes komedjancki, jak Deptuła, lecz portfel ze sprawami, pieniędzmi, jak się patrzy by były w takim portfelu politycznego męża.



Mieściły się tam wszystkie dowody, czy donosy, odpisy, dokumenty. Co trzeba na kogo: jakiej długości i jakiej szerokości hak. Jaki i na kogo i kto na jakim i od kiedy już wisi i na ile już skruszał a na ile ma jeszcze skruszeć.

Bigda, otarłszy kąty ust po wódce, wypowiedział przez zęby: — Każdy jest u mnie dawno i dokładnie na haku, to przecież sami wiecie leaderze, boście mąż doświadczony. Po cóż więc dużo mówić? — Poszedł ku ścianie i przekręcił przełącznik elektryczny. Musiał teraz lidera Mieniewskiego widzieć jaknajdokładniej. Uważać, dobrze patrzeć, jak się też i Mieniewski czuje na swoim mocnym haku?!

Było to ważne i mogło znacznie skrócić chwile rozmowy. Pan Mieniewski czuł się jak należało. Wyglądał, jak nieżywy. Martwy. Poprostu trup. Oczy miał przysłonięte żółtymi powiekami, usta wdół opuszczone, na czole krople potu, lecz wcale nie płynące, już nieruchome, jakgdyby martwe. Na czole i pod spodem wielkich kości szczękowych zluźnione żyły czarne.

— Wszyscy wzajem, trzymamy się w tem życiu wzajemną zależnością, — wyrzekł lekceważąco Mieniewski, — nie jest to nic nowego.

— Nowego nie jest nic, to prawda, ale jest. — Bigda popatrzył na zegarek, wielką srebrną cebulę.

Pan Mieniewski rozplótł ręce, złożone na pierśsiach.

— No, proszę, słucham pana, — rzekł znowu Bigda, ruszając ciężkim krokiem w swoją bezdrożną drogę po pokoju. — No, proszę, słucham pana.

Wypróbowali się przedwstępnie wiadomym chwytem, co do swych pełnomocnictw, ale chwyt był za słaby na ich wytrawne siły. O dostatecznych pełnomocnictwach od swojego klubu!..

Bigda zachnął się, ścisnął szczęki, obluźnił i rzekł: — No, dobrze, a jak tam zdrowie, panie pośle. — Zdrowie dobra zamówka.

Jak tam zdrowie, może znaczyć, — wciąż jeszcze żyjesz, draniu, a kiedyżto już zdechniesz! Jak tam zdrowie, znaczy zarazem, — możesz śmierdieć i żyć i jeszcze więcej śmierdieć, gdyż jesteś mi potrzebny, pamiętaj, masz być zdrów. Jak tam zdrowie, — może tak samo znaczyć: żyjesz a ja cię nie zabijam, popatrz, jaka to łaska. Ze zdrowia niedaleko do pogody. Od pogody jeden już tylko krok do życia, świata, Boga, — do niczego. Prezes Bigda nie dał się nigdy zwodzić takimi baraszkami. Rzekł:

— No, ja do rozmowy naszej nie mam najmniejszych pełnomocnictw. Jeżeli teraz jeszcze zaczniemy się bawić w takie durne sprawy, to nie gadajmy wcale.

Wypadłoby powiedzieć, że się znajduje ponad pełnomocnictwem wszelkiem. Ponad swym klubem. Lepiej wcale nie mówić takich rzeczy, dawno jasnych. Mieniewski siedział na kanapie, pod ścianą. Kanapa szanowana, starożytna, w grube ramy ujęta. Ramy były z mahoniu. Leader odczuwał przenośnie, porównawczo, że jak tu dziś uderza głową leciutko o ramę drewnianą, tak kiedyś, niezadługo uderzać będzie jego zbolała głowa chyba o ramę trumny... Partja, partyjny szereg, Koza, honor, ja-

kieś tam mury partji, Stanisław, czy żeniaczka, fornale, czy też Tyczka, — wszystko znikome głupstwa.

Pan Mieniewski nie patrzył nawet na chodzącego wzdłuż gabinetu Bigdę. Po co? Na co?! Znał przecież tego chłopca wybornie. Cóż myśli taki Bigda? Żeby wszystko zagarnąć. Bigda sam był fornalem kiedyś, fornalem, czy też drwalem, — wszystko jedno.

Tępe, chamskie wahadło!

Mieniewski słyszał, jak to wahadło proste uderza ciężkim chodem o podłogę, mija z jednego kąta w drugi, a każdym krokiem przybliża czas decyzji. Jednego nie mógł w tej chwili zrozumieć pan Mieniewski, to jest postępowania syna, Stanisława. Taka rozgrywka polityczna, czy inna, na tę, na tamtą stronę, taki blok, czy owaki, — to zawsze wkońcu głupstwo. Ale, że syn, Stanisław?!

Pan Mieniewski nie lubił w gruncie rzeczy tego tak spokojnego i tak miłego chłopca. Po stokroć wołał Tadzka! Jednakże tego właśnie, Stanisława hodował i popychał, podciągał i wspomagał, — po co?! Po to, aby za każdym razem, przy każdej sposobności doznać tylko zawodu. Toż jeszcze wczoraj kłócili się ze Staszkiem, toć jeszcze wczoraj Staszek (prokurent firmy bigdowej Nasza Nafta, N. N.) do oczu skakał leaderowi i prosił i zaklinał, by leader oszczędzał Bigdę w walce.

Stanisław, — myślał teraz Mieniewski, — sprzeda mnie zawsze za byle jakie grosze, dlatego jemu właśnie oddaję zawsze wszystko... Leader był graczem zbyt wytrawnym i zręcznym, by się miał

ludzi jeszcze, iż zdoła wpłynąć na decyzję takiego mechanizmu, jak Bigda. Lepiej milczeć i myśleć o czymś innym. O Chylickiej, o ostatniej rozmowie z Cynwajsem, o tem, co mówił Cynwajs słusznie, że gdy fornale dostaliby działki, to wystąpią ze Związku, przestaną być nadal Związkowcami. O Karlsbadzie.. Po przesileniu trzeba będzie pojechać do krajowych, czy zagranicznych wód; może nawet z Chylicką? Tak, w takim razie trzeba będzie koniecznie przedłużyć urlop Ani w gimnazjum.

Sprawa urlopu nagłym blaskiem oświetliła wszystko, o czem leader Mieniewski starał się tu nie myśleć: że oczywiście, wstąpi do gabinetu Bigdy. Jako minister otrzyma urlop dla Chylickiej w ciągu jednej minuty! Czy również w związku z gabinetem Bigdy przypomniał się Mieniewskiemu jego dawny kolega Kostryń? Kostryń, Felek, nieszczęsny biedny Kostryń przysyła tu zapewne na kanapę oprawną w mahoń znaki telepatyczne z zaświatów z powodu swych dolarów.

Leader struchlał: przez zwężone powieki patrzył na chodzącego po gabinecie Bigdę. Bigda przerwał swą drogę po dywanie, nalał kieliszki i nie częstując, wpatrzony w zwiędłe powieki Mieniewskiego, rzekł:

— To wszystko zasadniczo, niby „za zgodą“, czy też „w porozumieniu“, maximum, czy minimum, albo też o ustawie małżeńskiej, przemysłowe ośrodki, czy też listy zastawne, spłaty i raty, to wszystko zasadnicze, w takiej chwili, jak ta nie dla nas oczywiście. Bo któżby się w to bawił?! — Uśmiechnął się

od ucha do ucha, pokazując w uśmiechu płaskie i równe zęby.

Bigda nie myślał o leaderze. Miał to już przecie dawno przerobione z Mieniewskim i to od kiedy, wszystko?! Od kiedy już gotowe?! Na iluż hakach wisiął, rozewiartowany szczegółowo wielki leader w politycznej śpizarni pana prezesa Bigdy?! Wisiął na wszystkich hakach Banku Robotniczego i jeszcze nawet od sprawy wyborów w Zagłębiu, co tam przez Deptułę przeprowadzał Kapuścik rozmowy procesowo-drewniano (Hart) - agitacyjne... Wisiął ten leader również od strony pieniędzy Kostryniowej, od strony syna swego, mordercy, nie - mordercy — sprawa ciągle niepewna. W śpizarni wiele wisiąło połci Mieniewskiego, na tylu gwoździach naraz, że niewiadomo z którego co zdejmować wcześniej, bo niewiadomo, na którym już i co skruszało najgruntowniej?!

Nie myślał Mateusz o leaderze, lecz o następnym człowieku, który tu musi przyjść za chwilę, z którym przeprawa będzie ogromnie ciężka, to znaczy ze Stachowskim, marszałkiem, starym draniem, ale tak wielkim draniem, że aż szacunek budzi! O tem tu przemyślał Bigda, oraz o tem, ile przybędzie sił do przyszłej rozmowy ze złamania lidera. Mateusz zawsze gospodarował naprzód. Nauczyła go takiej praktycznej gospodarki subtelna miara czasu. Mieniewskiemu wydaje się napewno, że Bigda chodzi zafrasowany bo nie wie, co powiedzieć? Głupstwo! Chodzenie jest tu dla Mieniewskiego, — myślenie poszło naprzód do innych spraw ważniejszych, i to kiedy już poszło, — dawno!

Miarę czasu ustalał teraz Bigda na spotkania

i na rozgrywki, które nadejdą po Mieniewskim. A robił to rozważnie i nader szczegółowo. Tak szczegółowo, że nawet telefony z gabinetu wicemarszałka kazał wyłączyć. Żadnych dzwonek nie potrzebował i żadnych wiadomości, znikąd. Z wewnątrz siebie samego czekał na wiadomości. Nie sprzyjały im dzwonki, rozmowa i nie sprzyjały telefony, tylko spokój i cisza. Stał w środku pokoju i nie patrząc na Mieniewskiego a tylko w przestrzeń zalanych wodą szyb, rzekł niby do samego siebie głośno:

— O fornalach nie gadam, o zjeździe lachowickim także nie gadam z nikim. Po co? Co mi doradzi, kto? Zjazd lachowski, sami wiecie, jaka to jest odpowiedzialność. Wasza? Nieprawda, — moja. Stachowski? Stachowski mnie nie straszy, bo właśnie dziś się skończy. Niech wyprowadza na ulicę, kogo mu się podoba. Dziś będzie nowa większość. Rząd pójdzie do dymisji. Jaka większość? No, moja! Z panami, ziemianami. Będzie nareszcie, — opalił Mieniewskiego czarno-sinem spojrzeniem z pod nasuniętych brwi, — ta upragniona jedność. Jutro, pojutrze formuję swój gabinet. Ja! — Bigda ziewnął, chodził dalej. Chodził, jak gdyby brodząc, zapadał się, wykurzał. Stąpało mu się dobrze w zafrasowanym wielce milczeniu lidera. Czas oznaczony minął. Więcej, więcej już chyba upłynęło, niżeli dziesięć minut.

Mieniewski trwał pod ścianą, bez ruchu. Przedziwna rzecz, im dłużej siedział tutaj pan leader Mieniewski, tem jaśniej zdawało się Mateuszowi, że się zbliżają do siebie w wewnętrznym rozumieniu. Tak są blisko, że chyba jedno słowo, byleby tyl-

ko celne i wszystko sobie wypowiedzą, co chcą. By-  
leby znaleźć to jedno trafne słowo!

Bigda miał je już prawie na końcu języka; choć  
wciąż nie wiedział jakie?! Trzeba je było znaleźć  
koniecznie, znaleźć i wypowiedzieć. Uwięzione „na  
wnątrzu“, przeszkadzało prezesowi w odczuciu mia-  
ry czasu. Hałasowało brzękiem dotkliwym. Jak kot,  
gdyby po strunach skakał, albo też gdzie wśród  
szkła. Nie można tego ścierpieć!

Pan Mieniewski dojrzywał na wszystkich swoich  
hakach do przyjęcia takiego ostatniego słowa. Bigda  
widział wyraźnie, nie mylił się w tych rzeczach. Twarz  
pana Mieniewskiego zazwyczaj dość brązowa, opa-  
lona i czerstwa, — stawała się obecnie bladą, bla-  
dą śmiertelnie, trupio-niebiesko-siną. Szklila się  
przytem od potu perlistego.

Ucichło w Bigdzie, — rzekomy kot hałasujący  
po jakichś głośnych strunach; pan prezes znalazł  
słowo potrzebne. Stał przed leaderem i rzekł  
płytkim głosem: — Ba, nic nie wiemy,  
co mamy robić z synem? To znaczy z synem  
waszym, Tadeuszem?! Tadeuszem Mieniewskim! —  
To znalazł *teraz* Bigda i nie pomylił się. Spadło na  
Mieniewskiego z okropną siłą.

Leader uchwycił się za serce. Wspomnienie o sy-  
nu, kochanym, marnotrawnym uderzyło, jak grom.  
Poseł Mieniewski nie wypowiedział w danej chwili  
ani jednego słowa. Nie trzeba było tego. Nie prote-  
stował również. Po co??! Pół leżał na kanapie, dy-  
sząc ciężko, żałośnie. Trochę później, — ileżto prze-  
szło czasu od powiedzenia Bigdy, jedna, czy trzy mi-  
nuty, — trochę później zachrypiał wreszcie leader

suchym kaszlem takiej beziły, tak piszczącej rozpaczy!

Bigda przystanął. Zatrzymał swe chodzenie, westchnął. Milczeli jeszcze chwilę. Pan prezes Bigda napił się wódki. We wszystkim miał swój plan, a tu nie miałby planu?! Trillionne było celnie odrazu w samo serce i to skąd i to jak?! Na zwykły niuch, z lotu, z powietrza. Później już samo z siebie wyjdzie, że Stanisław dla Zośki, o czemże więcej gadać, cały paragraf pod tytułem Mieniewscy, — ani mucha nie siądzie!

Było wiadome, że się leader za chwilę wygrzebie z popod ciosu. Bigda to przewidywał, na ten wypadek miał już wszystko gotowe. Musiał się jednak jeszcze w sobie ucieszyć. Ucieszył się, przystając w pośrodku gabinetu i stąd szklaną żrenicą patrząc na Mieniewskiego. Patrzył się na lidera, zagapiony, jak się spoziera w przelotnym zadumaniu na gzyms, czy przedmiot, szaflik, czy też stworzenie zupełnie obojętne.

Pan Mieniewski pozbierał się z kanapy, ani słowa nie mówiąc. Mówił za niego Bigda. Nie wiele zresztą, po co gadać o rzeczach, które się rozumieją same przez się.

— Co się nagotowało, co mam tutaj w portfelu, — mówił Bigda patrząc w ziemię, na końce swoich butów, — to pozostanie znów nadal między nami. No, my już sobie krzywdy nie zrobimy. Bank Robotniczy, pan sam wie, panie leaderze, Cynwajs wie jeszcze lepiej... Sam wasz Bank Robotniczy, — no! Czyli, wyjdzie pan z sali na czas głosowania. Zostanie pan w bufecie z swoim klubem. Mam wtedy pe-



wną większość. Zostanie pan w bufecie, ja panu potem porządnie wysanuję wszystko w waszych instytucjach. Potem będziemy mieli obaj te same zmartwienia, bo przecież wy wejdziecie do mnie, do mego gabinetu. A z chłopcem waszym — ja tylko mówię tak, wiadoma rzecz, że drobiazg, ni by z tym waszym Tadeuszem Mieniewskim. Szyderstwa, czy procesy...

Co się dzieje, — nie do pojęcia! Trudno zrozumieć, żeby ktoś mógł tak prędko dobić ceny, zapłaty! Towarzysz, inteligent, choć szczwany leader, a jednak inteligent typowy! Miękkie to, grzaskie, ciepłe, jak gnój...

Cóż robi leader? Zatrzymuje się nagle przed drzwiami, tuż przed wyjściem, a widać, że się waha i łamie z sobą... Nakoniec coś tam wybrał, rozstrzygnął. Srogi się zrobił wielce, nieubłagany, sztywny. Powiada:

— Panie prezesie, sprawę obiegu, wymiany, zwyczki, zniżki, polityki, czy banków możemy zawsze traktować rozmaicie. Ale, panie prezesie, kwestje sumienia, moralności, człowieka panie prezesie, — zerwał się ten krzyk w piersiach lidera Mieniewskiego, — sprawę życia ludzkiego, sprawiedliwości, przynigdy! Sprawę życia i ludzkiej krwi, czy śmierci, — niech w tych wypadkach zawsze sprawiedliwość robi swoje!!! Syn, ojciec, brat, czy swat to wszystko jedno!

Leader Mieniewski wyszedł był już, a Bigda wciąż rozważał przy drzwiach te jego dziwne słowa. To znaczy, — stwierdził wreszcie Mateusz, — że Mie-

niewskiemu więcej zależy na Banku Robotniczym, aniżeli na synu. Cóżto znów za cholera?!...

Wzruszywszy ramionami, zatrzymał się przy oknie. Lał deszcz. Przez strugi wody, spływające po szybie widać było, — Bigda miał wzrok wyborny, — że policja za często konie swoje przejeżdża. Skądże się wzięła konna policja? Sejm miał dla swej ochrony w chwilach bardziej burzliwych plutony piesze i tego było dosyć. A tu już konni jeżdżą?! Bigda otworzył wentyl okienny, ażeby się przysłuchać ulicy. Przed sztachetami sejmowemi było zupełnie pusto. Widocznie, że zamknięto ruch przechodniów.

Nic to nie było nowego dla prezesa. Wiedzieli dosyć dawno, jeszcze od Kapuścika, że młodzież Stachowskiego, dewotki, korporacje szykują się oddawna z większą dywersją. Po zjeździe lachowickim, gdy to i owo przeciekło już, bo któraż gęba ludzka będzie naprawdę szczelna, — niepokój wzrósł wśród ugrupowań wiernych Stachowskiemu. Cała ulica, wszystkie przekupki, cała hołota miejska, głowacze, profesory, wszelkie mecenasy, księża, składnicy win, wszyscy czekali tylko...

Stachowski musiał wiedzieć, choćby od hrabiów (Strzęgorz, lub Wrona czy to są ludzie zdolni do tajemnicy politycznej?), że mu stronnictwo la-da chwila rozpęknie. Szykował swoje wojsko. Afera krzyża, — Bigda pamiętał od kiedyto, od kiedy szykowali się z krzyżem, — afera zawieszenia krzyża w sali posiedzeń sejmu. Wniosek nagły, a jakże!

Bigda nie dał poruszyć swego wojska. Mógł był też apelować do różnych sił i wsiowych i for-

nalskich, — ba, gdyby chciał, i gdyby zapowiedział Tycze, zwałiby się tutaj osiłków, niech ręka boska broni! Bigda jednak miał to już chyba przemyślane inaczej. Miał przecież tu w kieszeni, w portfelu całą aferę marszałka Stachowskiego, czyli paskudną sprawę Ekscelsioru.

Jakżeto, jak i cóż to? A śpizarnia, to pies? Czy to niema w śpizarni zapeklowanych combrów marszałka Stachowskiego? Bigda zamyślił się nie nad tem, czego się nie obawiał. Nad czem innem pomyślał z wielką uwagą, a mianowicie nad swoim przebaczeniem. Żeby to nie był dół nazbyt głęboki to całe przebaczenie. Przebaczenie bigdowe straszne było. Uważał, iż straszniejsze od wszystkich najmściwszych porachunków, gdyż bezkrwawe. Jeśli nie przyjmiesz takiego przebaczenia, toś warchoł, świnia, pies! A gdyś przyjął, toś jest upokorzony bigdową szlachetnością.

Ledwie, że posiedzenie plenarne rozpoczęto, a tu szwadron policji, czy ilu ich tam było? Ruch uliczny zamknęli... Czy wobec tego Stachowski ma dość silny namordnik? Allegata, spisane skrzętnie w sprawie karcianego klubu w pięknej sali etruskiej w hotelu Ekscelsiorze... Bigda widząc policję konną, namacał w bocznej kieszeni raz jeszcze te papiery.

Widać było z okien gabinetu wicemarszałka Ciaracha dwa rzędy czarnych kasków stalowych, zlanym deszczem, połyskujących głucho w niemrawem lśnieniu słoty.

Dwurząd przesuwął się miarowo, niby żelazna szczotka, wierzchami prętów do góry odwrócona.

Dzieje — i taka szczotka! Bigda przypomniał sobie przemówienie na zamku lachowickim. Ów trzeci, będzie ten, który tą szczotką potrafi gładko czyścić... Tylko ten a nikt inny. Dzieje — i taka szczotka! A jeśli trzeba będzie szczotkować aż do krwi?!

Przypomniało się nagle Mateuszowi, jak w wieczór wyjazdu do Lachowic, gdy już inni do auta wsiedli, on nie wsiadł. Uszedł parnaście kroków po chodniku i niespodzianie zapatrzył się w mleczną tarczę zegara dworcowego. Dworcowy to był zegar, czy nie dworcowy, urojony, może nawet duchowy, bardzo jednak wyraźny: — nad głową i nad dziełem całym i wogóle nad wszystkim...

Czy sprawa krwi była też na zegarze owym sensownie wyrażona? Gdyby nie była wyrażona, mogłaby niespodzianie przeszkodzić miarom czasu! Takim miarom nic nie powinno przeszkadzać i utrudniać. Rozprysło się coś w myślach Bigdy i zapadł w dziwną pustkę. Straszna była nie strachem, ale nicością śmieszna, zdawkowa, rozerwana.

Wszystko się rozrywało tutaj i nic się nie wiązało i nic nie wiedział, jak i o czym ma myśleć. Jak-gdyby miara czasu, która trzymała wszystko we wszystkich poruszeniach Bigdy, rozleciała się nagle, rozpełzła i rozwiązała... Słuchał i patrzył, co z tego będzie dalej, zadziwiony tak wielce, że nagle począł ziewać z niezrozumienia siebie, ludzi i czasu, siebie, ludzi i rzeczy.

Skądże w tych rozerwanych myślach bierze się pani Kostryniowa, którą spotkał dziś rano, przed posiedzeniem, na sejmowych schodach?! Jakże wygląda ta kobieta, szara, białe — perłowa

o rozmazanem spojrzeniu, niby Polonia z patryjotycznych znanych litografij. Kostryniowa w żalobie pięknej, czemuż to kształtów ciała wypatrywał poprzez oną żalobę?

Kostryniowa, Kapuścik! Kapuścik czuwa, wie o wszystkim, podobno prosił, aby go zrobić dowódcą straży marszałkowskiej? Z powodu Kapuścika byłby Mateusz pomyślał o kolegach, ale tej myśli zabiegła myśl o Zośce, lękliwa i żaloszna... Upór dziewczyny doprowadzi do czegoś okropnego, Bigdzie sił nie starczy, aby sobie dać rady z tą upartą dziewczyną, jak sobie kiedyś poradził z żoną.

Żadnego z domu listu, Ludwika również nie wspomina o niczem. Żadna myśl, czy wiadomość, a tylko głuchy jęk, przykry ojcowski jęk przez wszystkie trzewia, poprzez wszystkie wnętrzości! Pomyśleć o kolegach, draniach, zbójach, to w takiej chwili ogromną jest osłoda. Jak się to ich zaprzęgåło dziś do pracy! Orzą, hycle, jeden w drugiego, wszyscy stulili pyski i uszy położyli po sobie, teraz dopiero może kombinują, jak z nimi grał na lachowickim zamku!

Kostryniowa i Zośka i myśl o Gruszce i o tem posiedzeniu w klubie, po powrocie z Lachowic. Posiedzenie to leżało Bigdzie w sumieniu czy w żołądku, jak padlina. Kiedy im wywalił, swoim posłom, że wszystko sami biorą i wszystko obsadzają i będzie wreszcie jedność, ale że parcelować będą wspólnie razem z ziemianami, — wszyscy się zasmucili, na myśl o konkurencji.

— Sami wszystkiego i tak nie zeżrecie, — odpowiedział im Bigda. Nie tamte sprawy martwiły

go tu dzisiaj. Gorsze było, że musiał czekać ze stanowiskiem głowy państwa dla siebie. Chciał tego stanowiska i kiedy mu to w sejmie niedawno wygarnął Dolański, — stary Lejek - Dolański, — mało go Bigda w gębę nie zamalował.

Na klubie im postawił Mateusz raz jeszcze Lachowskiego, niby że on, Mateusz, pozostanie z chłopami. Na czele rządu ze swymi kolegami, oczywiście, chłopami. A znów radość kolegów, że nie będzie najpierwszym, nie zostanie wydrukowanym na papierach i znaczkach. Takie dranie, takie gadziny marne. Chodził z tem w sobie, ale to dobre jest, to dobre! Jeżeli chciał wstąpić na fotel prezydenta, musiał zawczasu przygotować przeróżne miejsca i rozmaitych ludzi. Zawczasu wygrzać upatrzone miejsce. Wszystko przygotować, — od kiedy? Od czasu swojego premierostwa. O tem nikomu nic. Nikomu nic. Coby było, żeby powiedzieć taką historję takiej na przykład pani Kostryniowej?...

Przyszło mu na myśl bez sensu, bez powodu, jak taka dama złoży mu ukłon posuwisty, głęboki, taka niby Polonia, przed Bigdą, głową całego państwa.

Deptuła wiedział o tych wielkich zamiarach. Chociaż zdrajca, a wiedział. Ba, za dobrze się znali. Deptuła sam wyznał otwarcie, gdy powracali autem po uczcie z lachowickiego zamku. — Ty Mateuszu, — rzekł wówczas Deptuła, — grasz teraz wielką stawkę, prezydencką. Zawsze grasz co innego, niż inni mogą myśleć, czego znów ja nie zdradzę, a za co ty mi przebac, jeżeli się pomylił.

Teraz Deptuła, — Bigda popatrzył na zegar

rek, — jako główny referent wniosku przemawia na trybunie. Zacisnęły się Bigdzie szczęki. aż do zagrzania skroni. Jakie to zęby ma referent Deptuła? O, nie takie, jak Bigda, wysokie i dziurawe a powinny być niskie, płaskie i bardzo równe.

Iść, słuchać, czy też nie iść? Jeszcze trochę poczekać? Bigda koniecznie pragnął wiadomości od kochanego Ciaracha. Ciarach, prawdziwy Habsburg w zdechłej osobie Hamleta, miał sobie powierzona od wczoraj misję szlachetnego donosu. By się pokombinował z monsignorem, czy też z prałatem Stuckiem i niby jako dawny katolik, czy tam co, wszystko jedno, czy jako dawny belfer wielkich książąt Rosławskich ażeby doniósł księżom, tym wielkim księżom rzymskim, nie naszym gwałtownikom (Bokaniewicz nie będzie wiedział nic!), że Bigda większość tworzy. Ma w większości zastrzeżoną dla siebie tekę ministra Wyznań. Na tej tece Bigda pragnie osadzić posła Gruszkę, warjata, Lelwela, — cóżto za człowiek, Gruszka?! Lis od księżych gospodyń, wolnomyśliciel, czort, skryty radykał chłopski. A tu idzie ustawa małżeńska, a tutaj znowu dobra martwej ręki, po co to wszystko, kiedy można łagodnie?! Że Bigda ma podobno zobowiązania wobec hrabiego Lachowskiego... Gdyby naprzykład nuncjusz, sam monsignor chciał porozmawiać z hrabią, przekonać Lachowskiego, może nawet rozkazać, — tak, niech Lachowski w obronie idei kościelowej wejdzie do gabinetu Bigdy, właśnie na tekę Wyznań?!...

Było to pociągnięcie wymarzone przez Bigdę i dawny, stary plan, — stare plany są zawsze w ta-

kich rzeczach najlepsze, bo były pierwsze, więc z serca wypływały. Jednym zamachem Lachowskiego odsunąć raz na zawsze od tej prezydentury (no, bo się zgra na stanowisku ministra Wyznań i Oświaty, jak ostatnia cholera!), pozbawić go pożyczki równocześnie; ma się rozumieć, że pozbawić pożyczki! Jednym zamachem chwycić Strzęgorza za pysk i wystrychnąć na dudka a wszystkich swoich posłów, którzy tam w Lachowicach tak pilnie głosowali na Lachowskiego, znów za jednym zamachem rzucić sobie pod nogi i znów uczyć moresu od samego początku.

Czekać Ciaracha tutaj w gabinecie, czy na sali posiedzeń? Mateusz wołał tu, tam przeskadzać będą. Wolał tu, wolał się tutaj usatkwować. Rozwalała mu dzisiaj piersi namiętna radość roboty, ale to dobre jest, jeżeli niewidoczne. Widoczny ma być tylko chód pochylony, ciężki, ramiona zwi-sające, głowa naprzód podana i szklane oczy, które nie dostrzegają ludzi.

To dobre jest, a wszystko inne złe. Wolał tutaj sumować, więc krążył pod ścianami pokoju, więc ni-by z obrzydzeniem pluł zawzięcie do spluwaczek sejmowych, więc sobie swoje krzywdy wypominał publiczne i domowe, których doznał a których jeszcze dozna, kiedy pożyje dłużej. Czynił to wszystko, aby się doprowadzić najprędzej do porządku.

Wspomniane jenak krzywdy nie mogły nic zdziałać. Bigda chodził, patrzył nieufnie po kątach gabinetu Ciaracha, jak szczuty, zbity pies i przypominał sobie dalej przeróżne przykre sprawy. Aż oto nagle zadrzał, — z powodu Deptuły.

Co to było i skąd się wzięło?! Z powietrza



czy poprostu z niczego? Zawsze bywały gniewy pomiędzy Mateuszem i Włodkiem. Nic to nie mogło znaczyć. Teraz, jakgdyby zimną ręką dotknięty Bigda zatrzymał się w chodzeniu, ale nic nie rozumiał. Odszedł znowu pod ścianę... Znowu zawrócił bez innego powodu, jak tylko, aby chętnie wygodzić własnemu widzimisię.

Podcięty się pod Bigdą nogi, więc usiadł na kanapie. Gdy usiadł, aż się spocił z wielkiego trudu myśli. Nad czymby się tak trudził i mozolił, nie wiedział. Zdjął go okropny strach. Cóżby to mogło być straszego z ręki Władka Deptuły?! Bigda zamyślił się srogą czujnością, że się nie spostrzegł, kiedy się wślizgnął do gabinetu wicemarszałka Ciarach.

Bigda, rzecz pierwsza, nie pytał o nic, Przejrzał uważnie cały ubiór Ciaracha. Dyżurka, dyplomatka, czy jak się to nazywa, portki zaprasowane, barwy jaskółczego łajna, wielce dyplomatyczne. Bluzka i kamizelka czarną taśmą obszyte, bardzo to uroczyście wyglądało. A twarz?! Zapanować musiał Mateusz nad sobą, ażeby w taką gębę nie lunąć. Tyle pokory, czujności i starania i służby w onej gębie, tyle też specjalnego warowania przed Bigdą.

Ciarach rozłożył ręce, powiada szeptem, — dziś hrabia Lachowski podczas obiadowej przerwy ma posłuchanie u nuncjusza. Tylko nie wiem, czy zdąży bo przed sejmem rozruchy zapowiadają się! — Ciarach wyrzucił ręce pod górę radośnie jak ptaszyna skrzydełka.

Bigda wyczekał aż Ciarach siednie, wytchnie, poprawi się na krześle do długiego gadania. Wyczekawszy cierpliwie, powiada Bigda:

— No, to idźże na posiedzenie, nie mam dla ciebie czasu.

I nic i jeszcze większa wdzięczność, jeszcze większa modlitwa w niebieskich a zarazem wątrobianych źrenicach kochanego Ciaracha. Będzie zalewał, będzie topił taką właśnie wdzięcznością, póki marszałkiem sejmu nie zostanie. Takie to ścierwo, hamlet!

Jeszcze jeden papieros i Bigda poczuł trafną miarę w piersiach. Otworzył łutcik, niech się pokój przewietrzy, aby marszałek Stachowski, gdy przyjdzie, nie wynypał odrazu, że jest już którąś rzędu ofiarą. Tak bowiem urzędował dziś Bigda: wychodził stąd na posiedzenie, ma się rozumieć, jak zawsze, po swojemu. Nikogo nie zahaczył, nie potracił, na nikogo nie spojrzął; ilu tam siedzi w ławkach z ciżby poselskiej, to Bigdzie nic nie znaczy. Szedł, jak ślepy a nieomylnie, z głową rozkiwaną i niby senną, wiadomo jest tymczasem, że nic się tu nie stanie, coby w tej głowie ułożone nie było. Tak szedł, nie patrząc na trybunę, kto przemawia i o czym, a pocóż to jest wiedzieć, kiedy przemawiający każdy, — zawieszony na haku?!

Któryż to raz już dzisiaj przychodził do wielkiej sali z gabinetu Ciaracha? Tak było pomyślane: siedzieli tam w gromadzie, Bigda przyszedł, na ukos siadł w pierwszej ławie, pobył tu między nimi, na nikogo nie spojrzął, plecy zgarbił, znów wyprostował. Siedzi i czeka i już coś wie i znowu się podnosi i już kroczy pod górę przez salę, jakby rozważnie przez gęste bagno kroczy....

Wraca do gabinetu spokojnie jak z przechadzki, tylko szczękami przerabia nieustannie a już po chwili

wykrusza się z burego poselskiego tłoku oddzielna gruda, schylona gruda ludzka i pośpiesza pod górę ku wołokowym drzwiom nowa ofiara kompromisów Bigdy.

Siedział znów teraz Mateusz w pierwszej ławce, zupełnie nieruchomy. Deptuła wciąż przemawia. Trwają naprzeciw, Bigda i ten Deptuła. Mateusz zawsze lubił, aby byli *naprzeciw*. Patrzy się na Deptułę i szuka w myślach, co go tak przestraszyło niedawno w gabinecie Ciaracha?... Nic! Za wiele roboty.

Deptuła głośno kracze, głowę przepaścistą rozwiera aż do gardła, czołem bryluje, jakby wypiętym brzuchem, prawi coś o jedności, czy o czym, czy też jak, — Bigda już nie uważa. Wystarczy słowa „jedność”, aby Mateusz Bigda błogo i spokojnie zapadał w martwość. Na śmiech zbiera się panu prezesowi, czego to się przestraszył, czy też kogo, czy jak? Ty, — powiada do siebie w spokojności sumienia, — nie śpiesz się, bo masz czas. Bądź cierpliwy, jak zawsze.

Cóżto działa tutaj kojąco na prezesa? Sala ogromna, — że ogromna i czysta, to zawsze ma znaczenie. Światła się palą w górze, światła pełnego posiedzenia, ale dla Mateusza są to światła, jak do dobrego snu, — takie przyzwyczajone. Światła w górze, pod nimi półkole rozłożystej przestrzeni ławkami obramione, marmurem wykładane, jakby kamienna szczęka.

Bigda patrzy na przeciwległą ścianę. Nie myśli nic. Nie myśli, że Deptuła przemawia, doktor dwóch fakultetów, wiceleader stronnictwa, świnia, cóż to za

drań, a jaki łepak przy tem! Bigda nie myśli o Deputule, ani o żadnym ze swoich posłów fajnych, którzy się uwijają wszędzie pośród ławek, jak chrząszcze w krowim placku.

Bigda ich skontroluje później, czy są na miejscach, zresztą jedni na drugich donoszą, co robili i jak?! Mateusz patrzy na marszałkowski fotel, na wielką pustą ścianę, na którą sejm zamówił już malunki, ale nie ma pieniędzy na owe malowidła. Ściana jest pusta, szara a nad ścianą jest miejsce pod gipsową sztukateryjką: na tem miejscu pragnęły pan marszałek Stachowski, ogromny narodowiec, zawiesić krzyż. Sobie i narodowi, społeczeństwu, historii.

Bigda nie myśli o tej sprawie na razie, odczuwa tylko wszystko po swojemu. Masz na to czas? — pyta się Bigda szczerze samego siebie, jeśli o krzyżu mowa. — No, bo tu posiedzenie i prędka polityka a tu znów, niby krzyż?

Deputła gada furt, a Stachowszczycy tupią, a socjaliści doskakują, takie tam przerzucania słowne z ławek do dalszych ławek. Nad wszystkim, nad mównicą i nad szeregiem bladych a bardzo skromnie rozsiadłych tu protokulantów widać łeb Stachowskiego, starego zatłuszczonego kundla.

Bigda powraca do rozważania, znów się pyta cierpliwie: masz na to czas? Niby na krzyż? Masz na to, bracie, czas?... Jak chcę, to mam czas zawsze... Tak sobie odpowiada i zasuwa się w ławkę, oczy przymruża sennie i rozważa, co ma się dziać z tym krzyżem. Stachowski chce zawiesić święte drewno z Chrystusem.

87

Kto to jest pan Stachowski? A co jest krzyż i Chrystus? Co *Tamten* robił, załatwiał, a co ten robi i załatwia, pan marszałek Stachowski, rzecznik tak osobliwy?! Nie było tego, niema i nie będzie, ażeby Bigda myślał bez praktycznego dla siebie interesu. Jest tu rachunek, a o co, mniejsza z tem. Ale rachunek jest. Chrystus i pan marszałek Stachowski będą się rachowali, kiedy im tak wypadnie. To jest interes ich.

Bigdy interes jest całkiem inny: — jeżeli taki kundel spasiony, stary, schrypły ma tutaj prawo dopominać się głośno o słuszne prawa Wiczyzstego *Tamtego*, a *Tamten* z nieba piorunami nie strzela, to nie jest to rachunek rzeczywisty, rzetelny i ktoś trzeci, choćby naprzykład Bigda, może robić, co chce. Posiada wolną rękę.

Masz na to czas, gdy cię to może nie obchodzić?... — pyta się siebie Bigda, zasunięty w siedzisko pierwszej ławy, naprzeciwko trybuny, z której szczeka Deptuła. Mateusz oczekuje od siebie odpowiedzi, zdziwiony niepomiernie, że w takiej ważnej sprawie rozeznał się i wyczuł sprawiedliwość rzeczową.

Tu sala rozświecona i gadanie i szumy i przetwieranie w drzwiach i robota pośpieszna i tyle błota rozmiędlonego w mózgach, na galerji głowa przy głowie, no, a gdzież jest odpowiedź? Jest już i ta odpowiedź: gdy w lecie leży pies na przyzbie, spoczywający w cieniu... Poderwał się jednakże nagłym sussem i kłapnął, aż mu zębiska wszystkie zaszczękały... Tak się teraz poderwał Bigda. Jak ze snu, czy za

muchą brzęczącą, tak mu dźwięknęły zaciśnięte szczęki. I zostały, zaciśnięte do krwi. Przypomniał sobie, jak walił Dżima, marszałkowego psa, jak go okładał paskiem a potem kopnął w brzuch. Dżimem, psem marszałkowskim, będzie dziś chyba sam marszałek Stachowski.

Bigda patrzy cierpliwie. Deptuła się mozoli, opluła się na trybunie. Z głębi sali słyszczać głupiego Kosa,— pogdakuje i wspomaga Deptułę. Jakieś okrzyki trysnęły znowu z łysawej kępy głów po prawej stronie izby. Książd Bokaniewicz, z pośród stajni leaderów, to jest przewodniczących klubów, siedzących w pierwszej ławie, zalał się nagle na twarzy gęstą purpurą gniewu. Na galerjach jakgdyby coś topniało a z lewej strony skrzeczy. W głębi sali zdusiło się westchnienie. Bigda słyszy to wszystko, choć tyłem odwrócony. W takich wypadkach Mateusz słyszy nie słuchem, nie uszami, ale wielkimi łopatkami ogromnych swoich barów.

Co robi Rząd? Na ławach Rządu blade, tkliwe uśmiechy, ostatnie to uśmiechy powalonego Rządu. Nie warto tam już patrzeć. Bigda pełga spojrzeniem po twarzy Stachowskiego. Muchy tak samo robią: siądzie na czem i stuka i puka swoją trąbką, małą, wiotką, czarniutką. Taką nibyto trąbką ostukuje powoli całą twarz Stachowskiego prezes Mateusz Bigda. Z hrabiami nie chciał, nie potrzebował takich czułych zabiegów. Nędzne to i zmurszałe! Przerzucił się spojrzeniem, tak tylko, dla sprawdzenia z ordynatem Lachowskim. Ordynat siedział w pierwszym rzędzie leaderów. Wystarczy spojrzeć przez zsunięte powieki, a już nieszczęsny hrabia wyszczerza zęby,

pewnie żałuje, że ma tylko dwie nogi, stanąłby zaraz chętnie do służenia.

Inna rzecz ze Stachowskim. Marszałek był tu mądry, był zawsze najmądrzejszy, paragrafami walił ludzi po głowach, urzędników Dżimem przestraszał, teraz zamierza rozbić czerep bigdowy krzyżem.

Masz na to czas? — pyta się Bigda znowu pilnie samego siebie. Obrócił się na ławce i usiadł po swojemu z ukosa, aby przeliczyć mienie. Za słaba była rzecz, aby przerwała wątek! Zaczął myśleć o córce. Miał przecież dla niej męża, chyba że już w kieszeni. Zofja z Bigdów Mieniewska. Udarło Mateusza za serce, — bo czego chce ta córka?! Czego ty chcesz, — powtarzał sobie w duchu, czego ty chcesz, córeczko? Zabiłby ją, gdyby kiedy myśl ojca, albo raczej tę czułość dosłownie usłyszała. Czy to można jednakże powstrzymać taką myśl? Niech się tylko tu skończy, Mateusz postanowił telegrafować zaraz. Żądać przyjazdu córki.

Nie podobało się Mateuszowi, jak zastał żonę po powrocie z Lachowic. Ukrywała przed mężem. Co?! Zastał ją najzwyczajniej przy talerzach, przy zwyczajnem zmywaniu, jest to tak prosta rzecz! Znali się chyba dobrze... Dlaczego znowu pociągała nosem, chusteczkę chyba ma, czemuż się nie wysmarka? Niepodobna wysmarkać rzeczy takiej, bo to jest c o i n n e g o u żony: przeciąg wewnętrzny. Leci to, leci, leci i ślimaczyć się będzie, jakby ropiało w mózgu, czy też w oddechu, jakby to było zaziębienie każdej myśli w przeciągu, który nie zzewnątrz, — wewnątrz człowieka przelatuje.

Żona skrywa o Zośce! Co skrywa?! Mateusz nie poruszył się z miejsca, nawet się nie poprawił. Nie mogło być o Zośce. Wiedzieli chyba wszyscy, bliźsi, dalsi, że gdy kto Zośkę ruszy, będzie miał do czynienia odrazu z Mateuszem. Czyli, niema tam nic, a on się truje, aby wyrobić w sobie trafne usposobienie do wszystkich walk dzisiejszych. Zmienił nogę. Siedział w prawo z ukosa, zmienił na lewo jednym pośpiesznym zwrotem, aż ławka zaskrzypiała. Ci co blisko siedzieli, Gruszka, bezczelny Kortys, dalej na lewo Cynwajs i Mieniewski, więcej znowu na prawo Lachowski aż do krańca narodowców marszałka, przestraszyli się bardzo. A znów tam na mównicy zadrgał oratorowi głos.

Deptuła wiedział co ma mówić i kiedy, ale się ciągle bał. Miał się odkuć tą mową w powszechnej reputacji, oraz wśród swoich połów, nadewszystko u Bigdy. Nie odkuć się, niestety! Ryczał, huczał, on, straszny komin wszelakiej polityki, lecz mu to nie szło, smędraczył dość niezdarne sens swego przemówienia. Zaczął od Mickiewicza. Nic wielkiego, a któż tu sobie gęby nie wycierał biednym Mickiewiczem? Dolański też potrafił, choćby ze Słowackiego, niby — pacierz co błyska, — nawet ksiązę Rosławski, jeżeli się przyłożył, niezgorzej wypowiedział. Deptuła umiał z poety, czy też wieszczka wygarniać bardziej rzadkie i dość nieznanne słowa, ale to jeszcze niczego nie dowodzi.

Niczego też zarazem nie dowodzi, że przewracał, pobijał niby wielkie poduchy, trzy słowa, które i wszyscy inni poklepywać umieli: komasacja, meljoracja i parcelacja. Każdy pobijał, jak mu było wy-



godnie, jedno ponad drugie układał, jak mu tam wypadło, dla jego interesu, lub interesu partji. Znali się na tem i jak te sprawy w samej rzeczy się mają, o to już nie dbał nikt. Z pierwszych słów widać było, jaką kto puszcza farbę polityczną, a nikt o więcej nie stał.

Deptuła zaś powiedział i w tym względzie sto razy, co miał do powiedzenia. Wyłuszczył przecie jasno, na czem polega nowelizacja dawnej, starej ustawy, że teraz pójdzie parcelacja, jakby podwójnym trybem, rządowym i prywatnym. Tu miał do omówienia wiele doniosłych rzeczy, najprzód w sprawie kredytów, gdzie, komu? Czy dawać karłowatym, czy wesprzeć tych, którzy się już wybili, co ma być rozumiane, aby dawać pieniądze gospodarzom silniejszym. Wiadomo, — ludziom Bigdy. Nie mówił tego jasno. Było tu pole do pięknej filozofji, prawą ręką można się było chwytać zmyślnie za lewe ucho i jeszcze wszystkim innym kazać się modlić na ten pocieszny widok.

A kiedy znowu przyjdzie do sprawy wyłączeń, co podlega ustawie, co zaś jej nie podlega, co należy do minimów, a co do maksimów, a kiedy znowu nastaną „wyłączenia“! Nie było chyba najmniejszego strachu, aby zabraknąć miało gadania. Miało tu go wystarczyć na całe trzy godziny, starczyłoby na sześć. Dodać jeszcze do tego, że miał Deptuła zawsze pod czujną ręką przy punkcie dobra martwej ręki rzecz niby przesądzoną, ale wciąż narodowcom broczyła owa sprawa, niby rana otwarta! Przy dobrach martwej ręki, — jak to ma być, „za zgodą“ czy też „w porozumieniu“?

Było z czego wybierać, było czem szcuć Wysoką Izbę. Izba się gotowała, jak nigdy jeszcze dotąd i nawet kiedy Konstytucję robili, — nie wrzeszczeli i tak się nie wodzili za łby. Konstytucja, to zawsze tylko ramy. Mogą być twarde, ostre, ale ich nie ukruszysz, do domu po kawałku nie weźmiesz, nie schowasz, ba, ukraść nie masz co! Tutaj nie żadne ramy, tylko kieszenie, brzuchy, ziemia, bydło, dobytek!

Oczy im wychodziły na wierzch, portki się niżej opuszczały w wielkim rozmachu ramion. Krzyż, co nim pan Stachowski po głowach walić chce, i morgi i hektary, drzewo, zboże i owies, len, cukier, żyto, jajka, masło, cebula, bekony, mleko, sery, — wycie, wściekłość i wrzaski, kredyty, listy zastawne, okólniki, rozporządzenia, paragrafy, licencje, — płynęłyby to wszystko, dunęło i ziunęło przez Deptułę z mównicy, niby przez wielki komin rozprażony, trzeszczący a potężny, — żeby nie dziś, nie tutaj!...

Deptuła gadał i miotał się i znojem się zalewał, mięsistemi wargami kłapał, nie czuł jednakże ani dawnego żaru, ani dawnej radości. Usta, brzegi spalone — a cały komin zimny. Ogromna cisza w głębi, pusta i głucha, szeleści spalenizną. Deptuła gada, ale właściwie, jak nadeptany robak, jak przetrącony w samym krzyżu zwierz od miejsca aż do miejsca przewleka się z trudnością, — tak się wlecze bezradnie od słowa aż do słowa. Tysiące jakichś gęb rozwiera mu się w myśli i ślini, pomlaskuje, powiedzieć jednak nie może ani jednego przytomnego zdania.

Trzebaby wybrać jakiś punkt zapatrzienia. Patrzeć na Bigdę?! Siedzi tu w pierwszej ławce,

naprzeciw! Deptuła cieszy się widokiem Mateusza, cieszy się aż do bólu, poniżenia, rozpaczy i aż do nienawiści. Mateusz ich pokonał wszystkich, w Lachowicach, raz jeszcze wywiódł w pole.

Deptuła pierwszy spostrzegł, przyznał się, upokorzył. Wstydził się teraz oto patrzeć na tego chama, pewien, że gdyby dłużej w tamtą stronę spojierał, stałaby się rzecz straszna, to samo, co tam wtedy na szóstym piętrze, nad wielkim barem Klasa: — ach, rzucić się z pięściami na tego przyjaciela, załuc, załuc na śmierć, potem skoczyć z balkonu, niech się dzieje, co chce!

Deptuła słyszy, że referuje „ad“ dobra martwej ręki. Gruszka huczy od wojłokowych drzwi. Bigda wciąż jeszcze siedzi, całkiem nieporuszony. Czeka. Miał przecież wyjść, miał gadać ze Stachowskim. Kortys z drugiego końca sali bluzga swem zarażeniem, zjadliwym miłosierdziem. Ksiądz biskup Bokaniewicz wstaje, czarny, obsyty plisą czerwonego ognia i wytrząsa rękami.

Deptuła referuje, zapatrzony w Strzęgorza. Roślawski wyszedł z sali, machnęły po nim drzwi. Ciarach dygoce ciągle trybuną, Kos z trzeciej ławki wychyla się bacznie. Jakże się stało, iż Deptuła po kilku zdaniach znalazł się znów w problemie jedności chłopskiej, kiedy miał zjechać bokiem, od niechcienia na ustawę małżeńską?

Jakże się stało, że od stolicy apostolskiej i dóbr martwej ręki, zawędrował w niespełna kilku zdaniach znów do owej jedności, której tam Bigda w gabinecie Ciaracha przetrąca wszystkie gnaty? Nie ta jedność atoli, przeraził teraz Deptułę fakt pozornie

nieznaczny, w gruncie rzeczy znamieny i zda się zawsze w życiu nieuchronny!

Tak samo tu przemawia, on Władysław Deptuła, jak przemawiał w gimnazjum w takiej samej niewoli, tak samo się rozjeżdża w niepotrzebnych dygresjach!... Więc można wypić całą Niagarę wódki, pożreć całe roczniki bażantów i polędwic, schabów, indyków kuropatw i perliczek, można kręcić sprawami wszystkich ludzi, istotą wszelkich gniewów, wszystkie dziwki obłuskać, — zawsze wkońcu znajdzie się na katedrze, by stąd wyplatać znowu, jako profesor, belfer i wynajęty gębacz, szczekadło zapłacone!

Grzmotnął pięściami w pulpit, z tyłu rozgłośnic z góry dzwonił pan marszałek, wykluczał kogoś z sali na trzy posiedzenia. Na lewym skrzydle zaczęli krzyczeć komuniści, z piątej ławy tymczasem pospadały papiery, to Tyczka, wielki Tyczka wygrażał komunistom.

Straż marszałkowska ukazała się w drzwiach. Na lewym skrzydle tumult, na całej sali wycia, poseł Koza wyskakuje na ławę i krzyczy: — Towarzy-sze, my nie możemy patrzeć na taką hańbę izby ustawodawczej!!

Strażnicy już wnoszą czterech opornych posłów, Deptuła zatchnął się i przerażony, jakby się zapadł na dno własnej istoty. Zlany obrzydłym znojem, samemu sobie śmierdzący nienawistnie, czołga się po tem dnie. Płacze się tutaj wątłe wspomnienie matki i noc i pustka, zlana światłością nagłą, błogą, przerażającą: — każde miejsce, wszystkie miejsca dla Lolki!! Lolki Romek — Romockiej. Cie-

pełko białej Lolki, połyskujące nóżie, niebieskie podkolanka, brzusek oporny, szyja, od której zwyczajnego widoku można utracić dech. Lolka, świnia i podła, najukochańsza świnia!

Był tam u niej, nie zastał, napisał list i podarł, dał portjerowi całych dwadzieścia złotych, Lolce za całą noc dawał dawniej czterdzieści. Czemuż nie płacił więcej? Tak, ale Strzęgorz nigdzie z nią nie wyjedzie.

Strzęgorz siedzi naprzeciw, pośrodku w drugiej ławce. Przeciętnie łśni zębami, włosami, paznogiemi, kołnierzykiem i brwią; swą prawą brwią, na której załamuje się światło. Nie, Strzęgorz nie pojedzie i nawet nie wie jeszcze, że jest całkiem zniszczony, dokumentnie, z kretesem. Lachowski nie dostanie pożyczki i Strzęgorz nie wyjedzie, Lachowski go wyrzuci, oni tu później, poczciwi ludzie Bigdy wezmą pana rotmistrza mocno pomiędzy siebie, zmielą prędko na mączkę, numerek najdrobniejszy, — nul, nul.

Poderwało Deptułę. Potężny żar nadziei dmuchnął przez martwą głąb, ożyło znowu wszystko, każda figura ludzka, każdy przeciwnik zajaśniał w sinem świetle nienawistnej pamięci. Przez łydki, uda, brzuch, przez zachrypnięte piersi, przez szyję, uszy, głowę poleciał znowu ogień. Poleciał, dunał, ziunał!

Poseł Deptuła, patrzący dotąd po sali z takim trudem, przykrył nagle źrenice powiekami. I znów popatrzył przed się ślizką gładzizną czoła. Odwracał je, wypięte, od prawej aż ku lewej przez całą przestrzeń Izby, wrzeszcząc starosłowiańskim przysięgłym basem o najważniejszych konieczno-

ściach upragnionej jedności. W imię jedności owej, — ryczał poseł Deptuła, — nic nie będzie dziwnego, jeśliby dawni wrogowie, powodowani myślą takiej jedności zeszli się gdzieś nakoniec. —

Izba ucichła. Bigda nieznacznie skinął głową, na znak, że teraz dobrze. Wicemarszałek Ciarach szedł wolniutko pod górę, obok trybun rządowych i sekretarzy biura sejmowego ku marszałkowi sejmu. Była to przecież pierwsza w Izbie wyraźna już aluzja do Lachowic, lachowickiego zjazdu. Wicemarszałek Ciarach stąpił lekko na palcach.

— Tak, to się nie podoba naszym wrogom, — perorował Deptuła, — dlatego, że im żal, że to my a nie oni, że to my pierwsi przyszedliśmy do rozumu!

Wrzask, ryk i kołatanie, walenie, przeklinanie, bębnienie, gwizdy, krzyki.

Teraz Deptuła gada najgłośniej o dawnych przeciwnikach, wrogach, którzy w imię najwyższej racji, gdy sprawa przebudowy ustroju rolniczego zażąda od nich takiej wielkiej ofiary, mogą ewentualnie upaść sobie w objęcia!

Ciarach zbliżył się już do złożonego stolca marszałkowskiego. Bigda dochodził drzwi, Deptuła trwał wciąż jeszcze na mównicy... We trzech, — jeden pośrodku, tamci dwaj, Bigda z Ciarachem aż do ostatnich krańców sali posiedzeń sejmu, jakgdyby rozciągali tę świętą sprawę przebudowy, dla innych niewidoczną, dla nich wielce poręczną. Jakgdyby ją ciągnęli ze środka od trybuny w dwa przeciwległe końce póki nagle nie pęknie.

**Pękła!**

Stachowszczycy i socjaliści i ludzie Dolańskiego i zapienione mniejszości, wszystko krzyknęło razem:

— Zaprzedali się w Lachowicach! Zawarliście tam pakt! Bigda na karku hrabiego Lachowskiego!!! Sprzedali swoich chłopów! Chłopi chłopów sprzedali!!! Hańba!!!

Nie pamiętała Izba Wysoka tak dziwnego widoku: tu ktoś się śmieje, tam pięciu posłów kwili piskliwym głosem, tam, przy stajni leaderów, doskoczyły do siebie dwie roztrzęsione grupy i zwały się ze sobą, z czego powstał odrazu skłębiony pakół ludzi, krzyku i ramion i rozdeptanych twarzy!

Na tylnych ławkach, jakgdyby gęstsza woda, czy też ciecz, czy też błoto wlewa się wolniej, ociężalej, z lewicy na prawicę, znowu ku pierwszym ławkom. Jakby pod spodem krzyku, wycia i wyzywania, rozpoczęły swą sprawę wszystkie drobne przedmioty pomocnicze: kałamarze, gazety, papiery, akty, pióra, ołówki, teczki, wszystko lata, zbiera się pod ławkami i z pod ław nagle wyfruwa kartkami, jak skrzydłami.

Za Bigdą syknęły drzwi wojłokowe. Ciarach w zastępstwie marszałka objął już przewodnictwo. Pan marszałek Stachowski szedł z podniesioną głową, z zaciśniętymi pięściami na ostateczną rozmowę z posłem Bigdą.

Ciarach tymczasem dzwonił wciąż energicznie. Powstał z marszałkowskiego krzesła i ostatecznie puścił w ruch wszystkie wielkie sygnały elektryczne. Równocześnie dał się widzieć ruch na prawicy. Wołali coś do siebie, zmawiali się, chamrali i potem, niespodzianie, jakgdyby brzeg cichutki, niewi-

działny, lecz pewny, jął się przesuwać wzdłuż ław po głowach posłów, brzeg nagłej głuchoj ciszy.

W ciszy tej ogłosił wicemarszałek Ciarach wniosek nagły prawicy narodowej, oraz głosowanie na głośności tego wniosku. Była to sprawa przybicia krzyża w sali posiedzeń sejmu. Niestety! Pierwsze zaledwie słowa mogła usłyszeć Izba Ustawodawcza z ust pana wicemarszałka. Następne zdania utonęły w potwornym wrzasku Stachowszczyków. Wrzask ten nappełniał Izbę zwartem rozgłosnem wyciem:

— Krzyż, — krzyż, — krzyż!! Ma być krzyż!!!

Ostatnia chwila obłądnej przytomności, czy ciszy, czy wytchnienia: rzekoma przerwa w krzyku. Sekunda, pół sekunda.

W tymto najkrótszym czasie, niedopatrzonym, wcale nieprzewidzianym udało się posłowi Tyczce skoczyć na ławę i zawrzasać z pulpitu straszliwym głosem, rzekłbyś na całe morgi, hektary, włóki, mile: — Krzyżem nam chcecie głowy porozbijać?!?

W tumultie który zaraz nastąpił, głos posłów stracił wszelkie cechy ludzkiego i dorzecznego brzmienia. Przeistoczył się w tępe drewniane tarcie. Tarcie, wycie, czy skowytanie?! Skowytanie, czy wicher, wyjący jednym słowem: Krzyż, — krzyż, — krzy-y-y-yż!!!



## Rozdział V.

### Szczegóły...

Bigda wszedł pierwszy do gabinetu wicemarszałka Ciaracha. Jeżeli opuścił salę posiedzeń o minutę czy dwie minuty wcześniej, a przecie chodził, jak to on, krokiem powolnym i łabatym wielce, ale niech kto spróbuje nadażyć! Jeżeli opuścił salę posiedzeń o dwie minuty wcześniej, no, to o trzy minuty będzie tu w gabinecie pierwszy. Wszedł tu pierwszy, zażywym, gospodarskim krokiem, jakgdyby do spiżarni. Haki w ścianach nie tkwiły i nic nie wisiało do zjedzenia. Portrety wicemarszałka Ciaracha i jego poprzedników, powieszane na sznurach, to chyba nie jest wiktuał, czy artykuł jadalny.

Bigda wszedłszy do gabinetu, rozejrzał się uważnie i z namysłem wzdłuż ścian, jak się rozgląda rzeźnik, czy masarz po ścianach swego składu. Gdy ma wybierać nowy następny kawałek rozćwiartowanej sztuki pod tasak, dla detalu. Tak się rozglądał Bigda. Poczem przestał, albowiem lubił zawsze sprawy oka prześledzić jeszcze słuchem. Zamknął lufcik, zapuścił story, zaświecił światło elektryczne chociaż

pomimo słoty widać było dobrze. Zdało się Mateuszowi, że lepiej będzie rozprawiać przy elektrycznym świetle, jakby już była noc. Bo to jest noc, takie rozmowy, rzecz ciemniejsza od najczarniejszej nocy...

Nie, wódki nie posprzątał, niech zostanie. Kiełbasy nie posprzątał, niech zostanie. Śmieci i niedopałków nie ruszył. Sama myśl, że dla marszałka Stachowskiego miałby Bigda robić porządki, rozgniewała Mateusza. Obruszył się, wsadził ręce w kieszenie, płótnem kieszeni owych grzał se dłonie na brzuchu i chodził po kwiecistym dywanie. Chodził, nie myśląc nic. Wiadomo, co to znaczy: gdy Bigda nic nie myśli, sprawy jego myślą wiernie za niego.

Nie zamknął drzwi wejściowych gabinetu. Uczynił to celowo. Rzecz jest ważna: dalsze postępowanie zależeć będzie od tego, jak się zachowa pan marszałek Stachowski. Drzwi są pół uchylone. Może wejść nie pukając i pchać się przedpokojem zaraz do gabinetu. Może tak. A może też inaczej. Chociaż są drzwi otwarte, zapuka pięknie, ładnie.

Pan marszałek Stachowski wepchał się w pierwsze drzwi bez żadnego stukania, ba z chrzęstu i otarcia wnioskować można było, że nawet nie otwierał drzwi ręką, ale opiekłą swą postacią. Trzy kroki przez przedpokój i znów nie ręką, całym sobą, tłustym babskim ramieniem odchylił drugie drzwi, by wtoczyć się do gabinetu.

Bigda znał się już na tem. Na to czekał, jeszcze wyżej na brzuchu przez grube płótno przychwyconych kieszeni ogrzewając swe ręce. Wiedział, że gdy marszałek wepcha się do pokoju, to tak się będzie kręcił,

wiercił, zmieniał miejsce, póki dla siebie najgłówniejszego miejsca nie wybierze.

— Jakże zdrowie, panie marszałku? — Była to dość wyraźna zapowiedź, że się szykuje rozmowa nietylko towarzyska. — Bo moje całkiem dobre.

Pan marszałek Stachowski wodził oczami za chodzącym Bigdą. Marszałek dobrze rozumiał kawały sejmowej ceremonji. Jeśli musiał dla siebie znaleźć centralne miejsce, — nie lubił i nie znosił, aby inni chodzili, gdy on trwa nieruchomy. Bigda zaś właśnie chodził i szukał swego miejsca. Może nawet nie szukał, lecz obrzydliwie węszył pod ścianami. Jak węszy pies.

— Pan wie, co się tam dzieje?! — krzyknął nagle marszałek.

Bigda nic. Węszył, obzierał się po ścianach. Nie wiele brakowało, by zaczął skuczeć, jak wtedy, kiedy to rozmawiali w sejmowym hallu o dwóch milionach hektarów ofiarowanych szczerze przez ziemiaństwo.

— Pan nas sprowokowałeś, — krzyknął donośnie pan marszałek Stachowski.

Bigda stanął przy oknie i odpowiedział:—O czem pan mówi, panie Stachowski, że co, że gdzie się dzieje? Na ulicy? Czy w sali posiedzeń?

— Na ulicy i w sejmie!!!

— Tam się nie dzieje nic, — rozległy się płaściutkie słowa Bigdy. Czy zadręczać powoli Stachowskiego, podrzynać gardło żywcem, nie ogłuszywszy przedtem? Bo przecież równocześnie, obmyślał już zawczasu Bigda następną, chyba ostatnią już dnia dzisiejszego rozmowę z swymi posłami. Z Gruszką,

Kosem, Ciarachem, Deptułą i innymi. Żeby stulili pysk. Żeby byli cierpliwi, żeby czekali wiernie zdrajcy, — bo jak nie, wszystko wont!!

— Tam się rozgrywa wszystko, łącznie z pańskim nieszczęsnym losem, nową ustawą i przesileniem, panie Bigda, — rzekł marszałek Stachowski, siadając głęboko w fotelu.

— To czemużes pan tutaj przyszedł do mnie, skoro to pan rozgrywa, a nie ja, na ten przykład?

— Gdyż chcę krajowi oszczędzić niepokoju i wstrząsu, — może krwi!

— Kraj bogaty, wytrzyma.

— Pan wytrzyma zapewne, z pańskim sumieniem wytrzymuje pan wszystko.

— Kraj jest zdrowy, może dużo wytrzymać. A znów co do sumienia, bo to panie marszałku pochlebiałem sobie, że jesteśmy podobni, tylko, że ja wiem, czego chcę, a pan nie bardzo...

— Ja pana, panie Bigda chcę doprowadzić —

— Barany się prowadzi.

— To trudno!

— Panie marszałku, — Bigda już szedł! Już szedł cierpliwym krokiem przez nieobjęte bagno, — pan chyba to rozumie najlepiej sam, że mówisz pan od rzeczy. Pan jesteś co? Jakiś tam inteligent, pół ze wsi a pół z miasta, bo nawet jeśli z miasta, każdy z was mocno udaje, że śmierdzi własną wioską, której już dawno nie ma! Pan jesteś, ani tu, ani ówdzie. Nie ziemia, nie fabryka, cywilny ksiądz, bez stuły, bez kropidła. Masz się dzisiaj wpraszać w łaski takiego chama, jak dajmy na to, Bigda. Czekam na to, bardzo cierpliwie, bom jest dobry gospodarz. A tu tymcza-

sem, panie drogi, — myczał Bigda wzdłuż ścian, — baranem mnie pan obzywa tu prywatnie, tam zaś w Izbie wyciąga pan znów krzyż z zakrystji... Przecież pan w to nie wierzy!

— Wierzę! — krzyknął Stachowski. — Do ostatniej kropli krwi wierzę, a nie wierzycie wy, warchoły. Słuchaj pan, póki czas i póki jeszcze możesz się pan wycofać. Wiedziałeś pan, że jestem za kolejnością w rozwiązywaniu rolnego zagadnienia. Musicie przede wszystkim uwzględnić majoraty chłopskie. Jeżeliście zdychali przez tyle setek lat, to jeszcze kilkadziesiąt możecie też wytrzymać. Jak pan chce, jak pan chce, panie prezesie Bigda! Ten krzyż, który ma błyszczeć na froncie naszej sali sejmowej zementuje z powrotem większość przeciwko panu. Zapomniałeś pan, widzę, o sile wiary i posłuszeństwa. Nie lędz się pan, prezesie. Staraleś się w Lachowie, w Lachowicach przeciągnąć na swą stronę naszych ziemian. Czy pan sobie wyobraża, że my o tem nie wiemy?! Staraleś się pan kupić pana Lachowskiego i kupić Rosławskiego. Handel szedł bardzo dobrze, niestety jednak nie dojdzie do takiego końca, o jakim pan marzyłeś! Panie prezesie, pan ordynat Lachowski gdy mu damy do wyboru po jednej stronie krzyż a po drugiej zaszczyty pańskie... Możesz pan być spokojny co do wyboru, jaki uczyni pan ordynat Lachowski! Przyszedłem tu do pana, jako starszy od pana człowiek. Doświadczeńszy. Radzę ostatni raz — cofnąć się jaknajprędzej. Bo już w tej chwili nawet, — czas minął...

Bigda odszedł od ściany. Kroczył wolno ku marszałkowi, jak człowiek, pochylający głowę pod zbyt

niskim pułapem. — Dla kogo minął? — spytał blazszanym głosem.

— Dla pana, dla was wszystkich! Pan Lachowski pójdzie z nami w jedynej sprawie krzyża. Bo, panie Bigda, nie stać było pana w pańskim życiu na zrozumienie tych spraw! Ale na wyższym stopniu, panie Bigda, krzyż to jest również symbol, nie tylko święta prawda, ale zarazem symbol wszystkiego najlepszego w społeczeństwie, w narodzie. Najlepszego i szlachetnego, najkosztowniejszego! Zarazem symbol walki i zwycięstwa! Lachowski z panem w tym wypadku nie pójdzie i nie masz pan większości. Ten krzyż wyrzuca pan dzisiaj z porządku dziennego, ten krzyż łączy nas razem ziemian, przeciw panu.—

— Panie marszałku, — Mateusz Bigda przerwał. Musiał kłapać szczękami, ażeby je rozewrzeć, gdyż zacisnęły mu się. — Panie marszałku, za chwilę powróci pan do sali, aby wycofać nagły wniosek o zawieszenie krzyża w sali posiedzeń sejmu. A ja, pozwolę panu nie biegnąć na czworakach, tylko po ludzku iść, no, bom jest dobry człowiek. Słyszysz pan to? Kazałeś pan tercjarkom swoim, czy tam komu, posłać krzyż, za chwilę sam pan pójdzie...—Pierwszy to raz dnia dzisiejszego uniósł się Bigda tak dalece, że stracił panowanie nad sobą. Usłyszał w sobie przedziwny stuk, zamach, targnięcie, jak-gdyby zryw oddechu, jeszcze z młodości pamiętany, z dawnej drwalskiej praktyki.

— Oszalałeś pan, panie Bigda! — krzyknął Stachowski. — Słuchaj pan, co się dzieje na ulicy.

Bigda ogłuszony wściekłością, nie zauważył w rzeczy samej pierwszych odgłosów ulicznego tu-

multu. Teraz jednakże słyszał aż nadto dobrze. Przewalało się tam, przez zapuszczone story nie było widać, ale już się tam chyba przewalało przed sztachetami sejmu: piski, świsty, wybuch okrzyków i znowu zacichanie i znowu ryk i znowu nagłe gwizdy.

Pan marszałek Stachowski, oraz pan prezes Bigda nasłuchiwali w skupieniu jaknajgłębszem. W pewnej chwili klasnęły kopyta końskie po bruku. Za-grzmiało, niby poklask zgłuszony.

Już, teraz, czy za chwilę?... Miara czasu, to dobre jest! Bigda zalał się potem, jak podczas przemówienia na lachowickim zamku. Spływało mu po karku, szyi, plecach, po piersiach. Przestraszył się. Nie chciał krwi na ulicach. Miał przecież własną teorię przebaczenia.... Jedna salwa policji mogła tu wszystko zepsuć. Czy Kapuścik wytrzyma, czy opakuje nerwy innych swoich kolegów? Miara czasu wskazała Bigdzie, że to są sprawy szybkie, szybkie, ogromnie krótkie, że teraz się rozegra wszystko w ciągu niewielu sekund! A jednak czekał jeszcze.

Zadźwiękły szyby z lewego skrzydła sejmu. Widać, że tłum wypiera już policję aż pod same sztachety.

— To się lud dopomina, panie prezesie, o swój najdroższy symbol, o krzyż! Kto tam poleci, pan, czy ja, panie Bigda? — Marszałek powstał, kierując się ku wyjściu.

— Pan tam pobiegnie w dyrdy, jeżeli ja pozwolę panu przybyć tam na czas. — Bigda podszedł do Stachowskiego. Gdy się zatrzymał przed marszałkiem, jakby uczynił to z wielkim nakładem sił, ledwie

że wstrzymujących inercję ciężkich kroków. — Panie Stachowski, jakże pan o tem myślisz? Że ja pańskiemu psu dzikiemu boki porachowałem, a panu nie dam rady?! To dobre jest! Pan mi tu śpiewa „krzyż“, pan mi tu śpiewa „symbol“, a ja się pana pytam, tu zaraz na odchodnem, odpowiadaj pan prędko, co pan woli dla siebie: Krzyż, czy hotel Ekscełsior? Krzyż, czy ten pański bajzel?! Chodź pan tutaj do stołu i już, odrazu, zrobimy nasz interes! Chodź pan, chodź pan odrazu, po ręce uderzymy!!

Bigda uchwycił marszałka Stachowskiego i jak martwą figurę pchał teraz całym sobą ku stołowi. Za oknami przez chlupotanie deszczu słychać było dźwięk tłuczonego szkła. Kłus plutonów policji, świsty, wrzaski i krzyki. Za drzwiami gabinetu na korytarzu sejmowym przebiegło tupotanie licznych, spłoszonych kroków. Zdało się stąd, że cały budynek sejmowy i cały plac przed sejmem i przestronny rozkręt ulicy ogarnął jeden pośpiech bieganiny, ucieczki.

Znaleźli się przy stole obaj, prezes Bigda i marszałek Stachowski. Słowa Bigdy przenikał świst, zadzierając końcówki wyrazów, podnosząc je do wysokości przytłumionego pisku.

— Patrzże pan na ten portfel, miły panie marszałku, co tu jest, co tu mamy dla pana! Mamy tu fotografie, oryginał schowaliśmy gdzieindziej, zawsze do obejrzenia, tu tylko fotografia pewnego protokołu, z pewnego wydarzenia w pewnej etruskiej sali, mogę odpis darować na pamiątkę. Przeszukaliśmy później w księgach. I zbadaliśmy ludzi pańskich. Portjerów, dyrektora, — nie ma pan wiernych ludzi. To nie raz, nie raz jeden, nie dwa, sala



etruska pracowała tak dobrze! Udaje pan, że nie wie? Udowodnią to panu, jeżeli pan zażąda, pańscy poczciwi ludzie. Etruska sala, to był dom gry, nie dosyć ostrożnie prowadzony, jak na okoliczności walki politycznej. Panie marszałku? Kto się z nas dwóch obecnie pilniej śpieszy? Niechże pan sam wybiera: — hotel, czy krzyż?! Wszystkie dowody w ręku. Niech pan wybiera sam! Jazda! Idziemy razem.

Była to łaska ze strony posła Bigdy, że już nie czekał dłużej. Że się więcej nie bawił z podstawianiem miednicy pod krew z poderzniętego gardła. Bo nie miał na to czasu. Nie chciał rozruchów, ani tam na ulicy, ani też tutaj w sejmie. Niech sobie pyski tłuką, nikomu nie zaszkodzi, jednakże poważniejszych wypadków Bigda nie miał w programie.

Uchwycił Stachowskiego pod rękę i nie czekając odpowiedzi, powlókł marszałka w stronę sali posiedzeń. Szło się Bigdzie w tę stronę jak zawsze: równo, łabatym krokiem. Tylko ów krok słyszał w tej chwili Bigda. Wszystkich innych, pośpiesznych, rozbieganych, czy też szurania, zmiękłych giczałów marszałka Stachowskiego, tego wszystkiego obcego i innego nie słyszał wcale Bigda. Wszystko inne zabawka, — kroki Bigdy to jest stąpanie mocne wgląd słusznej miary czasu. U końca owej miary czeka spokojnie władza.

Na korytarzu okalającym główną salę posiedzeń uwijał się Kos, dziobaty, zachrypnięty. Pilnował, aby posłowie nie wychodzili z sali, zagarniał ich z powrotem do mocnych „cwiszenrufów“. Przez szklane drzwi widać było dokładnie, co się dzieje na sali.

Działo się — sądny dzień! Z pośród cienistej

brózdę lakierowanych ławek, to z prawa, to znów z lewa, jakby ukryta pod podłogą złośliwa maszynierka wypryskiwała w górę zlepy, zlepiska błota. Niepodobna w tej ciżbie, wypryskującej w górę odróżnić poszczególnych postaci. Zgarniało się to wszystko zbiorowym płatem ludzkim w myśl całkiem dziwnej, nieznannej równowagi, to w prawo, to znów w lewo, to znów na środek sali.

— Czy to wciąż krzyż? — zapytał Bigda.

— Wciąż jeszcze wniosek nagły, — zaśmiał się Kos.

— Dajcie mi tu Ciaracha i Lachowskiego, marszałkowi niedobrze, nie mówić tego innym, siedzimy tu, czekamy.

Była to rzecz dość rzadka i osobliwa, aby marszałek sejmu w zwykłej korytarzowej ławie siedział chociażby nawet z prezesem tak poważnym, jak Bigda! Żeby tu siedział, a nie w swym gabinecie. Mogli go widzieć wszyscy strażnicy sejmowi, widzieć go mogli dziennikarze, swoi i zagraniczni; stenograficy i Bóg wie kto, wszelaka branża pomocnicza, nie mówiąc o poselskiej.

Pan marszałek Stachowski zwałił się tu na ławę. Pół siedział, a pół zleął. Pośrodku hałasu głównej sali posiedzeń, gdyż nawet wojłok nie zdołał stłumić ryków tak wyjątkowych, — orędownął nad powalonym marszałkiem prezes Bigda.

Mateusz trzymał rękę na ramieniu półomdlałego marszałka. Powiedział tu słów kilka. Były to jednak już słowa delikatne i nadzwyczaj oględne. Powiedział Stachowskiemu: — Ba, krzyż, panie marszałku! Nie może taka sprawa doznawać poniewierki ulicz-

nej, trzeba ludzi w tej ważnej sprawie nakłaniać do powagi... Nagły wniosek wycofa pan, wiadomo, ale tam, na ulicy będą walili po łbach biednych pańskich stronników, póki ich nie nauczą. Cóż, trzeba przez to przejść.

Stachowski dyszał. Bigda trzymał mu rękę na ramieniu, ogromną, żółtą rękę, jak zwykł trzymać dawno, w młodości, gdy nową krowę, albo cielaka na targu zakupili. Zakupili, pieniądze dali i tak trzymają rękę na plecach nowej sztuki, aby w nią jakoś wpoić to nowe posiadanie.

Dlaczego teraz właśnie ubrdało się Mateuszowi, że gdyby kiedyś żony nie przymuszał, nie włókł z sobą na sznurze do klinik, nie bił, w zimnej wodzie nie pławił — nie potrafiłby dnia dzisiejszego rozliczyć się z marszałkiem?! Bigda trzymał wciąż rękę na ramieniu marszałka, patrzył przez szklane drzwi wojłokiem wyłożone, patrzył na ten piekielny garus, jaki wciąż szalał w wielkiej sali posiedzeń. Czekał na Lachowskiego, Ciaracha, może Strzęgorz nadbieży razem z nim? Dobrzeby było, żeby się znalazł tutaj pan redaktor Kapuścik, dali mu dziś legitymację Gazety Policyjnej, aby tu występował nie w mundurze, ale po redaktorsku. Zresztą, — nie wiele stał w tej chwili o ludzi prezes Bigda.

Był już od władzy swojej o dwa kroki, ba, nieprzyjaciół żadnych, wszyscy już rozplątani wisieli na swych hakach, jedna sztuka przy drugiej. Jeszcze krok i już władza. Nie myślał o tej władzy i nie słyszał odgłosu pięt, który słyszał był we dnie, w nocy, jakby po ścieżce nocą do Lachowic boso, szybko kroczących. Nic. Żadnego duckania. Ów rehotliwy mły-

nek władzy, który szeleścił Bigdzie w głowie i terkotał i ostatniemi czasy wcale już spać nie dawał!... Z tego wszystkiego nic. Mateusz siedział przy swej ostatniej sztuce cierpliwie i spokojnie. Pan marszałek Stachowski, taki wierzący człowiek! Szczęki się rozluźniły i wszystko zmiękło, zelżało i wydobrzyło się znów w Mateuszu. Łykał tylko zażywnie, nieomal pracowicie, jakgdyby glony chleba, czy płaty jedy sycącej, oddawna wyglądanej.

Bigda łykał swój czas a z czasem nowe siły, które go przenikały z strasznej klęski marszałka Stachowskiego. Na nowe ciężkie trudy trzeba było koniecznie nabrać znów nowych sił. Szły teraz żywcem z marszałka, szły z tych oczu zamglonych i ze stękania. Nową chciwością przenikały znów Bigdę.

Przybiegli wreszcie z sali, wyszukani przez Kosa hrabia Lachowski, książę Roślowski, ksiądz biskup Bokaniewicz, pan plenipotent Strzęgorz.

Taka sensacja, na korytarzu sejmu w przełomowej chwili ci wszyscy najważniejsi!

Bigda nie powstał nawet na ich widok, i jakże miał powstać gdy podtrzymywał biednego Stachowskiego?

— Już krew się leje na ulicy! — wykrzyknął oburzony ksiądz biskup.

— Dopiero zęby lecą, — odrzekł spokojnie Bigda. — Krew się jeszcze nie leje, może się trochę sączy, tyle co przy tych zębach.

Pan marszałek Stachowski mimo, że zwątlony nagłą chorobą serca, nie pozwolił, żeby ci dwaj mężowie, ksiądz biskup i prezes Bigda wdali się w ob-

szerniejszą rozmowę. Rzekł konającym głosem do biskupa:

— Trzeba obecnie jaknajprędzej wycofać wniosek nagły...

Nikt nie wypowie, co się stało w tej chwili pośród zebrania, zresztą tak przygodnego tych najważniejszych mężów. Ksiądz biskup Bokaniewicz rzekłbyś zamienił się w cichy martwy słup soli. Coprawda czarny, czerwonym rąbkiem, jak ogniem obleczony, lecz cichy, całkiem martwy. Dopiero w kilka sekund później wydał straszliwy okrzyk: — Nigdy, nigdy, przegniłdy!!

Szło teraz wszystko prędko, zgmatwane, poplątane, że nikt nie wiedział później, kto, kiedy, jakie słowa wypowiedział najpierwszy. Tu Lachowski macha rękami, tu Strzęgorz łśni a nie wie przed kim!? Kos doskakuje z jakimiś dowcipami, od których nawet Bigdzie mąci się wszystko w głowie. Tu wrzaski straszne z sali, tu już straż marszałkowska szykuje się do czynu, tu znowu słychać dzikie wołania Kozy, tu na czele swych ludzi z wielkiem podniosłym słowem, aż purpurowy z gniewu defiluje wzdłuż korytarza sam pan leader Mieniewski.

Na ulicy, — z okien widać to wszystko wyraźnie, jak na dłoni, — charatanina robi się coraz większa, granatowe mundury policji przesuwają się bliżej, i jeszcze, jeszcze bliżej.

Jeden wystrzał, jaka bądź prowokacja i zaraz pójdą salwy!

Krzyczeli wszyscy, Lachowski, Bokaniewicz, Rosławski, Kos, a Bigda jeden milczał. Mówili wszyscy, a co tylko kto powie, patrzy chyłkiem na

Bigdę. Bigda jest tutaj sam, bez swoich ludzi. Poczciwi ludzie Bigdy pracują wciąż na sali.

Lachowski nawet, hrabia Lachowski, ten Lachowski z Lachowic, z lachowickiego zjazdu — nie jest, jak być powinien, wiernym człowiekiem Bigdy. To krzyż, to krzyż! Lachowski jakby pragnął rozerwać na swej piersi platynowy łańcuszek, zawiesza na dewizce obie wążutkie dłonie, odrywa, wznosi nagle ku niebu, znowu mu opadają. Jest niepewny, neutralny, nie śmie spojrzeć na Bigdę, wreszcie woła piskliwym głosem: — To wiara moich przodków!

Rosławski też niepewny, całkiem jednak inaczej. Rosławski jest niepewny, ale zarazem pewny. Tu krzyczy przed biskupem i woła, wyrzaskuje, równocześnie uśmiecha się do Bigdy pod pięknym złotym wąsem.

Bokaniewicz szaleje. Uderza czarną laską, — jakże się stało, iż nie spostrzegli dotąd, że biskup Bokaniewicz przychodził zawsze na plenum z tą czarną ciężką laską, — wymachuje przed nosem konającego zda się Stachowskiego, grzmi swym grobowym głosem.

Błyska przez głowę Mateusza myśl praktyczna: czyby posłać po Deptułę? Jeden tylko Deptuła potrafiłby jak trzeba dojechać biskupowi. Książd biskup Bokaniewicz chwycił za bary marszałka Stachowskiego, podniósł z ławy brutalnie i wykrzyknął prosto pomiędzy oczy:

— Więc pan opuszcza sprawę krzyża, marszałku? — Po tym okrzyku uspokoił się Bigda. Masz na to czas? — przypomniał sobie skrycie. Nie masz. Jeżeli oni mają, niech się martwią.

Mają czas na ważności święte, ale patrzą na Bigdę. Bigda zaś — nic. Siedzi przy marszałku i ni- by to pociesza, a ciągle, jakby jadł. Popatruje nie na nich, patrzy się na marszałka i ciągle niby je. Taki był gruby, spaśny, odęty ów marszałek Stachowski kiedy przychodził bez żadnego pukania do gabinetu wicemarszałkowskiego, aby poskromnić Bigdę. Obecnie jest o wiele mniej marszałka, coraz miękniejszy i cieńszy, zimnym potem oblany, aż żal patrzeć, jak dyszy.

Żal patrzeć, co zostaje z zażywnego człowieka, kiedy go Bigda z haka zdejmie, na detal wyda taką ogromną sztukę! Detal, zupełny detal, pan Lachowski i Bokaniewicz doskakują, interpelują, zapytują biednego Stachowskiego, rwą, dziubią! Nie umieją się zabrać do tego odpowiednio.

Bigda inaczej: łamie kości z namysłem, mięso zawsze oddzieli celowo i wie, kiedy je wydać. Pozostawił ich wszystkich i bierze ordynata pod rękę, odprowadza trzy kroki rozmawiając prosto w nos, prosto w twarz, aby ordynat wyczuł, że Bigdzie wódka bucha całkiem bezwstydnie z gęby.

— No i co, mój Lachowski, — powiada szczerze Bigda, — świadczyłeś mi u siebie, na zamku w Lachowicach, a tu co? Tu się wstydzisz? Czy jak? Czy co? Było tak, czy nie było? Zmówiliśmy się, czyśmy się nie zmówili? — Bigda trzyma ogromną łapą ordynata za ramię. Wszystko drży w ordynacie.

Pan Lachowski czuje, czego zaprawdę nigdy jeszcze nie wyczuł... Nie są to znane, wstrętne szumy przebaczenia historii, ale o wiele gorzej! Mdlenie,

swędzenie, jakby wewnątrz kiszek i wnętrzości przesywały drobne suche trociny.

— No i cóż, panie hrabio? Przodkowie nam świadczyli tak pięknie w Lachowicach i cóżto nie wiedzieli do czegoś ich pan wołał?! I cóż to teraz będzie z nami panie hrabio, z nami, z twoim urzędem? — zapytał Bigda, wsłuchany czujnie w ostatnią miarę czasu.

Ordynat nic nie mówi, nie odpowiada wcale, a tylko przylgnął, przyschnął do Mateusza i boi się odczepić. Bigda pamięta, że się Lachowski spieszy do monsignora, więc go właśnie opóźnia i zatrzymuje tutaj.

— I cóż to będzie z nami, panie hrabio, — powtórzył Bigda, — odprawić nam wypadnie naszych przodków na trawkę, czy jak? Bo nie rozumiem, jak Boga kocham! — Tak się zaklął, — nic a nic nie rozumiem.

Hrabia?! Czy mógł Mateusz Bigda przewidzieć coś takiego? Ordynat prowadzi Bigdę do kącika między szatnią a hallem i tu przytula perfumowaną, siwą głowę do piersi Mateusza, kwiląc, śmiesznie gęgotając:

— Nie mówcie nic prezesie i nie wzywajcie Boga nadaremno. Nie mówcie nic, nie mówcie, ja to jeszcze załatwię. Muszę, muszę załatwić. Dzisiaj tak sprawy stoją, chociaż to nie do wiary, że mam do rozstrzygnięcia: albo krzyż, albo Bigda.

— I nie wie pan, co wybrać?!

— Przecież ja wszystko, wszystko, — szeptał żałośnie hrabia — wszystko z siebie oddałem. Chcę i chciałem uczciwie, abyśmy poszli razem. Widział



pan w Lachowicach! Nie mam żadnych przesądów.—  
Hrabia Lachowski zasłonił dłonią oczy. — Dla mnie  
była to właśnie korona mego życia.

— Mam na pana nie liczyć?!

— Liczyć! Albo, nie licz pan wcale. Nie wiem,  
teraz nic nie wiem. Zrozumcie Mateuszu, jeżelibyśmy  
już nawet Boga wciągnęli w nasze walki, to teraz...

— Ja Go tam nie wciągałem.

— Ale został wciągnięty! — Korona życia, do-  
stojeństwo najwyższe, pierwsze w Państwie, czy też  
wiara całego życia? Jakże tu w tem wybierać? Stra-  
cić owoce zjazdu lachowickiego, czy też obrazić Bo-  
ga?! Ordynat czuł się w swem życiu zawsze ordyna-  
tem. W obliczu Boga czemś niezmiernie drobnut-  
kiem, lecz zawsze ordynackiem. Teraz zaś, niespo-  
dzianie, w obliczu Boga swego miałby się poczuć nie-  
posłusznym odstępcą, jakgdyby jakimś Bigdą w obli-  
czu ordynata?... Ordynat zwykłym Bigdą? Ordynat  
takim Bigdą?!!! Nie bratem Bigdy, ani nie jego ojcem,  
lecz z punktu moralnego patrzenia na te sprawy, rze-  
czywistym Bigdą? S a m y m Bigdą?!

— Niech mi pan wierzy, niech mi pan ufa, pa-  
nie prezesie, — wołał Lachowski, zbierając się  
do wyjścia, — że nie zawiodę pana, i nie zawiodę  
siebie, chyba iż zajdą takie okoliczności!

Bigda odwrócił się i ukazał oblicze, na wi-  
dok którego rozpoczynał się zawsze w uszach hra-  
biego Lachowskiego znany, dręczący szum przeba-  
czenia historii. Oblicze, jakby z drewna, posmarowa-  
ne smalcem, połyskujące wstrętnie, martwe a tak  
okrutne.

Kiedy auto hrabiego Lachowskiego minęło kordon policji i wjechało pomiędzy tłum, gdy tylko wjechało w dawną ulicę Instytutową (dziś Matejki), młodzież w kokardach, czapkach korporacyjnych, z pałkami, kastetami w rękę, ba, nawet z browningami zatrzymała maszynę.

Doścoczyli do okien, do drzwi automobilu. W drzwiach wozu, szybach, oknie na przodzie i po bokach, pełno było tych obcych twarzy. Lachowski poczuł, że zapamięta tę chwilę, że się jej nigdy w życiu nie pozbędzie, — samochód oblepiony twarzami obcych ludzi.

Gdy się młodzież zwidziała, że to jedzie ordynat, wznosić jąta okrzyki na jego cześć.

Myślą, że całym sercem stoję przy Bogu swoim! Jakże to niepotrzebne — zasromał się Lachowski. — Będzie zaraz w dodatkach nadzwyczajnych, a niewiadomo przecież jak się ten dzień potoczy i kto wkońcu zwycięży?! Oblepiali tu jego wóz, smarkacze, nie o tem chyba marzył! Marzył o całkiem innych owacjach, — szpalery wojska, protokuł, ceremonjał, — głupi, głupi, smarkacze.

Wołali za nim, — vivat, obrońca wiary!

Mijał Instytutową. Dla tej ulicy miał ordynat sentyment. To tu mieszkała ongiś pewna urocza osoba. Nie domyślił tej sprawy teraz do momentu foksiaka, — bardzo niedobra wróżba... Pan Lachowski zamiast wspomnienie domyślać do szczęśliwego końca, przypomniał sobie, że jedzie sam, bez sekretarza Strzęgorza. Będzie musiał znów wszystko tłumaczyć osobiście. Od czasu, kiedy rozpoczął sprawę prezy-

dentury wszystko musiał załatwiać sam? Cóż to za nowa moda?! Dlaczego się tak dzieje?!

Auto przemknęło szybko w ślizkim szeleście deszczu. Ulice prawie puste, werandy letnich kawiarni zasłonięte płachtami. Ordynat wzruszył się: Lachowscy mogą wybierać zawsze, wszędzie, wszystko, nie mogą jednak wybierać między Bogiem a Bigdą. Ksiądz biskup Bokaniewicz nie dał sobie powiedzieć ani jednego słowa i może nawet słusznie? Nie, Lachowscy nie mogą czynić takich wyborów, woleliby już chyba być mokrą płachtą kawiarnianą, która osłania puste wnętrza werandy.

— To tutaj, — rzekł ordynat złamanym głosem do szofera. — Zawrócić i zaczekać.

Monsignora nie było, czekał jednak ksiądz Stuck.

Czy monsignora rzeczywiście nie było? Z dalszych pokoi pałacyku słyszał hrabia Lachowski płynne szelesty jedwabiu, czy obrządku, bardzo, bardzo dostojne. Popatrzył w perspektywę pokoi przedziwnie urządzonej: to samo, co i wszędzie w dyplomatycznym urządzeniu, jeno w każdym szczególe motywami świętości dyskretnie przeplecione.

Ksiądz Stuck przeprosił ordynata, papiery jeszcze pochowa i zaraz wróci. Hrabia usiadł przy oknie, by spoglądać na deszcz. Myśleć o pięknym krzyżu z starej kości słoniowej, wiszącym na makacie złoto-amarantowej, myśleć dlaczego zawsze ludzie muszą sobie głowy rozbijać właśnie z powodu krzyża, zarazem myśleć o kroplach deszczu padających na asfalt.

Padają i znikają. Ordynat spodziewał się po tem

częstotliwym znikaniu i padaniu nieokreślonej ulgi, czy pociechy. Jeżeli jest wiadomym tam w górze los każdej kropli deszczu, płaszczącej się tu na asfalcie Warszawy, — dlaczegóżby nie miało postarać się nieco dokładniej tam właśnie, tam u góry o los takiego hrabiego Lachowskiego. Zawsze to chyba więcej, niż jedna kropla deszczu, o której wiedzą tam wszystko najdokładniej.

W ordynacji lachowskiej jest tendencja, by wiedzieć wszystko o każdym drzewku, lepiej jednak od losów pierwszego z brzegu drzewka, wie się o domu, śpichrzu, i każdym, jakim takim budynku. Czy ordynat Lachowski nie mógłby tam na górze być uważanym przynajmniej za budynek i to znów nie najlichszy?! Budynek ów, ewentualnie budynek, ewentualnie buda, marna buda, ten lichy budynek miał zostać głową Państwa. A czy zostanie teraz po aferze krzyża?

Dyskretny szelest odpływał w głąb pokojów pałacyku legacji, hrabia Lachowski w krople deszczu wpatrzony czuł się już bliskim płaczu. Postanowił nie rozmawiać z prałatem Stuckiem. Dość ma wszystkich Strzęgorzów, cywilnych, czy duchownych. I wogóle — to niech nie zawieszają krzyża, — zachnęło się tu w ordynacie ostateczne zwątpienie.

Ksiądz prałat Stuck powrócił z głębi dalszych pokoi. Stał przed ordynatem, zapatrzony skromnie w deseń perskiego dywanu.

Milczenie długie, uciążliwe przerwał pierwszy ordynat nagłym wybuchem:

— Brońmy krzyża w sejmie, krzyża brońmy! — Hrabia nie mógł się oprzeć tak świątobliwej atmosfery

rze. Przed chwilą przecież pragnął, by nic nie zawieszano, teraz się tak pochwalił...

Ksiądz prałat Stuck poruszył brwiami, westchnął, a jego twarz nasiąkała cierpieniem. Rzekł po chwili cichutko: — Nie wiem, czy można samemu Bogu narzucić Jego wiarę? Czy nie jest to zuchwalstwem, a może nawet pychą?...

— No, to po cóż to robią!? — zachnął się pan Lachowski.

— Każdy zapewne z panów posłów, — uśmiechnął się ksiądz prałat, — odpowiada za siebie.

Hrabia Lachowski powstał, machnął niegrzecznie ręką i rzekł: — Mam mówić z monsignorem.

Prałat na dźwięk tytułu swojego zwierzchnika, jakiejż doznał radości! Radości, graniczącej z cierpieniem. Skinął głową i podreptał przed panem Lachowskim przez salony, na górę do prywatnych pokojów wielkiego dygnitarza. Gdy się znaleźli wreszcie w sypialni dostojnika, zoczył ordynat pod oknem, w czarnym aksamitnym fotelu czcigodnego legata. Ksiądz prałat Stuck na palcach, szumiąc cicho sutanną, opuścił pokój. Zostali teraz we dwóch.

Dostojnik powstał na przywitanie Lachowskiego, lecz zaraz opadł na fotel i zamarł w swojej dawnej pozycji. Małeńka, żółta głowa, porośnięta siwymi kłaczkami nie drgnęła nawet, gdy hrabia znowu wybuchł.

Hrabia Lachowski postanowił wypowiedzieć wszystko: jak mu afera krzyża weszła w drogę do najwyższej godności, to jest prezydentury. Jakie z tego wynikną straty dla wszystkich, a głównie dla kościoła. Że jednak, oczywiście, kiedy znak krzyża

wmieszano do walki nikt się już, kto wierzący, nie namyślał, nie wahał....

Wielki dostojnik przerwał hrabiemu delikatnie, malutkim ruchem dłoni. Po czarnym pledzie, którym nogi miał zakryte, przewrócił dłoń od wierzchu, znów do spodu. Poczem jął mówić cichutko po francusku o człowieku i rzeczy. Los krzyża i los kraju... Los człowieka i rzeczy, wszystko zaś niezbędne, nieobjęte, nieogarnione nigdy, Bóg sam wybiera i nigdy niewiadomo, kiedy w człowieku, a kiedy w rzeczy składa sprawę wieczności. Bóg jeden sprawia, że w przedmiocie tkwi dusza, lub też opuszcza przedmiot. Wiedzą o tem na ziemi jedynie ci, którzy są tu stróżami wielkich tajemnic bożych.

Były okresy różne i będą jeszcze różne: gdy trzeba było, świątynie nasze były ciemne, z najgrubszego ciosane kamienia. Gdy trzeba, złotem mieniły się i barwą, bogactwem i koroną, którą to rzeczą błahą prowadził Bóg człowieka ku dalszym znów rozkwitom.

Hrabia Lachowski uczył, jakby się pod nim przepaść otwierała, czysta, wonna, chyba perfumowana?! Dostojnik spojrział przelotnie na ordynata. Cóż za spojrzenie?! Pan Lachowski zawstydził się.

W oprawie zwiędłej twarzy wzrok monsignora płonął przerażoną nowością, tym samym, ach, tym samym blaskiem nowego życia, który tak kochał, cenił, ubóstwiał ordynat w spojrzeniu kobiet, gdy się dowiadywały, że są w odmiennym stanie. Przywidzenie, czy prawda? Ordynat patrzył, własnym oczom nie wierząc.

— Ja wiem wszystko, — szepnął dygнитарz.

— To znaczy co?! — spytał niebacznie hrabia.

— To znaczy co? — Wąziutkie usta dostojnika kościoła usłały się potrójnym ruchem na wyszczerzonych ząbkach. Było to, jakby uśmiech pogardy, czy beśsiły tak zupełnej, że aż chyba wesołej.

— To znaczy co? — Zawołał znowu ordynat pewien już, że dostojnik nic nie wie, nie wie o niczem nic.

— Wiem, że jeżeli sprzymierzył się pan z Bigdą, z szatanem tak przewrotnym, jak poseł Bigda, uczynił pan to jedynie, ażeby zostać surowym stróżem tego zbląkanego człowieka. Tak panu nakazuje pańska wiara, odwieczna wiara pańskich szlachejnych przodków. Tu znów widzi pan, hrabio, palec świętej mądrości bożej. Pańska skromność, — dygнитарz wymienił szereg tytułów, świętych stopni zakonów wyspiarskich, afrykańskich, rycerskich, przysługujących ordynatowi z racji rodu i stanowiska, — nie pozwoliła panu przybiec tu i pochwalić się swą tak ważną, tak rozumną zdobyczą. Ale my wiemy o tem. Albowiem my ufamy. Ufność ta to jedyna ośłoda nasza w wszystkich przeprawach z ludźmi. My — ufamy! My ufamy, że się pan nie da skusić żadną obietnicą. Bóg. —

Ordynat słuchał wzruszony niepomiernie, nie dlatego, że wszystkim, którzy byli innego, niż on zdania, przyznawał zawsze mimowoli rację. Wzruszony był, gdyż to brzmiało szlachejnie, szlachejnie, szlachejnie wyglądało. Zarazem jednak niecierpliwił się wielce. Te wszystkie święte słowa i pojęcia, któremi przepojono ongiś wychowanie, niby

małe aniołki, wymalowane naprzeciw na obrazie nad łóżkiem, — kręciły mu się teraz koło uszu.

Czyżby się mogło znaleźć pośród owych aniołków najmniejsze choćby miejsce dla małego białuskiego foksika ludzkiej, drobnej nadziei? Z aniołkami dawał sobie ordynat radę przez całe życie. Przechodził umiejętnie przez te wszystkie brzęczenia. A teraz, kiedy zaryzykował tyle dla tych aniołków (cała obrona krzyża, zażądano od niego nagle... Ordynat przypomniał sobie teraz dopiero, iż dotychczas niczego jeszcze od niego nie zażądano tutaj.

Co więcej, że mu dano do zrozumienia, iż niepotrzebnie sam się swej własnej wierze narzucał, stając w obronie nagłego wniosku w sejmie. Cóż innego znaczył w ustach dostojnika pasus o życiu człowieka i przedmiotu? Hrabia Lachowski ucieszył się, uświadomiwszy sobie to wszystko i rzekł coprędzej:

— Mój wpływ na tego człowieka, o którym nie wiemy jeszcze wszystkiego najdokładniej, ale się chyba dowiemy z czasem pewnie, — będzie dość pożyteczny —

Dostojnik, nie poruszając głowy, uśmiechnął się i z pod jedwabnych powiek spojrział na ordynata. Pan Lachowski przerwał zdanie w pół słowa, patrzyły bokiem znowu na niego z żółtawej trupiej główki oczy żywe, fiołkowe, te oczy przerażonej nadziei.

— Liczymy na ten wpływ, nasz drogi hrabio i to od samego początku. Nie od jutra, od dziś liczy się tu na pana w tej potrzebie. O ten wpływ tylko chodzi. Nie o żadne ustawy małżeńskie, czy dobra martwej ręki, czy też o inne rzeczy, o które tam walczy-



cie. I nie o stanowiska tutaj chodzi. Są to znikome sprawy, te wszystkie już wspomniane przed chwilą tu przeze mnie. Ani też zależałyby na kierunku prac przyszłego rządu. Ani też, aby wiedzieć jeszcze raz i inaczej to wszystko, co już wiemy. Chodzi tu, — mała twarzyczka dostojnika zapadła znowu w pół sen, czy w pół martwość.

Już nic nie było słychać podczas owego snu a tylko jakby subtelne smakowanie delikatnej, wprost nieuchwytniej prawdy. Smakowały ją sine wargi wąziutkie. Zleżały jedwab powiek zsunął się na oczy.

Zrozumiał wreszcie hrabia czego od niego chcą. Chciano go tu rozgrzeszyć w sprawie nagłego wniosku. Hrabia nie wiedział jeszcze, — cieszyć się, czy też martwić?...

Dostojnik jął tymczasem opowiadać znaną piękną przypowieść o Samarytaninie. Wciąż po francusku, w krótkich najprostszych zdaniach, popartych drobnym, miłutkim ruchem dłoni.

Poraniony samarytanin, — rzecz prosta, poraniony duchowo, — to Bigda. Ów przezacny Judejczyk wszakże, to on hrabia Lachowski. Opowieść się skończyła, cieniutkie wargi znowu zlepilo bogobojne milczenie.

Hrabia Lachowski z niewymowną ufnością spojrział przez okno na pełne krople deszczu odskakujące wysoko od asfaltu. Patrzył na nie prawdziwie wdzięczny: że nawet krople deszczu tak liczne, i niestałe nie potrafią pomylić świętej wyższej rachuby.

Gdy oto kościana siwa główka oderwała się od tła aksamitu i z bladych ust zabrzmiał stanowczy głos, aż piskliwy, tak ostry: — Czy wierzysz w Boga?

Pan Lachowski przestraszył się.

— Bóg może wszystko, — wołał głos z sinych warg.—Bóg może kachać a może też przeklinać! Czy wierzysz w Boga? Czy chcesz mu wiernie służyć?

Hrabia Lachowski odczuł, że grozi mu nieszczęście. Przyszło i stało się odrazu. — Wierzę, — rzekł cicho.

Ametystowe oczy trupiej główki rozbłysły znowu przerażeniem nadziei.—Więc się pan zgodzi, hrabio,— mówiły sine wargi, — i wejdzie pan do gabinetu Bigdy. Mój drogi, wierny synu, będzie się pan tam starał ze wszystkich swoich sił, aby objąć tekę, której podlegają wszelkie sprawy kultu, wszelakie sprawy wyznań. A naszej wiary nadewszystko. Będzie pan kluczem, złotym kluczem Opatrzności, którym otwierać będziemy...

Ordynat zamrugał powiekami. Gdybyż to jeszcze wielki duchowny nie był wspomniał o kluczu. Złoty klucz, a tu ruina wszystkiego, bo skąd pożyczka teraz, co będzie z ordynacją, z wszystkimi przemyśłami, które tam zaprowadził Srzęgorz i co będzie ze wszystkim, wszystkim, wszystkim!?! Pan Lachowski zamrugał powiekami, westchnął, westchnął raz jeszcze, chciał się powstrzymać, — nie mógł. Wybuchł płaczem, rozbeczał się, jak dziecko. Zostanie Judejczykiem, zaiste judejczykiem, sanitariuszem Bigdy, będzie sprzedawał wkońcu stare ubrania Bigdy!

Pociągnęły rozplakanego ordynata w stronę aksamitnego fotela zimne ręce osoby duchownej. Dostojnik nie zrozumiał. Łzy Lachowskiego pojął, jako łzy przekonania, wdzięcznej pokory i skruchy i radości. Zi-

mną dłonią głąskał powietrze, nisko nad zaczesanym rozdziałkiem hrabiego, powtarzając raz po raz:

— Jesteś wybrańcem losu, jesteś wybrańcem losu.

Hrabia Lachowski, klęcząc tuż przy fotelu, łamał się z samym sobą.

— Żegnam cię synu mój, — szeptała twarz woskowa, — ty będziesz kluczem, — szczegóły prałat Stuck...

Zadźwięczało to w uszach hrabiemu, jak pierwsze echo życia. Szczegóły, — więc szczegóły! Jeżeli, jak go uczono o tem kiedyś w dzieciństwie, dla potępionych w piekle jedna kropelka wody na całe tysiąclecie z nieba padająca, wydaje się zbawieniem, dla ordynata te trzy zwyczajne słowa, — szczegóły prałat Stuck, — też w danej chwili wydały się pociechą nieomal, że nadziemską. Nieomal wybawieniem!

Szczegóły prałat Stuck...

Prałat Stuck sprowadzał ordynata ze schodów. Wielkie honory czyniąc, wiódł przez pokoje parteru. Raz wraz mijali weneckie okna, za którymi deszcz pluskał. Hrabia, ot tak w przechodzie, zbliżył się ku oknu, by zobaczyć, czy jego auto nawróciło, czy czeka? Czeką, nawróciło, błyszcząc na deszczu lakierowanym wierzchem.

To moja trumna, — pomyślał pan ordynat.

Szczegóły prałat Stuck...

W szczegółach owych nie mogło być już chyba nic duchowego, muszą się tam znajdować jakieś dane praktyczne, czy może środki moralne, polityczne, czy może materialne... Jeżeli w chwili tak wiel-

kiego skupienia dodał dostojnik te wymowne słowa...

Szczegóły prałat Stuck...

A zatem prałat był wtajemniczony w sprawę złotego klucza? Hrabia Lachowski popatrzył zgóry na zacnego prałata. Deska ratunku, ostatnie wybawienie to może te szczegóły?! Tak?! No, to właśnie nie trzeba już szczegółów!! Pożyczka zagraniczna, kapitał, ordynacja, długi i serwituty, lepiej to, niż szczegóły. Nie, szczegółów nie będzie! Lepiej być żydkiem a nawet potępionym ordynatem Lachowskim, ale szczegółów nie będzie tutaj żadnych. Do szczegółów nie dojdzie!

Służący liberyjny chciał panu Lachowskiemu podać palto. Przejął je prałat Stuck. Lachowski przyjął palto z krótkich ramion prałata. Prawie się nie pożegnał.

Hrabia Lachowski robi, co mu każe Bóg przodków, ale szczegóły zupełnie zignoruje. Odda wszelkie usługi, za te usługi właśnie, poniechawszy szczegółów, będzie na samym końcu wszystkiego potępiony, — a jakże wtedy wygląda Sprawiedliwość Wieczysta? Nie mógł Jej tego kłopotu odmówić August hrabia Lachowski.

## Rozdział VI.

### Za pięć złotych.

Bywa tak w życiu! Wali się tu na ciebie straszna skała a ty, zamiast uskoczyć, martwisz się, że ci kamyczek wpadnie do trzewika! Hrabia Lachowski był chyba w podobnem położeniu. Waliła się na niego skała, on zaś nie o tem myślał, lecz dziwił się samemu sobie dlaczego wciąż powtarza ukochaną sylabę, — te-te-te. Te-te-te. Należałoby chyba trapić się skałą, rozkruszającą wszystkie marzenia o pożyczce, o największej godności w państwie. O tem myśleć, a nie o te-te-te.

Auto hrabiego Lachowskiego mknęło z powrotem do sejmu. Jeszcze chwil kilka i już nieodwołalnie spójrzy ordynat tak zwanej prawdzie w oczy. W myśl instrukcyj czcigodnego dostojnika prosić będzie pana prezesa Bigdę o tekę. A jeśli Bigda odmówi teki? Jeśli odmówi pan Bigda, wtedy co?! Jakże to wtedy zostać kluczem złotym?

Hrabia zrozumiał, dlaczego wciąż powtarza sylabę te-te-te: ze strachu, ponieważ Bigda może odmówić teki. A niechtam, dobrzeby zrobił, gdyby właśnie odmówił. Hrabia Lachowski na Lachowie

i Lachowicach i tylu kluczach, ziemiach, wsiach, miasteczkach i włościach powtarza te-te-te, aby nie myśleć o incydencie ze szczegółami.

Szczegóły, prałat Stuck! Cała duma rodowa hrabiego buntowała się i gdyby mógł zawrócić, gdyby mógł powiedzieć prałatowi, — gwizdzę na pana, — może wtedy doznałby pan ordynat pewnej ulgi.

— Dalej nie pojedziemy, — rzekł szofer, zatrzymując wóz pośpiesznie.

— Dlaczego? — zachnął się hrabia Lachowski.

Szofer ukazał obie strony Alej Ujazdowskich. Hrabia wychylił głowę przez okno samochodu. Rzeczywiście, widok dość osobliwy. Uderzył Lachowskiego przedewszystkiem wygląd ławek, długich, ogrodowych, stojących przed parkiem miejskim i dalej aż ku Belwederowi. Zmoczone deszczem, lśniące, wyglądały, niby szerokie pauzy, pomiędzy którymi zbrakło tu nagle liter. Ludzi nigdzie. Żadnego ruchu. Wszędzie pusto, a koło ulicy Pięknej i wokół wszystkich wylotów sejmu tłum aż się czernił. Aż tu dolatywał z oddali głos wzburzonych okrzyków. Hrabiego Lachowskiego przejęła niewysłowiona pasja. Teraz dopiero uczuł w sobie inicjatywę zemsty i czynu.

— Co pan gada, — rzucił się ku szoferowi, — co to znaczy, dalej nie pojedziemy?! Pojedziemy, gdzie mamy jechać, proszę naprzód do sejmu!

Auto z śliskim ciamkotem ruszyło znowu. Obok wylotu parku Ujazdowskiego minęli karetkę pogotowia, była czekoladowego koloru, wewnątrz jakby wyłożona srebrnym papierem. Przy karetkce stało (więc nie leżeli, więc mogli się trzymać na nogach, więc coś

wielkiego!) kilku pobitych, którym lekarz zakładał opatrunki.

Proszę bardzo, proszę bardzo, — irytował się coraz więcej hrabia Lachowski, dojeżdżamy do sejmu, aż do samego sejmu, krokiem pieszo nie ruszę.

Auto wjechało w tłum. Lachowski zachował nadal nieskazitelną obojętność. Umiał to robić, jak nikt na świecie. Gdy sobie hrabia Lachowski nakaze — wiadano o tem powszechnie, dlatego ludzie wytrawniejsi wierzyli tak uparcie w dyplomatyczne zdolności ordynata... Gdy sobie raz nakaze obojętność, mogą się domy walić, nie wzruszą go.

Tak samo, teraz tutaj: wyciągnął się w swym wozie, trąbiącym przeraźliwie, rozpogodził twarz, — w takich wypadkach zawsze ją rozpogadzał — i zamarł w doskonałym bezruchu. Deszcz, to deszcz, kamienie, to kamienie, tłum, to tłum, szczegóły, to szczegóły, proszę bardzo! Gdyby strzały, — niech będą strzały.

Tłum dość dziwny! Jedni w ogromnej kupie śpiewali pieśni nabożne, Boże coś Polskę nawet! Drudzy wrzeszczeli zajadle o ziemi, o ustawie, o hańbie, jeszcze jednym rozbiorze. Grupy młodzieży krzyczały najwyraźniej, — precz z Bigdą!

Hrabia Lachowski przymrużył tylko powieki, wyciągnął się, jak długi i wsłuchał się w sylabę: te-te-te.

Im bliżej sejmu i kordonów policji, tem powolniejsza droga.

Cały dzień będę jechał a nie opuszczę wozu, — postanowił ordynat. Widział przed sobą liberyjne, granatowe bary szofera, dalej na jezdni i chodnikach Instytutowej ściśnięte mrowie ludzkie, nad

którem wznosiła się olbrzymia, stożkowata konstrukcja gmachu sejmowego, tak podobna w zarysie, — przynajmniej wedle księcia Rosławskiego, — do olbrzymiej czapki błazeńskiej.

Podobna, niepodobna, niech się dzieje, co chce, ja z wozu nie wysiądę, — postanowił raz jeszcze ordynat.

Szofer wołał, — droga wolna, auto pana posła, hrabiego Lachowskiego, — młodzież powtarzała, — droga wolna, dać drogę, auto obrońcy krzyża, hrabiego Lachowskiego. — Ordynat poczuł się istotnie złotym kluczem, ale zimnym, jak metal. Skoro jednakże postanowił sobie obojętność, nie reagował na własne zimno, — metalowe.

Byli już o pięćdziesiąt, sześćdziesiąt kroków od kordonów policyjnych, gdy się hrabiemu przytrafiła wysoce nieprzyjemna awantura. Nie reagował, ani nie drgnął na głębokich poduszkach wozu, nieprzyjemne to było jednak i nie w porę, a jeżeli potem jeszcze obgadają w dziennikach?! Ktoś wybił wszystkie szyby wozu, obie boczne i małe okienko tylne. Trudno powiedzieć, że „ktoś“, oraz, że „wybił“, stało się bowiem tak prędko, iż właściwie trzy szyby naraz jakby same wypadły.

Szyba to wynalazek! — pomyślał z filozoficznym uznaniem pan ordynat. Auto, mimo, że jako konstrukcja zamknięte, było teraz na przestrzał otwarte! Ledwie to zdążył pomyśleć, gdy się otwarły drzwiczki samochodu, jedno i drugie, szarpnięte energicznie. Hrabia Lachowski trwał nadal, nieporuszony w kącie.

Dwaj młodzi ludzie szamotali się w wyszarpniętych drzwiczkach prawej strony, lewemi od ulicy (je-



żeli przyjąć, że prawe były od chodnika) wtargnął inny jegomość w cienkim, szumiącym płaszczu gumowym. Ów płaszcz napęlił auto zapachem gumy rozgrzanej. Jegomość depcąc po wyciągniętych nogach ordynata przedstawił się.

— Jestem redaktor Kapuścik, pan mi daruje, panie hrabio, ale mimo karty prasowej —

Coś tam jeszcze bełkotał ten typ podejrzany, hrabia nie mógł dosłyszeć, za redaktorem bowiem pchała się ciżba uliczna demonstrantów i korporantów, warchołów, czy warjatów, różnej hołoty głośnej, rozwrzeszczanej.

Hrabia Lachowski spozierał obojętnie na wszystko. Jegomość w płaszczu gumowym i ciżba z jednej strony, pośrodku z pod skórzanej rękawicy szofera nieustanny ryk szosowego sygnału, po drugiej stronie rozgrywało się coś dramatyczniejszego jeszcze.

Dwaj panowie, — jeden z nich zdążył się już przedstawić, — cóżto nagle za Wersal w czasie bójek ulicznych, — szamotali się, spychając się wzajemnie. Ten, który się przedstawił, powiedział najwyraźniej — jestem Mieniewski, syn posła Mieniewskiego, — pchał się do auta, tamten drugi nie dawał. Za nimi tłum wrzeszczący przeraźliwie, — precz z socjalistą, — niech żyją socjaliści, — hańba, — niech żyją!

Wszystko zaś tem dziwniejsze, że ci panowie szamocący się byli napewno braćmi, tak wielkie ich łączyło podobieństwo. Lachowskiego nie obchodziły teraz ani podobieństwa rodzinne, ani awantury uliczne, ani nawet ulica Instytutowa, która tyle mu poddawała wspomnień. Nic go nie obchodziło. Klucze, — myślał

z ironją, — chociażby nawet złote, nie mogą przecież myśleć.

— Zostań ze mną, mówię ci zostań ze mną! — wołał młodszy z tych panów, — to nie ma sensu, zostań!!

— Puszczaj mnie Tadek, nie uznaję przemocy! — odpowiadał ten drugi.

— Nie puszczaj go, nie puszczaj! — wołali ztyłu demonstranci, — nie puszczaj go!

— To Mieniewski, to syn sprzedawcy klasy robotniczej, — wołali jacyś inni, — hańba mu, hańba mu!!!

Stanisław Mieniewski padł na poduszki, tuż obok Lachowskiego. Ludzie tłoczący się do drzwiczek poderwali Tadeusza Mieniewskiego ztyłu za nogi. Szarpnięty niespodzianie, upadł na dno wozu, oni go ztyłu za nogi wyciągali, bijąc się między sobą, szofer hrabiego trąbił, pan redaktor Kapuścik z drugiej strony gromił intruzów. Dokoła wrzask i pięście, pan Kapuścik zatrzaskał z trudem drzwiczki, poczem sięgając poprzez hrabiego Lachowskiego zatrzaskał drugie, po stronie Stanisława.

Rozległ się krzyk Tadeusza, auto sunęło naprzód. Stanisław podgarnął się pod okno samochodu, nie zobaczył już jednak nic więcej, prócz ręki leżącego na ziemi brata, podtrzymywanej drugą ręką. Krwi Stanisław nie widział, nie było chyba krwi?!

— Gdybym mu przyciął, czy zgruchotał palce, byłbym czuł, zapewniam pana, że byłbym czuł!! — krzyczał przez nieustanny ryk sygnału Kapuścik.

Wjeżdżali w kordon policji, pomiędzy granatowych posterunkowych z karabinami. Stanisław, — jak-

że sobie mógł pozwolić na taką familjarność, — oparł się o ramię ordynata, powtarzając raz po raz: — To okropne, okropne, i po jaką cholereę mieszał się pan do tego?!

— Nie czułem, nic nie czułem, — wołał wśród krzyku Kapuścik, — drzwiczki zgrzytnęłyby, chrupnęły!

Gdy się znaleźli przed podjazdem sejmu, obstawionym policją, pan Lachowski ni z tego ni z owego rzekł sennie: — Bardzo panów przepraszam. — Wysiedli. Lachowski podając rękę młodemu Mieniewskiemu wzruszył ramionami.

— A pan co za jeden? — zwrócił się hrabia do Kapuścika i nie czekając odpowiedzi, wszedł do sejmu.

Kapuścik i Stanisław Mieniewski zostali na schodach, poza gęstym kordonem policji. Tu, za kordonem granatowych mundurów cisza i spokój, tam przed kordonem o kilkadziesiąt kroków zaledwie, — tumult, piekło. Stanisław uchwycił Kapuścika za gumowe rękawy płaszcza i potrząsając oficerem policji, szeptał:

— Co pan szpicluje? Mieniewskich pan szpicluje? Porządnych ludzi? Jak pan śmie! Jak pan śmie?!!

Pan Kapuścik wyrwał się jednym zamachem i warknął: — Mieniewscy i Mieniewscy, różnie to bywa choćby i z Mieniewskimi..

Stanisław puścił Kapuścika, bezradny. Szpicel, policjant może sobie powiedzieć, — Mieniewscy i Mieniewscy, — różnie bywa!... Może sobie powiedzieć i ma rację. Nie tłumaczyło się to dalej w myślach Stanisława, jeżeliby jednakże myśl owa mogła znaleźć doraźną satysfakcję, to chyba tylko, gdyby

stąd nagle kordon policjantów gruchnął salwą do tłumu. Do tych wszystkich ludzi, którzy stoją naprzeciw, z którymi różnie bywa, ma się rozumieć — różnie, i to jeszcze jak różnie...

Myśl owa przeraziła Stanisława potwornością; tracił już równowagę. Mógł zostać dyrektorem Naszej Nafty. Kto wie, może dziś nawet?! Przynieść komuś tak doskonałe warunki na kupno pięćdziesięciu wagonów ropy! Kto pierwszy te warunki wydłubał, kto je pierwszy przynosił Bigdzie? On, Stanisław Mienniewski. A tu tymczasem, jak zawsze, wszędzie w życiu, — rodzina! Wszedł do sejmu, okazał legitymację wystawioną przez Bigdę, i oddawszy swe palto w szatni, zawahał się: gdzie szukać ojca? Z tego co wiedział Stanisław o rozgrywkach przy głosowaniu sądził, że bazą socjalistów będzie dzisiaj bufet. Mówić ojcu o tem, co zaszło, czy lepiej nic nie mówić?

Stanisław nie chciał starego szcuć, uważając, że skoro ojciec woli naogół zawsze jego (Stanisława), nie należy dolewać jeszcze oliwy do ognia. Nie dolewać oliwy, musi być jednak miara we wszystkim, choćby nawet w warjactwie. To warjactwo dzisiejsze Tadka!

Spotkali się przypadkiem w tłumie, tuż przed kordonem policji. Stanisław śpieszył z depeszami do sejmu, z ważnemi depeszami naftowemi dla Bigdy. Tyle wagonów ropy, po wybornej cenie! Tadeusz nie był sam. Włóczył się z swoją bandą, niby byli nie razem, lecz razem się włóczyli, dziwne typki, półżołnierskie, bandyckie. Zoczywszy Stanisława począł Tadeusz wołać, dopchali się do siebie i tu się rozpoczęło, w cukierni poszło dalej, — lepiej się było nie spotykać, lepiej się było nie znać, czy co?

— Widzisz, jak ich rozděło? — powiada pierwszy Tadek, — jak ich rozděło tych wszystkich draniów.

— Dlaczego draniów i dlaczego rozděło?

— Widzisz, jaki rozděty ten cały lud, chodź, pójdziemy na kawę. — Tadek mówi o kawie, ale tu nie o kawę chodzi. Stoi naprzeciw brata, z zaciśniętymi wargami a oczy mu się iskrzą.

— Na kawę? Nie mam czasu na kawę, depesze z sobą mam, ogromnie ważne, naftowe, muszę dostać się do sejmu. Daję ci jeden procent od tego co załatwię, pchajmy się we dwóch razem.

— Nie idź do sejmu Stasiu, chodźmy na kawę, — powiada znów Tadeusz i taką minę ma uśmiechniętą, żalowaną, aż przykrą, tak łagodną.

— Na kawę nie pójdziemy, — odpowiada Stanisław.

— Jak ci powiem, pójdziemy...

— Co mi powiesz?

— Nie będę gadał na ulicy.

— Tajemnice państwowe?

— Gorzej, niż tajemnice, — uśmiecha się Tadeusz, — chodzi tu o starego naszego...

— Mnie też — rzecze Stanisław, — żeby tam z Bigdą głupstw jakich nie porobił. Dlatego tak się śpieszę.

— A widzisz, bracie, widzisz, — uśmiecha się Tadeusz. Serdecznie, ale zarazem rozkazująco zagania Stanisława ku małej cukierence. Niema w tem złego nic, w gestach i w ruchu Tadeusza, a jednak w Stanisławie gotuje się bezsila, która wynikać może tylko z poczucia rozumniejszej wyższości. Coś tak nieprzyjemnego! Dodać do tego ubiór. Taki szczegół nie zna-

czy między braćmi, Stanisław jednak ubrany jest porządnie, płaszcz z gabardiny, pantofle obsadziste, z żółtej skóry, spodnie zaprasowane. Tadeusz w marynarce wyszarzałej, portczyśka podejrzane, dlaczegoż to niechlujstwo?!

Weszli do cukierni, do drugiego pokoju, do tejże samej cukierenki, w której Tadeusz przebywał swego czasu z Zużą i tu jej plótł wyznania swoje, takie niby liryczne.

— Dwie pół-czarne!

Siedzą we dwóch przy parawanie, Stanisław mie-sza prędko czarne fusy, uderza w brzegi szlanki, a Tadeusz powiada nagle:

— Ojca sprzedają w sejmie. Koniec, upadek, czy tylko wazelina, to chyba obojętne. Bigda starego kupi, czy jak? Twój dyrektor naftowy Bigda.

— Twój przełożony prezes z wielkiej spółdzielni MASŁO.

— Nasz wielki przełożony! Owszem, można i tak. Tu Mieniewski, — tam Bigda.

— Co Bigda, no cóż Bigda, — rozgniewał się Stanisław. — Zaraz „kupuje”. I za ciebie kupuje, czego się znów tak szarpiesz?! Proces w Zagłębiu i cała sprawa Krasny, — za darmo się nie robi takich rzeczy.

— Za darmo? Mowy niema. Wiadomo, że się płaci. — Tadeusz pobladł nagle, w nikłym uśmiechu błyszcząc swym sztucznym mostkiem. — Nic za darmo na świecie. Weź to, po mojemu, z amerykańską dosłownością. Pamiętasz Staszek, jak siedzieliśmy w restauracji urzędniczego klubu, co to wyjeżdżałem z garami na podbój świata? Była też taka chwila. Deszcz błoto, trzy minuty buddystyczne. Rozsądny namysł

i króciutka decyzja. Co tu widzisz za oknem? Lud. Po co przyszedł ten lud? Aby się gapić, jak w sejmie morowe dranie kupują się wzajemnie, oraz kupują leadera Mieniewskiego. Smakuje ci? Mnie nie. I co tu jeszcze widzisz? Dwaj synowie leadera czynią przystępną cenę na swojego starego? Widzisz to, czy nie widzisz?

— Wcale nie widzę, wymyślasz bujdy! Nikt tam nikogo nie kupuje, albo się wszyscy ludzie zawsze na świecie kupują, więc też niema nieszczęścia. Poprostu, — wypadkowa i nie rozumiem, o czym my tu mówimy? Zwyczajna wypadkowa układu sił, stosunków, czy jak tam sobie chcesz. To są tajemnice, o których miałeś mówić? Stary też bierze udział w jakiejś wypadkowej, co w danej chwili jest mi bardzo na rękę, bo dzięki różnym okolicznościom, być może, że już dzisiaj zostanę dyrektorem nie byle jakiej firmy: Nasza Nafta. Jeżeli stary —

— Starego tam kupuje Bigda, — zachnął się znów Tadeusz. — Tego właśnie starego, co, gdy się przedstawiałeś komukolwiek dawniej, to cię zawsze pytali ze wzruszeniem, — przepraszam czy to syn leadera Mieniewskiego?

— Co to znaczy kupuje? Brednie! Nastaje nowy układ, ja mogę w tym układzie zostać dziś dyrektorem, to jest realna rzecz, całkiem realna praca.

Tadeuszowi brakło oddechu. Zapragnął westchnąć, ręce na piersiach położył i brwi uniósłszy w górę zawołał: — Tom ja się na to bił?!

— A na to, naturalnie, że na to! Żeby się mógł utworzyć nowy układ. Możesz być pewien, że gdy w tym nowym układzie ja będę dyrektorem, to ci sto

razy prędzej podpiszę każdą twoją patriotyczną, czy jaką chcesz pożyczkę, podpiszę ci sto razy prędzej, niż każdy inny człowiek!

Wstawiony mostek, z warg odsunięty długim, sztywnym uśmiechem trwał przed zniecierpliwionemi oczami Stanisława.

— Zapomniałeś widocznie Stasiu, że już jestem człowiekiem kompletnym. Kompletny człowiek nie pożyczka już od nikogo. Ja ci nie mówię nic o polityce. Sama tylko psychika. Psychika mówi tak: walimy teraz razem do sejmu. Do starego. Widziałem przy kor-donie Kapuścika. Przepuści nas. Jak nie przepuści, — w mordę. I rypniemy do ojca. Ojca za łeb. To proste. Należy mu się, aby się tego przynajmniej doczekał od swych synów. Mówimy mu: uwaga! Forsy dawałeś mało, ale to nic, — synowie. Już tylko jedna bydy-styczna minuta dla ojcowskiego namysłu. Nasza sug-estja: Ty leader pokazujesz pewną część ciała Big-dzie. Bank? Niech się wali. Ciebie kupić nie można. Nie masz swojej koncepcji? Dajemy ci koncepcję: zo-stajesz rafa. Trwasz twardo, jako rafa. Stoisz na miej-scu, czekasz.

Stanisław przeciągnął się i ziewnął: — Przepra-szam cię, to wszystko ma się odbywać, dlaczego?

— Społeczeństwo już aranżują bez ciebie, mnie i bez nas —

— To jest bez kogo?

Tadeusz zachnął się: — Bez wszystkich nas!!

— Jakich nas? — Dziwna rzecz: nie powiedzieli sobie dotychczas nic uwłaczającego, a przecież drżeli z gniewu, wstydu, czy hamowanej pasji. Gdy Stani-



sław zadał pytanie, — jakich nas, — poczerwieniał ze złości.

— Bez jakich nas? — śmiał się Tadeusz. — Bez wszystkich nas, wszystkich nas, — odpowiadał cierpliwie, jakby zalany światłem, odmętem przeżyć frontowych, kopalnianych, miłosnych, łazikowskich. — Bez wszystkich nas!

— To jest bez których?

— Bez wszystkich tych, — powiedział cicho Tadeusz, — którzy się bili.

— Ci co się bili są biedni obecnie, i wcale się nie liczą. — Stanisław powiedział to, zawstydził się i dodał: — Ja się przecież nie biłem.

— Aleś mój brat.

— Tak, ale się nie biłem.

— Ale masz to w tradycji.

— Tradycja też wietrzeje, — uśmiechnął się Stanisław.

— Ale my pamiętamy!

— Nas już później nie będzie.

— Więc nasze przeświadczenie...

— Nie stanie go już później.

— Nasza osobista konieczność, — zaperzył się Tadeusz.

— Nie odczuwam żadnej. Chcę zostać dyrektorem.

— No to Stasiu, co robić? My was zmusimy do naszej konieczności.

— Kto my?

— Ja, Chybacz, jakiś Tylko, Kubera, któż to wie? Ci sami ludzie drygu, drygu i awantury i krwi, a tak! Krwi. Wartość, czy jak do cholery, czy jak to nazwać,

może ostatecznie Ojczyzna? Chyba napewno Ojczyzna, która wyszła, wynikła z naszej krwi, z mojej krwi, takich warjatów. Więc cnota, chyba cnota w Ojczyźnie, salon cnoty. Przyznam ci się, że, — że kocham taką rzecz, może dlatego tak się rozbijam i byłem nawet w kryminale i jeszcze będę. Śmiech do gęby, cóż chcesz, kocham taką Ojczyznę, dla której się morduję. Jeśli tego nie czujesz —

Dlaczegoż to mówili śpiesznie, łapczywie, rozgrzani, rozłoszczeni do ostatniej granicy?!

— Za pysk? — syknął Stanisław.

— Za pysk!

— Kto kogo?

— Ci co się bili, tych którzy się nie bili.

— Wiecznie to samo chamstwo.

— A chamstwo, Stasiu, chamstwo, rozdarte, rozpuszczone, chamstwo twarde, zarazem bardzo czułe, dyskretne a zarazem uroczyste. — Tadeuszowi łzy napłynęły do oczu.

— Nie rozumiemy się. Chodźmy już Tadek. — Stanisław wstał, zapłacił, wziął teczkę z papierami. — Ja doskonale wiem, czego naprzykład chcę, — dodał Stanisław. — Ale czego ty chcesz?

— Ja chcę, — zbierał się wolno z kawiarnianego pluszu Tadeusz, — żebym sobie mógł zawsze pomyśleć, kiedy naprzykład kichnę, chociażby nawet wtedy: to kichnął ten idjota Mieniewski, który zawsze nadstawia łba.

Nie dogadali się. Wracali już do tłumu. Tadeusz mówił znowu: — Jest jeszcze inna droga. Zostawiamy starego, niech robi, jak uważa. A my znów, obaj właśnie —

— Co obaj, jakie obaj? — krzyknął Stanisław. — Mnie to nic nie obchodzi to wszystko, co ty gadasz. Głupia, stara maniera, człowieka bez posady. Czło-wie-ka bez po-sa-dy!!

Jakież to było dziwne: Tadeusz objął brata i głowę mu złożywszy nieomal że na piersi, tu w tłumie, z błahą kokieterją zawołał niespodziewanie: — Jeśliś mój brat, zostaniesz tutaj ze mną.

— Zostaję dyrektorem warjacie!

— Nasz stary też był dyrektorem, nawet prezesem a teraz go kupują. Ty jednak — prosił Tadeusz Stanisława, prosił ze łzami w oczach, — sam rozumiesz, nie będziemy się bili, ty ze mną. Mówię ci, Bigda prowadzi nieuchronnie do machloji potwornej, do obrzydliwej sprzedaży! Warjacie, przecież nie na to szły te wszystkie awantury, wojna, głód, moje wszy, tyle cierpień... Ja ci tu drzę, ja ci tu tego wypowiedzieć nie mogę, ale to wszystko ma być inaczej! Ma być takie, że jeśli oni choćby raz, kiedyś, cholera mnie bierze, — raz, kiedyś oczy do góry podniosą, mają się tem zachwycić, czystością i wielkością, Stasiu, — Stasiu!!!

Wtedy to właśnie nadjechał samochód Lachowskiego i rozegrała się najboleśniejsza scena pomiędzy obu braćmi. Tadeusz chciał powstrzymać Stanisława przemocą, Stanisław jął się bronić, demonstranci podbili ztyłu nogi Tadeuszowi, ten upadł na dno wozu. Równocześnie zaś z drugiej strony Kapuścik drzwi zatrzasnął i auto odjechało, zostawiając na błocie powalonego Tadka.

Nie można o tem wspominać ojcu. Widać, że tak to już postanowiono pomiędzy nimi, braćmi: je-

den będzie pracował a drugi guzy zbiera, niewiadomo dlaczego. Z takim to właśnie poczuciem korzyści z cudzej krzywdy odnalazł Staszek w sejmowym bufecie ojca.

Leader siedział za stołem otoczony zaufanymi posłami. Huczeli rozgłośnem oburzeniem, gdyż większość się ważyła jeszcze, — niewiadomo, jak sprawy pójdą, jeżeli przy nagłości wniosku marszałka Stachowskiego zechcą głos zabrać ministrowie. Wypadnie wtedy znowu otworzyć dyskusję a wtedy —

Strzępki rozmowy, oraz potężny huk stentoru posła Cynwajsa: nad wszystkimi głosami panował szlachetny metal Mieniewskiego. Głos ten, znany w całym kraju, związany stale z wielkimi zdarzeniami życia publicznego przywodził zawsze na myśl Stanisławowi miłe czasy dzieciństwa: Gdy mali byli, rozmawiali z Tadkiem w łódeczkach, opowiadając sobie przeróżne okropności, a tam obok w stołowym leader Mieniewski zwierzał się żonie przepięknym głosem z odniesionych triumfów.

Wystarczyło Stanisławowi dzisiaj spojrzeć na lidera, by wszystko zaraz zrozumieć. Ojciec siedział na pierwszym miejscu i kłamał uroczyście. Znali się na tem chyba! Ile razy w rodzinie coś mu się nie udało, kłamał tak samo wielkim piersiowym głosem. Przyczem zawsze dostawał wypieków. Dziś też je miał. Okrągłe, purpurowe, jak zawsze w takich razach.

Mówiąc tutaj za stołem wspierał prawicę na towarzyszu Kozie. Stanisław poznał Kozę przygodnie w Banku Robotniczym. Widząc, jak leader kładzie rękę na ramieniu tego szarawego człowieka zasmucił się Stanisław jeszcze bardziej: znali się także i na tem

wszyscy w domu. Ojciec zawsze wśród cięższych przejść, rozłamów politycznych wybierał sobie, — określali tak właśnie, — wybierał sobie tak zwane „głupie ludzkie upodobanie“, czyli tampon.

Towarzysz „tampon“ stawał się w trudnych chwilach zupełnie nieodzowny. Nibyto radził leaderowi we wszystkim, we wszystkich ważnych sprawach pouczał, a potem zgrany, śmieszny musiał odchodzić prędko w cień, stając się „niemożliwym“. Czyżby do tego doszło, że dziś tamponem stał się ów biedny Koza?

Stanisław przywitał się „ogólnie“ z panami posłami, leader zawołał, — jeśli to nic osobistego, może zechcesz pomówić z naszym dzielnym towarzyszem Kozą.

Koza powstał z za stołu, blady, dumny, aż zawstydzony od nadmiaru zaszczytów. To on, Koza wykrzyknął dziś na plenum odważnie o parlamentarzmie. Całą duszę, wszystkie cierpienia, wszystkie ofiary swoje zamknął w okrzyku i okazało się, że nie nadarmo, gdyż okrzyk został przez wszystkich zrozumiany.

To Koza załatwił wszystko zręcznie z biednym Tyczką. To Koza rozgrzeszył a zarazem poradził w aferze z fernalami. To on, nie bacząc na straszliwe ofiary, na miłość osobistą trzymał dziś przez pół dnia swą rękę byłego robotnika, górnika — na głównym sterze życia politycznego partji. Trzymał tę rękę popołu z wypróbowaną dłonią leaderowską i, co jest jeszcze więcej, gdy dłoń lidera mdlała, on, poseł Koza, kierował sterem sam.

Siedział obecnie przy stole klubowym, nie wiele rozumiejąc z wszystkiego o co się tak wyniośle kłócili

towarzysze. Marzył, aby gdzie zdobyć poradnik, czy też rozumowany słownik socjalistyczny, w którym byłoby dokładnie uwzględnione, co może być potrzebne do prowadzenia przekonaniowych sporów. O tem marzył towarzysz Koza siedzący pośród tylu zasłużonych (Cynwajs, Karnicki, Erbach i jeszcze wielu innych) po prawicy lidera Mieniewskiego.

Dziwnie się to plątało w pamięci pośła Kozy. Wspominał rozmowę z dawnym swym wychowawcą, sławetnym pośłem Drażkiem. Jak to sobie siedzieli, przy tamtem głównem oknie, był dzień pogodny, jedli sznycla z ogórkiem, chodziło o pieniądze Kostryniowej, a rozmowa zakończyła się na tem, że Drażek rady dawał o furtce, o pływaniu, dokończył zaś pocziwemi słowami — masz pływać powoluśku.

Mieszało się wspomnienie to z dziwnym urokiem morza. Koza w chwilach podniosłych i nawet średnio ważnych (i to zawsze tak było od bardzo dawnych czasów, może od kiedy przeczytał pewną statystykę z życia okrętowych palaczy), zawsze w tych chwilach ważnych marzył o morzu, którego dotąd nigdy w życiu nie widział. Teraz miał przecież darmo bilet kolejowy. Postanowił zaraz po przesileniu pojechać nad morze, do Gdyni, czy na Hel? O temto właśnie marzył w skromności swej (gdyż dziś jawnie chwalony przez lidera), gdy usłyszał to polecenie pod adresem młodego Mieniewskiego: — możesz pomówić z naszym dzielnym towarzyszem Kozą.

Stanisław odrzekł z gotowością: — Tak, dziękuję, ale to sprawa osobista.

Wówczas leader, powstawszy, — bardzo żałuję

drogi towarzysz Koza — i wolno, wspaniałomyślnie oddalił się z synem w głąb bufetu, pod okno.

— Jakże tam na ulicy? — zaczął leader, — bo tu u nas spokojniej teraz nieco. Nie mogę się w to mieszać. Nie masz pojęcia, co to jest za hołota!

Stanisław i to umiał wybornie: „hołota“, znaczyło w parlamentarnej gwarze pana Mieniewskiego, że się wobec większości znalazł znowu bezradny.

— Hołota, nie hołota, nie wiem, — zwierzał mu się pośpiesznie Stanisław, — na mieście wszyscy mówią, że po upadku Rządu i po upadku Stachowskiego, — czy to prawda, że wniosek nagły w sprawie krzyża już upadł?

— To się teraz rozgrywa, — oburzył się stary Mieniewski. — Nas chcą wciągnąć w pułapkę, abyśmy głosowali przeciw nagłości, później sami krucjatę przeciwko nam ogłoszą. Nie dam się wciągnąć jednak. Mniejsza o sejm, mów mi jak na ulicy wygląda?

— Na mieście mówią, — recytował Stanisław, — że Bigda rząd sformuje, że socjaliści wejdą do gabinetu, że zostaniesz ministrem. Mam depesze dla Bigdy, mego prezesa, — zaśmiał się ironicznie, — chciałbym wiedzieć, jak sprawy stoją teraz między wami?!

Zdało się leaderowi, że musi śpieszyć z pomocą dla tego syna właśnie. — Poufnie mogę ci powiedzieć, — leader nachylił się do ucha synowskiego, — stosunki pomiędzy nami dwoma są najzupełniej poprawne. I może nawet lepsze od poprawnych. Konferowałem z Bigdą kilka kwadransów temu. Cham, to wiadomo, ale ma całkiem dobrze w głowie, a w stosunku do Stachowskiego robi za nas wydatną robotę! Co do Bigdy muszę ci przyznać, zorientowałeś się

nadzwyczaj trafnie, — mówił leader Mieniewski, patrząc z goryczą ponad głowę Stanisława, w ciemną głębię bufetu, — dlatego właśnie pytam, co na ulicy? Bo jedynie z tej strony możnaby jeszcze oczekiwać ostrzejszych kroków. Czy są trupy? Zabici? Policja ciągle mówi, że nie. My tu jesteśmy w pewnym sensie odcięci. Czyś widział gdzie milicję naszą? Moją, socjalistyczną?

— Milicję? — Stanisław rzekł, jakgdyby wyrywając to z siebie: — Widziałem Tadeusza.

Pan Mieniewski zwięził powieki. Patrzył na syna ostremi szczelinami spojrzenia. — Nie mów mi nic, — zawołał.

— Widziałem Tadeusza, — Stanisław nie mógł się powstrzymać, musiał „to” zreferować, poskarżyć się poniekąd, czy też uprzedzić ojca: — Miałem z nim przykre zajście, nie chciał mnie tu dopuścić i wkońcu nie wiem, no, nie wiem czy drzwiczki samochodu nie zmiażdżyły mu palca? Stało się to przy aucie Lachowskiego, do którego wskoczyłem, aby pogadać z tobą.

Leader Mieniewski poczuł się nagle, jakgdyby na pustyni, złamany samotnością, trwający w obliczu wszystkich wspomnień całego swego życia tkliwych, żalonych! — Gdzie się to stało? — spytał.

— Stało się przy kordonie policji, przed sejmem, ja wsiadałem do auta, ktoś ztyłu drzwi przytrzasnął —

— Ten warchoł głową to wszystko kiedyś wkońcu przyplaci, — rzekł pan Mieniewski. Patrzył na Stanisława z przerażeniem. Rzekł był, — ten warchoł głową to wszystko kiedyś wkońcu przyplaci, — a równocześnie dokonał w myśli straszliwego wyboru, —



nonsens, nonsens, warjactwo! Dokonał w myśli wyboru, którego ojciec czynić nigdy nie może i uświadamiać sobie nie może i przypuszczać nie może! Że gdyby jeden z nich, z tych dwóch synów, dwóch ludzi miał swoje czyny głową kiedyś przypłacać, niech to nie będzie tamten, Tadeusz, lecz raczej ten, Stanisław!...

Leader Mieniewski pogłaskał ramię Stanisława i rzekł, wpatrzony w grube pnie starych klonów, połyskujące deszczem na ogrodzie sejmowym: — Idź do swego prezesa, nie przetrzymuj mu depesz, dziecko.

Stanisław pożegnał się i śpiesznie odbiegł od ojca z czystym sumieniem, że powiedział wszystko o Tadeuszu. Nic dziwnego, że ojciec trzyma z nim, Stanisławem, każdemu chyba ojcu musi być przyjemnie, gdy syn, politechniki nawet nie skończywszy, będzie miał zostać dyrektorem Naszej Nafty! Wyszedłszy z zasięgu ojcowskiego spojrzenia, Stanisław zwolnił kroku. Znalazł się po tamtej stronie filarów, bliżej kredensu, gdzie mieściły się stoliki bufetowe Rządu.

Warto było zobaczyć, jak się czuł powalony Rząd, warto też było coś przegryźć. Stanisław nie jadł dziś jeszcze obiadu, był też bardzo zmęczony, dzisiaj bowiem przyjechał ze swoją panienką slipingiem ze Lwowa, liczył, że dziś wieczorem znów sypialnym wagonem powrócą we dwoje. Trzeba koniecznie sił do pracy, do miłości, radość też potrzebuje sił, kochana Nasza Nafta też potrzebuje sił!

Przy stolikach rządowych pusto, obrusy pochlapane; gdyby rząd był zwycięski, byłby tu inny ruch. A tak? Pochlapane obrusy sprawiały smutne wrażenie pieluch dzieciennych z rozlaniami „mapami”.

Stanisław podszedłszy do bufetu, poprosił o koniaczek, — dwa koniaczki, muszelkę z mózdzkiem, poco się bawić, odrazu dwie muszelki. Wypił, a potem jadł łapczywie. Należało oddać jaknajprędzej depe-  
sze panu prezesowi Bigdzie.

Dobrze, że stary, — myślał Stanisław o ojcu, — nie robił osobliwych awantur, dobrze, że się porozumieli z Bigdą, wiadomo, jak socjalizm wygląda dziś w terenie. Dobrze, że się porozumieli —

Całym budynkiem sejmu wstrząsnęło nagle ciężkie, głuche westchnienie. Znów cisza i znów, jakgdyby oddech wielki, potężny, wydany z piersi olbrzymiej! Cisza, — potem zaś mieszanina okrzyków, głosów, wrzasków, wzburzona, bliska, to znów daleka, to znowu przemieszana. Drzwi poczęły się otwierać jakgdyby same przez się z świstem szczelnych zawiasów: dopiero, przez te drzwi, jęły się sypać kroki coraz liczniejsze, skorsze.

Panika, pożar, wypadek, awantura? W takt kroków przyśpieszonych, coraz liczniejszych począł Stanisław myśleć z bezsilnym gniewem o Tadeuszu. Tyle się dzieje korzystnych rzeczy, dobrych konjunktur, a ten tam musi się zwalić z samochodu, musi przygnieść rękę, czy palce, musi filozofować!

Fala posłów wtargnęła do bufetu, napęlniając ogromnym gwarem dymną i mętną przestrzeń sal. W mlaskotaniu niezliczonych wyrazów słyszał Stanisław raz po raz: — nowa większość, Lachowski zdradził Stachowskiego, — przeszedł nagle do Bigdy, to jest pakt lachowicki, — to właśnie, — nowa większość, — rząd do dymisji, — to niesłychane, — Lachowski, ten Lachowski, — ale panie, — idjota, — Bo-

kaniewicza o mało szlag nie trafił, — jak się do tego wzięli, — Bigda formuje rząd, — Bigda będzie premierem.

Już! Ani jednej chwili do stracenia. Stanisław otarł usta, pobiegł ku wyjściu, odwołała go pani bufetowa, dystyngowana w zaprasowanej bieli, — pan nie zapłacił!

— Bardzo przepraszam. — Mówił to w huku głosów, dźwięku naczyń.

— Dwa koniaki, dwa mózdzki, dwie bułeczki, dwa masła, — liczyła pani bufetowa, — wszystko podwójnie.

— Tak, — niecierpliwił się Stanisław, — proszę prędko dodawać, dziękuję. — Pośpieszył zapchanym jeszcze korytarzem sejmowym do Bigdy. Gdzie go szukać, prezesa? Stanisław pamiętał, jak przystało na pilnego urzędnika: trzeba szukać w gabinecie pana wicemarszałka Ciaracha, tam urzęduje Bigda.

Którędy droga? Tędy. Schody, hall, dwa rozkręcone korytarze, znowu hall, znowu jeden korytarz. Szedł naprzód zderzając się raz po raz z posłami, którzy śpieszyli w odwrotnym kierunku, to jest w stronę bufetu. Korytarze sejmowe, halle zachowywały podczas posiedzeń sejmowych swą własną woń. Blisko bufetu zapach bigosu, kapusty i wędliny, dalej zapach kleju, pomieszany z tytoniem. Jeszcze dalej sam tylko zapach dymu papierosów. Dopiero w wielkiej sali posiedzeń i w korytarzu dookolnym trwał najwłaściwszy, istotny „odór“ ciężkiej sejmowej pracy: zapach mdłości...

Woń osobliwa, nieuchwytna a przecież zaciskały

się od niej skronie. Doznał tego uczucia i Stanisław Mieniewski. Idąc tu korytarzem, — sam później myślał o tem nieraz, zadziwiony, — poskoczył nagle ku oknu, otworzył szeroki wentyl. Buchnęła struga powietrza z odgłosem deszczu.

Przez ów deszcz słychać wrzaski uliczne i tłamszenie się tłumu — i znów Tadek z tą drżącą ręką w drugiej ręce!

Stanisław idąc dalej patrzył raz po raz do wielkiej sali posiedzeń. Pustka, połyskująca blaskiem marmurów, ławek, krzeseł, trybun, ław Rządu zdała się nagle młodemu Mieniewskiemu dziwną, niepojętą, że przystanął na chwilę, bezmyślnie zagapiony. I tak mu się to nagle samo zobaczyło: jaki byłby to efekt wspaniały, niespodziany, gdyby ze środka takiej sali głuchej, samotnej buchnęła w górę krew.

Idjotyzm! Nafta bucha, nie krew.

W hallu, z którym sąsiadowały drzwi do gabinetu wicemarszałka Ciaracha, było już pełno. Drzwi do gabinetu otwierały się raz po raz, cicho, a zarazem stanowczo, jakgdyby poruszane siłami przeznaczenia, a nie znikomą lichą ręką człowieka.

Na ławkach pod ścianami tego hallu siedzieli wszędzie stronnicy, dziennikarze, interesanci, jacyś tajemni delegaci, typy niewydarzone, nieznanne, podejrzane. Wszyscy szeptali śpiesznie, powtarzając raz po raz nazwisko pana prezesa, że się z tego nazwiska tworzył jeden łączny pospólny ton, — Bigda, Bigda i Bigda.

Do gabinetu przepuszczał lepszych, wybitniejszych klientów osobiście pan poseł Gruszka. On, albo

Ciarach. Stanisława wpuścili obaj, obaj się razem w onej chwili przy drzwiach znaleźli, zazdrośnie pilnujący wejścia przed intruzami.

Stanisław im powiada, — muszę się zaraz widzieć z panem prezesem Bigdą.

Nie ten, co dawniej Gruszka i odmienny już Ciarach. To nowy Gruszka! Nie dawny ojciec ruchu ludowego, lecz dworzanin, senator w czamarze na guziczki sukienne zapinanej, bardzo srogi, strapiiony ogromem wielkich spraw.

Ci, którzy się do gabinetu dostali, myślą, że Pana Boga za nogi ucapili, ale tak sądzą tylko przez pierwsze chwile. Okazuje się bowiem, że stąd do pana prezesa Bigdy równie daleka droga, jak stamtąd, to jest z hallu. Nietylko Gruszka, działa tu także Ciarach. Zmieniony, odrodzony, cierpi, jak zawsze przedtem, ale cierpi radośnie! Z tem radosnem cierpieniem zapytuje każdego: — w jakiej sprawie i nic nie odpowiada, tylko boleśnie wzdycha. Jest to już wielka łaska, jeśli raczy powiedzieć: — siadajcie, zaczekajcie.

Gdzież tu usiąść? Nigdzie. Wszystko zajęte, jak u znanego dentysty. Jedni siedzą, inni znów chodzą delikatnie, na palcach, inni się podpierają przy oknie. Trwa długa, sypka cisza, w którą znów się wlewają ciarachowe zachwyty. Wicemarszałek mówi „tak sobie“, do nikogo, w powietrze. Mówi, bo już zachwyków swoich nie jest zdolen powstrzymać. Te zachwyty — nad Bigdą! Wstrzymuje je, tryskają same. Jak gotująca woda z pod najgrubszej pokrywy. Spadają, syczą, nikt na to nie poradzi. Po obaleniu wniosku Stachowskiego i to przez samych ziemian ma iść pod gło-

sowanie nowela do ustawy o Reformie Rolnej, wyłoniła przez Bigdę. Jednym słowem, — lex Bigda.

— Lex Bigda, — mówi cichutko Ciarach, — lex Bigda, w tem jest wszystko.

Gruszka inaczej: jak wierność to już wierność. Gruszka nie mani tych, którzy tu czekają, nie obiecuje, nie zagaduje. Czekanie to cierpienie, wiadoma rzecz, nikt na to nie poradzi, warto jednakże cierpieć pod drzwiami Mateusza. Pod drzwiami posta Bigdy może i zdechnąć warto?!

Krzyk z ulicy, a znów przez ścianę ciągły garus sejmowy. Nie można słyszeć, co się za drzwiami dzieje, tam gdzie teraz trwa Bigda. Słuchają obaj przeźornie i podstępnie, Gruszka z Ciarachem. Rzecz jest ogromnie ważna: który się tutaj pierwszy nawinie prezesowi pod rękę (gdyby drzwi otworzył), ten może już zostanie, jako wtajemniczony, do najważniejszych posług?!

Gruszka słyszy wybornie i tak kluczy, że pierwszy lepszy szelest za zamkniętymi drzwiami i już jest pierwszy Gruszka. Ciarach wszystkich, którzy czekają, ma zapisanych na karteczce. Gruszka ma wszystkich w głowie, — Bigda nie lubi pisaniny, szpargałów i papieru.

Niestety nic nie słyhać, co się za drzwiami dzieje, teraz się Ciarach umieścił przy klamce, ale też nic nie wskóra. Nareszcie otwierają się drzwi, te czułe drzwi od Bigdy. Z przedpokoju i z głębi wszyscy już naskoczyli do przodu, a znów inni, co się frontu trzymali, tamtych odpychają, ku ścianie. Robi się sztuczny tłok i wielki nieporządek, połączony z hałasem. Ciarach i Gruszka na widok klamki naciśniętej,

zamiast się brać za zatraconych klientów, poskoczyli odrazu naprzód, jak dwa zgłodniałe psy.

Taką to właśnie chwilę ujrzał przed sobą Bigda, gdy uchylił drzwi między gabinetem a dalszym pokojem ubikacji wicemarszałka Ciaracha.

Czy Mateusz spodziewał się tego widoku właśnie? Inny leader, inaczej tresowany, możeby wołał, żeby się tu płaszczyli przed nim, albo wywiady odstawiali z dziennikarzami i zaraz telegramy na świat i zaraz lu!.. Bigda nie taki i nie na takie rzeczy. Widok półochu i ludzi, co się żrą, co się spychają, gryzą, zdał się Mateuszowi najpotrzebniejszym. Na taki widok czekał Mateusz po uchylonej nagłości wniosku Stachowskiego. Teraz, gdy był przy władzy prawie!

Co jeszcze może stanąć na drodze, co się może przydarzyć, — chyba nic. Dla tego „nic“ zostawiał małą drobinę czasu, a potem wszystko będzie już ciągle s w o j e. Kiedy — ileż to temu, dziesięć, dwadzieścia minut, — przyleciał tutaj z wielkiej sali posiedzeń Władek Deptuła, aby oznajmić upadek Stachowskiego, przekonał się Mateusz, że onego „swojego“ jest ponad wszelką miarę i że to niebezpieczne. Wtedy to poczuł w sobie, od pierwszego podrzutu błogiej wiadomości o Stachowskim, wcale nie młynkowanie władzy, lecz domy, sprzęty, fabryki, instytucje, tego wszystkiego s-w-o-j-e-g-o wbród aż do nieznanych granic.

Wychlusnęło to z Bigdy taką radością, że wszystkie siły użył, aby się opanować. Rzekł układnie do Władka: — No, co Lachowski, z nami?

Deptuła skinął głową. Po wypuczonym, mokrem od potu czole Władysława Deptuły przeleciał odbłask

światła zgóry od włosów aż do nasady nosa. Ten śmigły odblask przstraszył Mateusza. Dlaczego?! Bez powodu. Bigda się wyprostował i rzekł z wielkiem skrzywieniem: — Teraz już mamy władzę.

Deptuła ciężką postacią rzucił się naprzód. Chciał mówić, usta otworzył, pokazując w ich głębi liche, nierówne zęby. Bigda uprzedził Władysława ruchem ręki. Nie chciał teraz gadania. Nie dlatego, że tu stoi Deptuła przyjaciel i pomocnik, zaufany towarzysz. I nie dlatego, że w postaci Deptuły stoi tu człowiek dany. Lecz, że on, Bigda, jakby człowieka tego już nie widział i do swej świadomości, do żadnej z wszystkich swoich rozlicznych świadomości nie przypuszczał obecnie...

Taka rzecz jest niezdrowa, — pomyślał Bigda, — bo to za wielka radość. Rzekł tedy bez wahania: — Wiem, chcesz się napić wódki. Ba, napiłbym się z tobą, ale nie mamy czasu, bo muszą cię tam widzieć w bufecie. Niech cię widzą, dlatego musisz iść. — Rzekłszy wyciągnął Bigda z kieszeni, (nie z portmonetki, ale żywcem z kieszeni, czyli, że trzymał toto dawniej przygotowane), pięć złotych w jednej sztuce.

Srebrna pięciozłotówka. Wyciągnął, wziął w dwa palce, przypatrzył się monecie, nie może bowiem z ręki prezesa Bigdy iść między ludzi moneta, choćby jednym spojrzeniem nie pożegnana czujnie. Dał ją w rękę Deptule i rzekł, twarzą nie poruszywszy: — Masz na wódkę ode mnie, a jak wypijesz, wróc.

Była to chwila!... Musieli spojrzeć chyba na siebie. Nie stało się. Deptuła zawrzał w sobie, nadał się straszmem gorącym, Bigda nie dał mu mówić, powta-



rzając raz po raz: — Muszą cię ludzie widzieć. — Powtarzał, póki się za Deptułą drzwi nie zamknęły.

Gdy się zamknęły, Bigda pozostał jeszcze na tem samym miejscu. Czuł tu niebezpieczeństwo, nie wiedział jakie, a bał się krokiem ruszyć. Niebezpieczeństwo jakie? Że dał pięć złotych? Rzecz była niesłychana, ażeby Bigda dał komuś bez powodu tyle pieniędzy. Bez powodu, z powodem?... Należało się, warto i Deptuła zasłużył. Na nagrodę, oraz aby nagrodę taką dostał: uderzenie w głowę, — za lachowickie wybryki należało się święcie.

Nie to jednak stropiło Bigdę. Stał wciąż nieporuszony na temże samym miejscu. Rozumiał, co się dzieje: że zdobył władzę, obala rząd, całym narodem, społeczeństwem nawraca w inną stronę, swoją własną. Za dużo tego było na jedną chwilę! Za dużo do myślenia, za dużo dla radości, za dużo, aby zaraz włożyć się w to zwyczajnie. Dlatego dał pięć złotych.

Wielkie zastąpić mniejszem, aby mały uczynek wysłużył inne, większe. Mały dobry uczynek, w którym jest odmierzona nagroda i pogarda. To dobre jest. Zarazem sprawiedliwe. Jeszcze parę dni temu z tymże samym Deptułą nie chcieli to posłowie wystawić Mateusza do wiatru?

Teraz mucha nie siądzie! Niech czekają przed drzwiami. Ogromna radość opadła Mateusza. Nie z tego, że przyjaciół swoich urządzał tak rozumnie i nie z tego, że się tak zgrabnie porachował z Deptułą, ale, że daje rady, że tłoczy swoich bliskich i jedną ręką za dziesięć sznurków szarpie. To dobre jest.

Zszedł z tego miejsca posadzki, na którym rozmawiał z Deptułą. Teraz już zszedł z tego kwadratu posadzki,

na którym mu wypadło wytrzymać pierwsze próby władzy. Stał tu uprzednio, dłużej, niżeli potrzebował i niż sama okazja nastęrczała i nawet niż był sens... Niech tak będzie i z władzą, — pomyślał poseł Bigda i usiadł na kanapie.

Znowu nie czuł się dobrze. Albowiem na kanapie usiadł — jakgdyby przez jakiegoś innego Mateusza do tego gestu skwapliwie zaproszony. Któż był znowu ten trzeci? Przypomniał się Mateuszowi dziwny fałszywy okrzyk, wydany o tym trzecim na ucztie lachowickiej. Niby, że to są dzieje. Dzieje...

Niech im wyjdzie na zdrowie! Chrząknął, smarknął, rozsiadł się jeszcze lepiej, nogi przed się wyciągnął i czekał znów cierpliwie, aż ta pomroka rozejdzie mu się w myślach. Patrzył na swoje buty z cholewami, na szare, wyświechtane portki. Omroka nie schodziła. Mógł był myśleć o sobie: on sam, Mateusz Bigda, — on sam. Ba! Najgroźniejsza sprawa, ze wszystkich niebezpiecznych!...

Siedział jeszcze i czekał. Musiał czekać, pilnować, czuwać: ani jednego słowa nie chciał teraz o sobie. Siedział, czekał i łykał. Stachowskiego przelykał jeszcze? Nie. Łykał powietrze wraz z lenistwem namysłu. Gdy tylko jednak spostrzegł, że tak przelyka, ucieszył się. Po tym znaku miarkował, że już o innych myśli, nie o sobie. O sobie teraz nic. O innych, jak tam skaczą pod drzwiami, jak się przymilać będą. Takie marne kurduple. Człowiek nie znaczy nic!

Ta myśl radosna rozprężyła się nagle w całym rozumie Bigdy. Mateusz powstał, szczęki mu się ścisnęły, brwi pod górę podeszły, brózdząc zmarszczkami czoło.

Gotów! Podszedł do drzwi rozważnie i otworzył je powoli, miarowo, jakgdyby raz na zawsze. W drzwiach zaś miał to, co chciał: człowiek nie znaczy nic — dwie wyszczerzone gęby Ciaracha oraz Gruszki. Spojrzał im w oczy obojętnie i zaraz patrzył dalej na pokój pełen wszelakich niedonosków. Stał tak Bigda i trwał i patrzył się cierpliwie. To pierwszy krok bigdowej władzy. Mateusz był przesądny w takich nowych wypadkach.

Dlatego to Deptułę odprawił do bufetu, aby ten pierwszy krok wziąć zupełnie na siebie. Pośród ciżby zaufanych posłów, oraz bańdziochów przemysłowych i dziennikarzy zobaczył Stanisława Mieniewskiego pod oknem. Wydał się Mateuszowi młody Mieniewski całkiem osobno, tamci wszyscy na kupie, a ten jeden osobno. Bo to znów z Zośką miało swój związek, z ukochaną córeczką...

Cóż jednak znaczyć mogą rodzinne uczucia, gdy się przyszły pan premier ukazuje ludziom, którzy czekają premierowskiej łaski? Bigda stał równy, prosty z jedną ręką na klamce, druga ręka, — wisząca ciężko. Patrzył się na obecnych całością swego surowego oblicza, raczej jakgdyby połyskliwą tarczą. Oczy mu się wtopiły całkowicie w poblask twarzy i szła z tego ni-by ślepotą! Dziwna, połyskliwa ogromnie, zarazem jednolita.

Cóżby miał do nich gadać? Nic. Nic nie miał do gadania, miał do rozkazywania, na to jednak zawczasie, głosowanie nad nowelą nie przeszło jeszcze. Dopiero uprzątnięto zapory Stachowskiego. Bigda połyskał ponurą twarzą a równocześnie myślał, czy mieszać się do tego, co kipi na ulicy?...

Mieszać się, czy nie mieszać? Jakże tam z przebaczeniem, gdy może dojść do krwi?... Cóż jednak znaczy Bigda, gdy już krzyż był w robocie?! Nic na rachunek Bigdy, poszłoby wszystko na konto krzyża teraz... Taka to chwila trudna, Mateusz sam ją tworzy: nie gadać, nie rozkazywać nikomu, słuchać już niema kogo, cieszyć się nie przystoi...

Stał dalej w drzwiach i czekał. Sam tworzył ową chwilę kłopotliwą, miara czasu sama mu nakazała: odewrzesz drzwi i ukazesz się ludziom. Uczynił tak. Pokazał srogie oblicze, niby tarczę obracał naprzeciw owych ludzi. Jeśli władza ma się naładzić dobrze, wyjdzie naprzeciw Bigdy sama i sama dopomoże.

Wszyscy obecni cofnęli się ku ścianom, nadzwyczaj przepłoszeni.

Tyle im mógł ustąpić Bigda, że niby nasłuchiwał odgłosów rozgardjaszu z ulicy. A czegoż nasłuchiwać z ulicy, jakie to ma znaczenie, gdy władza już jest tu! I to prawdziwa, która nie znaczy dla siebie samej nic, lecz znaczy dla drugiego: że ten drugi zgięty zostanie, a tamten pierwszy siedzie drugiemu na kark i na tym karku drugiego ostro naprzód pojedzie, ku swoim własnym celom. Tego tu czekał Bigda przez ospałe sekundy, tak straszliwie dręczące. Różne są cierpliwości w życiu, ale cierpliwość Bigdy musi być nienajkrótsza, skoro jej tak doświadcza Mateusz. Odpycha wzrokiem wszystkich zebranych, nie widzą mu się godni, aby im na kark wsiadał.

Ten, który ma być godny, otwiera właśnie drzwi, zjawia się sam skwapliwie. Bigda woła swym wyostrzonym głosem:

— Jest pan hrabia Lachowski, No, bo czekam na pana, panie pośle Lachowski, doczekać się nie mogę, ale czekam cierpliwie. Mamy do pogadania.

Bigda otworzył drzwi naościę i wyciągnawszy przed siebie ramiona, jakgdyby niemi ogarnął całego Lachowskiego. Nie patrząc więcej, co porabia ordynat, — czy siedzi, stoi, płacze, czy też się cieszy, — odpowiedział Bigda na niewyrzeczone przecież wcale przez hrabiego pozdrowienie:

— Na wieki wieków amen. — Gdy się znaleźli we dwóch w gabinecie, Bigda jął zaraz chodzić. Pierwszy to raz od czasu całej kariery politycznej chodził tak poseł Bigda. Kroki te same, z bagna, grzbiet tak samo schylony, ale w zasadzie chodu była już obojętność. Mechanika szła po dawnemu, lecz pan prezes odrabiał ją już tylko. Wypoczywało mu się przy tem! Za wszystkie ciemne izby, wszystkie klepiska, wszystkie sale ludowe, za wszystkie kilometry, mile, dziesiątki mil wychodzonych dotychczas.

Hrabia Lachowski mówił podczas wędrówki Bigdy, spłoszonym ptasim głosem: O honorze, o Bogu. O wierze przodków. O zasadach i obowiązkach Polaka-katolika. Płatanina!

Masz na to czas? — przypomniał sobie Bigda. Pan hrabia, człowiek bogaty, możny, zawsze mu starczy czasu na najrzadsze mecyje! Mateusz człek ubogi. Nie miał na takie sprawy czasu, tyle, że rzucił okiem zbożku na ordynata. Ordynacisko biedne, z siwizną przyklepioną do wyleniałych skroni a zgrzane, a spocone, wymięte, nieszczęśliwe.

Bigda przystanął, gdy ordynat rozpoczął o młodości. To już było ciekawsze. Hrabia płakał nie

duchowemi, lecz płynącemi łzami nad młodzieżą zbałamucaną, ale zacną, uczciwą. Że ta młodzież na ulicy nadstawia karku, bije ją tam policja pałkami, młodzież nie wie, dlaczego?

Podłoga zatrzeszczała pod Bigdą, gdy rzekł:—Jak to młodzież nie wie dlaczego? Pono o krzyż?! Pan-eś ich w błąd wprowadził, czy też Stachowski? Jeśliście powiedzieli, że w imię krzyża mają za pałki brać...

Hrabia znowu gęgoli, że to nie to, lecz brak uświadomienia, brak zrozumienia. I znowu płacz, że ich tam biją, a przecież słowo zostało dotrzymane, większość już jest, Lachowski głosował ze swoimi posłami właśnie przeciw nagłości, bo sam, jak wszyscy inni, marzy o innym i lepszym społeczeństwie...

August hrabia Lachowski przestał mówić, wystraszony, że nie doczeka przyszłego społeczeństwa. Do tego czasu zostanie z ordynata, jeśli tak dalej pójdzie, nie złoty klucz, lecz korek, prześwidrowany nawskroś przez Mateusza Bigdę... Uczucie korka, związłego w wewnętrznej osnowie, przedzieranego zimnym, ostrym metalem powracało znowu hrabiemu w obliczu Bigdy. Powracało, mimo komunji przyjętej w Lachowicach i mimo rozmów, pocałunków z Bigdą w altanie lachowickiego parku i pomimo zaszczytnej wizyty u duchownego dostojnika. Korek, przedarty w spojeniach najcenniejszych! Hrabia Lachowski nie mógł dłużej wytrzymać męki i bez żadnego przejścia oświadczył prezesowi Bigdzie:

— Pragnę brać udział w pańskim gabinecie, prezesie.

Bigda przystanął, niby zdumiony. Cóż się stało,

że Lachowski nie myśli o prezydenturze?! Bigda stoi i czeka. Zdaje mu się, że słyszy własne kroki, żywe, najlepsze! Odgłos swych bosych pięt, dążących w nocy, lasem na lachowicki zjazd. Te kroki, czy też inne?... Nie, to nie tamten odgłos!... Bigda słucha spokojnie i patrzy, jak zazwyczaj, szklaną gładką źrenicą, ażeby sprawę słuchu dopatrzeć jeszcze okiem. Poprzez garus uliczny nie słyszy swoich kroków, lecz cienkie, płaskie pantofelki duchowne...

To aż tak oprawili księżule Lachowskiego?! Bigda westchnął do głębi obszernych płuc, wsadził ręce w kieszenie od spodni, zażrał dłonie na brzuchu i grzejąc tak, — rozpływa się nad Gruszką. Nad ukochanym, nad zasłużonym Gruszką. Nad wysłużonym ojcem ruchu ludowego i badaczem, uczonym, — po chłopsku, lecz uczonym. Nad tym człowiekiem świętym, nietylko badającym nasze stroje ludowe, lecz zbierającym pośród starych kurhanów (Bigda chował w pamięci takie przedziwne słowa) rozmaite pamiątki, a do tego pszczelarzem, a do tego i sadownikiem, a do tego zaprawionym w komisjach i w wielu opozycjach, zarazem też pisarzem, ludowym, lecz pisarzem, który pańszczyznę jeszcze opisywał.

Tak to idzie u Bigdy: cicho, nabożnie, słodko, a potem nagle bat! Teraz ten bat...

— Gruszka napisał książki, — powiada cicho Bigda, — nie jedną i nie dwie. Co pan hrabia napisał?!

Pan ordynat Lachowski otworzył usta szeroko z przerażenia.

Bigda zaś stoi przed nim i powtarza pytanie: — Bardzo jestem ciekawy, co pan hrabia napisał? Wy mi każecie pośle, poświęcać dla was Gruszkę. Bo na ja-

kież ja miejsce wstawię was w gabinecie? Tylko na miejsce Gruszki. Wszystkie inne zajęte. Dla kogo mam poświęcać tak zacnego człowieka? Jakie pan masz przygotowanie, panie hrabio? Co pan umie? Polować? To dla mnie nie wystarczy. Jakie masz dla mych potrzeb wykształcenie?

Bigda podepchnął ordynata z fotela, postawił przeciw sobie zaradnym ruchem i wpatrzył się wzgardliwie w rozcieńczone źrenice ordynata. Wielka to była rozkosz to patrzenie, wielka, potężna, aż się natychmiast zwarły od tej uciechy szerokie szczęki Bigdy. Oto ma wreszcie przed sobą wieczystą twarz Lachowskich, rzeźbioną w farze i po domach Lachowa i we wszystkich podsieniach, tu obecną i żywą. Czemże zostaje dzisiaj w obliczu Bigdy ta znamienita twarz? Spłoszoną gębą ludzką!

— Jeśli o nowem społeczeństwie marzycie, zacny mój ordynacie, musicie się przewidzieć przedewszystkiem, co ja jestem za jeden? To jest porządek rzeczy i tak to musi być. Musicie się nauczyć dobrze wszystkiego o mnie. Kto to był, kto to jest taki Mateusz Bigda?! — Mateusz chwiał oburącz postacią ordynata, jak się chwieruta w sadzie obumarłą drzewiną.

— Przewidzieć się, nauczyć jakie to jest oblicze i twarz takiego Mateusza? Potem, może cokolwiek później jakoś się dogadamy. Trzeba to wszystko wiedzieć. Prócz tego wykształcenie potrzebne. Naprzykład fakultety. Deptuła ma aż dwa. Czy ma pan fakultety?

Bigda mówił, nie patrząc na hrabiego Augusta. Skończywszy, otoczył lekko ramieniem ramiona ordynata i tak się z nim ukazał w drzwiach, przed ciżbą



poczekalni. Wielki, ciemny, brązowy z szaro-niebieskim cieniem, prowadzonym przez ramię.

Posłowie przyskoczyli, niby to z gratulacją, Mateusz popchnął naprzód Lachowskiego ku ciżbie swoich posłów. Nic nie wiedzieli co mają robić, jak poczynąć z tym ordynatem, gdy oto Bigda woła:

— Czy jest tu pan Mieniewski? — Zawrócił z Stanisławem do pokoju. — Zamknij pan drzwi za nami, — dodał bardzo zgodliwie.

— Panie Mieniewski, — mówił równemi słowami, — doszliśmy z pańskim ojcem do doskonałej zgody. Pański ojciec, to człowiek, jakiego mi potrzeba, z czego się bardzo cieszę. Lecz nie mam sekretarza.

— Mam depesze, — Stanisław sięgnął do kieszeni.

— Nic mnie to nie obchodzi. Muszę mieć sekretarza. Mój sekretarz ma mnie uważnie słuchać. Na tem się przy mnie zawsze dobrze wychodzi. Teraz pan to już wie, dość jasno powiedziałem. Ci tam, co mnie czekają za drzwiami, — nie wpuszczają tu nikogo. Ciarach, czy nawet Gruszka, — żadnych różnic. Nie dać się bujać chłopom, bo łą. Wołaj mi pan Deptułę, który siedzi w bufecie.

Poseł Bigda szarpnął drzwi, łysnął groźnem spojrzeniem po zebranych tu posłach i rzekł wskazując na pobladłego Stanisława: — Sekretarz osobisty pana prezesa Bigdy. On mi wszystko melduje. Nazywa się Mieniewski. Poznajcie się panowie, nie mam już na to czasu.

Mateusz Bigda nie patrzył więcej na nich. Ani na posłów, ani na zięcia przyszłego, jak sobie pośród wilków takich i obwiesiów potrafi tu dać rady. Pan pre-

zes Bigda zamknął pocichu drzwi i wpatrzył się przed siebie w okno, za którym miotaly się rozruchy. Okno oknem, rozruchy rozruchami i wszystko zawsze wszystkim, a Bigda zawsze sobą. Zapatrzył się, zagapił, o niczem nie wiedzący, samotny i spokojny, jakby to było w bezbrzeżnym jakimś lesie.

## Rozdział VII.

### Lex Bigda.

Stanisław nie znał tych panów: miał kolejno pytać o nazwiska, czy co? Nie cierpiał przecież, nie znosił polityków! Pan prezes rozkazuje, — sprowadzić mi Deptułę z bufetu. Któryto jest Deptuła? Stanisław pamiętał twarz tego posła, — nalana gęba starej baby, drukowana w dziennikach podczas każdego sejmowego przesilenia. Sprowadzać takich byków z bufetu, tu się przedstawiać innym typkom, — a tam wagony ropy djabli biorą!

Gruszka, z którym się zaznajomili na końcu, warknął: — Lećże pan po Deptułę, panie sekretarzu, nie czas dziś na parady.

Stanisław stropił się, lecz nie ustąpił. Krew uderzyła mu do głowy, zwłaszcza gdy znowu wytrysnął ostry dzwonek elektryczny, wzywający posłów na dalszy ciąg plenarnego posiedzenia. Posłowie poderwali się z ław, Gruszka uciszał ich przezornie, aby nie przeszkodzili Bigdzie, który tam przemysłowa zaściana.

Stanisław taką już miał naturę: gdy inni głowę tracą, — wszystko zawsze do końca wypełni konsekwentnie. Tak samo teraz, popatrzył na Gruszkę, powiedział, — działam w myśl instrukcji, — dokończył znajomienia się z Kosem. Dopiero wtedy, nie spiesząc kroku wyszedł.

Trzeba się było zorientować na korytarzu, jak się powraca stąd do bufetu: w prawo, w lewo? Dzwonek świdrował powietrze nieustannie. Iść stąd na lewo. Długi korytarz z zapalonemi u sufitu lampkami przypomniał Mieniewskiemu wóz ślipingowy. Dziś o godzinie 23'30 mieli wracać z małą Boradzicką, już mieli wykupione bilety i miejsca w wozie sypialnym. Śliping przypomniał Stanisławowi, co mu tam kiedyś w knajpie opowiadał Tadeusz o herbacie, gdy powracał z Osady Górniczej po procesie i po więzieniu do matki. Rzeczy tak nieistotne — a firma czeka w Borysławiu na wiadomości, już przed godziną powinno było odejść zamówienie.

Nie ze Stanisławem Mieniewskim takie sztuki! Gdy już ku czemuś dąży, to idzie, nie zważając na boki. Kto dąży do dyrektury Naszej Nafty... Może się walić po bokach, może się dziać, co chce, byłoby szczytem nonsensu i liryzmu zwracać na to uwagę. Stanisław idzie środkiem czerwono-czarnego chodnika, jak przystało na sekretarza dużej firmy handlowej, ma nawet uśmiech na twarzy. Może stu innych nieodpowiedzialnych sekretarzy upadać po drodze, żaden człowiek poważny nie pozwoli sobie w karierze biznesowej na tak szalone zbytki.

Stanisław idzie uprzejmie naprzód, przeszyty głosem dzwonek elektrycznych. Nie cierpi polity-

ki, nie da się Bigdzie opłacać, i możeby się nawet zgadali z Tadkiem, gdyby nie sztuczny mostek i mała kropla śliny bluzgająca z nad sztucznych zębów?! Co ma matka do tego? Nie dadzą żyć, zmówią się, stłoczą ze swojemi sprawami, gdy masz iść w górę, zaraz cię łapią ze wszystkich stron, rodzina, potem zaraz ideologja, a wszystko razem nonsens!

Śpieszyć się, biedz, czy iść? Stanisław postanowił nie biedz, miarowo iść, nie tracić równowagi. W głównym hallu, po drodze do bufetu, gdy mijał wielki posąg marszałka Stachowskiego, zdało się Mieniewskiemu, że zrobiłby najlepiej, gdyby stąd zaraz uciekł. Jeszcze czas, jeszcze czas, — tak mu mówiło coś rodzinnego, dawnego, braterskiego, z pewnością głupi przesąd.

Przez drzwi szerokie szklane dalszych ubikacyj wracali już posłowie, po dwóch, po trzech grupami. Nie słyszał co gadają. Mijali go raz po raz, niby wyrwane z wielkiej całości „materjałowe” strzępy. Powracali na posiedzenie z bufetu, żując jeszcze przeróżne żarcie.

Pośród tych strzępów szarych, ciemniejszych, czarnych, jakgdyby pośród cieniów, bełkocących pośpiesznie, Stanisław zaczął liczyć. Zapomniał się, zapomniał o Deptule i szybko teraz liczył wszystkie raty, ewentualnie — spłaciłby je odrazu. Weźmie do siebie matkę, tamci idealisci (myślał o ojcu i Tadeuszu) nie troszczą się o matkę. Kupi mieszkanie w Warszawie a równocześnie przystąpi do kooperatywy budowlanej. Cóż łatwiejszego, jak wprowadzić tam Bigdę i siebie! Tadeusza wyśle się za granicę, — nie mogło mu się nic stać w samochodzie, bo zem-

dlałby odrazu, wiadoma rzecz... Za granicę pojedziesz durniu do niemieckich zakładów przemysłowych, zrobią tam z ciebie człowieka — dajcie mi święty spokój z rodziną.

W tej właśnie chwili, — jakież to melodramat: gruchnęły strzały za oknem.

— Strzelają, tam strzelają! — rozległy się wołania dookoła.

Stanisław zdziwił się bezsensownie: deszcz chyba pada, jakże więc mogą strzelać?! Szklane rozległe drzwi jęły w tej chwili wysypywać posłów do hallu z niebywałą szybkością. Ciżba poselska płynęła naprzeciw Stanisława ciężką wezbraną masą.

Gromadą całą walić będą naprzeciw i nawet strzelać zaczną, gdy ty biedny człowieku, mógłbyś nareszcie zostać dyrektorem. — Roztrącając grupy posłów, szedł Stanisław Mieniewski uparcie naprzód. — Idjoci, melodramat, — myślał, — hołota, bzdura bezczelna, polityka, takie efekty, bzdura! — mówił głośno pchając się do bufetu.

W bufecie nie mógł zrazu odnaleźć Deptuły. Ani Deptuły, ani ojca, czy nawet klubów poszczególnych na dawnych miejscach. Zamęt, szurganie stolikami, poprzewracane krzesła. Jakim cudem zdołał Stanisław w tym olbrzymim hałasie dosłuchać się przerw, czy przestanków pośród których zdołał rozróżnić pluskanie deszczu z rynien?

Fala posłów pchała się szybko naprzód, spychali Stanisława między stoliki, z których chapali jeszcze pośpiesznie co się tylko dało. Gdy jeden z posłów wepchany między stoły wsadził sobie ręką do ust całą kiełbasę, stracił Stanisław wszystkie

dotychczasowe wątpliwości: byłby już przysiągł teraz, że strzelaninę za oknem rozpoczął Tadek z swymi towarzyszami, że mu się nic nie stało w rękę, to Tadek, tylko Tadek!!!

Znowu! I to tak zawsze... Stanisław poczuł nagle, mimo niechęci, nawet pogardy, że całym sercem będzie po stronie Bigdy, który wie czego chce i nie przeszkadza ludziom i zna się na wagonach z ropą, nie deklamuje. —

Stanisław zatrzymał się w odległości kilku stoliczków od ściany bufetu: co tu robią Deptuła ze Strzęgorzem? Posła Deptułę poznał młody Mieniewski po olbrzymich brodawkach koło nosa, po tłustej głowie przyszczyżonej. Plecy posła piętrzyły się ku sali bufetu, jakgdyby odpychane od ściany przez pana posła Strzęgorza.

Biją się, czy całują? — pomyślał Stanisław. Znowu gruchnęły strzały za oknami. Stanisław drgnął mimowoli i mimowoli przysiągł sobie, że od swego nie odstąpi: precz z głupią polityką i strzałami, zostanie dyrektorem Naszej Nafty, nie plunie w inną stronę!

— Panie pośle Deptuła, — krzyknął, — pan prezes Bigda wzywa pana do siebie natychmiast. — Jednolity dźwięk dzwonka nie ustawał. Poprzez tumult i szczękanie naczyń i metaliczny trzepot spadających łyżeczek, usłyszał teraz Stanisław najwyraźniej ryk od drzwi bufetowych: — To ludzie Stachowskiego! To ludzie Stachowskiego strzelają!! O krzyż!! O krzyż!! O krzyż!!!

Stanisław wzruszył się, ucieszył niewymownie: nie Tadek, ludzie Stachowskiego! Tadek nie strzela teraz, ma z pewnością złamaną rękę, ale nie strzela.

Tadek, Tadek, — roztkliwił się Stanisław, ale już nie domyślił do końca, odwróciła się bowiem ku niemu olbrzymia twarz Deptuły:

— Powiedz mu pan, że idę zaraz! Zwijaj się pan na jednej nodze — Deptuła widział, jak Stanisław Mieniewski kłania się i odchodzi, jak ciżba posłów wciska się w szklane drzwi, nie mógł atoli odwrócić głowy od kochanego Kazika. Tak prosto tu z Kaziczkiem, drogim plenipotentem, stać sobie oko w oko, rozmawiać, połyskiwać. Zbyt okrutna przyjemność, by ją szybko i zbyt łapczywie konsumować.

Cóż zrobi teraz Strzęgorz i jakże stąd ucieknie i jakże się wywinie pięknym połyskiem, zamknięty ramionami Deptuły, wspartemi tu o ścianę. W ramionach tych, mógł piękny Kazio poruszać głową w lewo, w prawo, jak w jarzmie, lecz wydobyć jej nie mógł. A nie mógł jej wydobyć, gdyż niechby popróbował. kto wie, kto wie, kto wie? A nużby w mordę dostał ciepłą pięścią Deptuły? Ogromną pięścią dostać z tak bliska w mordę nie jest bardzo wskazane!

— Idę do Bigdy zaraz. — rzekł po chwili Deptuła, zwracając czoło ku panu Strzęgorzowi. Trwał tu nad nim, nad najdroższym świetnym plenipotentem, nad nim, przy nim i przed nim, nie wiedział już, jak długo. Był to czas, który każdą drobiną łaskotał bardzo szczególnie całe ciało Deptuły. — Idę, czy też nie idę? Idziemy, zostajemy? — haukał Deptuła prosto w rzymskie oblicze pana plenipotentą. — Jak chcesz, najdroższy mój, Kaziczku, mój najdroższy, powiedz ty sam, jak chcesz?

Strzęgorz uśmiecha się i lśni dorodnym blaskiem: niby, że nie rozumie, ale wierzy na słowo, wobec cze-



go tak lśni, serdecznie i poufnie. Ów blask zdaje się palić skórę pośła Deptuły. Deptuła trwa tu wiernie na obolałych piętach i jeszcze raz ogromnem cielskiem posuwa się ku ścianie, powiadając rozlewnie:

— Tam strzelają, działają, Kaziczku mój najdroższy, większości nowe tworzą, a my nic? A my nic?! My, pierwszorzędnie drugorzędni, powiedzże mój Kaziczku, cóż my teraz poczniemy?!

Stało się to nie zaraz, że aż do takich słów i chwytów doszli. Zaczęli przy bufecie. Pomaluśku, takie święto nie zaczyna się prędko. Wyszędłszy z pięcioletówką od Bigdy, Deptuła potoczył się ku bufetowi spotniały, zachrypnięty i struty. Hepało w nim z samych głębi wnętrzości, ale nie dawał poznać po sobie. Obraza żarem przelewa się po kiszkach, ale to nic. Bigda pragnie, by go widzieli tutaj, więc go zobaczą zaraz, wiceleadera Deptułę. W takim stanie hepania, oraz gniewu dopadł Strzęgorza przy bufecie, w chwili, gdy plenipotent generalny nalewał Rosławskiemu i całej jego bandzie kieliszki koniaku, nie rosławskiego koniaku, a chwalić Boga, francuskiego. Jak się to stało, że Rosławskiego zostawili, że się od jego ludzi oddzielili i we dwóch sam na sam znaleźli, tego nie zmiarkowali. Dlaczego im wstrętne sam na sam nikt nie przerwał?! Tak to już jest w tym sejmie! Chciej mówić szczerze, pocziwie, przerwą ci dziesięć razy w ciągu czterech minut. Ale mordę komuś rozwalaj, wypruwaj serce, zostawiaj cię samego na pół dnia.

Rozmowa? Nie, to nie była rozmowa. Wyrazy niosły się same, myśli się spotykały same, wszystko, niby przez sen, tak szybko, podczas strzałów z ulicy

a z rozumem, i czujną dokładnością a boleśnie, zaraz w słabiznę, w mięso, zaraz do krwi, że niewiadomo, czy dotkliwiej cierpieli, czy też się bardziej wzajem podziwiali we wspólnej nienawiści.

Deptuła pierwszy zagadnął, uderzając nadzwyczaj celnie, o portrecie:

— Jakże to będzie teraz, — mówi Deptuła, — z kossakowskim portretem? Komuż to będziesz, Kaziczku, z konika swego drożynę pokazywał piękną szabelką? Piję na intencję twojej nowej drogi, chyba sobie wynajdziesz nową wyraźną drogę? — Od czasu Lolki Romek, gdy wzięła i uciekła, Deptuła pił, jak zawsze, lecz smakowało mu niedobrze, czekoladą przesypaną popiołem. A teraz, tu, w obliczu pana plenipotentą, pije czekolady nie czując! Życie jest w alkoholu, zdrowie, życie i wiara!

Strzęgorz uśmiechnął się oczami, ustami i spinkami. — Portret portretem, — odpowiada Kaziczek, — a życie zawsze życiem. — Pan plenipotent niezupełnie rozumie, o co Deptule chodzi. Co ma być z portretem i jaka nowa droga? Nie jest pewien wszystkiego, w s z y s t k i e g o nigdy nikt pewien być nie może. Czyżby w LOKOMOTYWIE, w POŚPIECHU, w GIĘTYCH MEBLACH, w PIWIE LACHOWSKIEM najaw wyszły jakieś nieporządki?

Deptuła zniża czoło, taki ma styl, swój własny; podsuwa czoło pod oczy przyjaciela, jakby mu nagi tyłek podsuwał prosto pod nos. Cofnie się teraz Strzęgorz, czy nie cofnie? Najtwardsi ludzie i najbardziej uparci, gdy, im wypinał spocone czoło pan Władysław Deptuła, cofali się ze wstrętem.

Strzęgorz jest wytrawniejszy. Przymrużył oczy

i nie cofając się, znosi „obelgę czoła” spokojnie. Zalśnił mu krajuśczonek zębów z za fałdy prężnych warg. Wówczas Deptuła odczuwa w sobie nagle smugi dymu. Słone, suche, dławiające. Jest to znak nieomylny, że czegoś bardzo pragnie, chce, zamierza swą złością, wszystką swą dziką, obrzydliwą mocą! Tyle dni cierpiał i niczego nie pragnął! W towarzystwie Strzęgorza wracają mu pragnienia, luby kochany Strzęgorz, luby, kochany, śliczny!

— Przepowiadałem ci Kaziczku, w gruncie rzeczy już dawno, — powie teraz Deptuła, — że służyć trzeba zawsze idei, a nie ludziom. Ja bo wyznaję zawsze konstelację, a ty powiadasz ludzi. Za wielki jesteś pieścuch: chcesz, by cię ludzie pieścili, nieustannie!

Strzęgorz wyciąga chustkę jedwabną z marynarki i tamponuje czoło. Czoło, brodę, policzki, gdyż lśnią za bardzo. Spocił się już koteczek. Deptuła jedzie dalej:

— Ludzie się zdarli, ordynat poszedł z nami, wstępuje do naszego gabinetu bez najmniejszych zastrzeżeń. To ci mogę powiedzieć z przykrością i z radością. Z radością, że wstępuje; z przykrością, że cię gubi. Życie! Tak, to jest życie. Stało się to przed chwilą, najdroższy mój, przed chwilą. Najdroższy mój, przed chwilą. — Deptuła mówić więcej nie może. Gęba mu drży, dałby sobie najchętniej w pysk, jak za miłość do Lolki. Trzasnąłby się najchętniej w gębę, by opanować drżenie dolnej szczęki i móc powtarzać ze sto, czy z tysiąc razy: — Najdroższy mój, przed chwilą! Naj-

droższy mój, przed chwilą, najdroższy mój, przed chwilą.

Strzęgorz uśmiecha się z niemałym trudem. Teorja blasku, lśnienia jest tu znacznie zachwiana. Nie był, zaiste, zbożem, nie był łanem, czy chmielem, nie był wysadką buraczaną, grochem, makiem, kapustą. Był przecież tylko blaskiem. Czyżby blask przyłapał, ten blask powiewny, zwinny i to nie adwokaci, nie koledzy pułkowi, nie sędziowie, ziemianie, hrabiowie, jeno te zwykłe chamy?! Brwi panu Strzęgorzowi nie chcą iść w górę, faluje tylko niemi.

Deptuła opowiada, co słyszał najwyraźniej: pan Lachowski pretenduje u Bigdy o tekę Wyznań i Oświaty. Deptuła wie od wczoraj, od dawna o tem wszystkim, teraz powtarza z ogniem, jakby to była niespodziewana nowość. Wielkie czoło bliźniutko świeci nad Strzęgorzem.

— Cóż będzie z ordynacją i co będzie z pożyczką, pomyśl teraz, najdroższy?!

*Sparta*, — *nerwy*: dawać tu teraz *Sparty* na funty, kila, pudy, skąd jednak brać te pudy? Strzęgorz trzyma kieliszek, Deptuła gada, patrzy na koniak, płyn, który jest barwy ciemnych źrenic Strzęgorza. Rozpuszczone źrenice Strzęgorza falują w kieliszku, może się wzburzą i wykapią przez brzegi?!

— Myślę o tobie i nie wiem, co mam myśleć, najdroższy mój Kaziczku, — powiada znów Deptuła. — Chciałeś przeczekać chyba, do gabinetu wejść odrazu nie chcesz. Nie chciałbyś się narazić, bo nie wiesz, jak wypadnie ta cała sprawa, bo może nas obalą?! Nie wiesz, więc lepsza zagranica na razie... Chciałeś, by się ustało wszystko bez twojego udziału.

łu a tu tymczasem wylali cię z kretešem. Nie wiem, jakie masz plany, bo my na ciebie żadnych! A pewno masz wydatki, rozliczne obowiązki, hrabia ci pękł! Dlaczego pękł, tego na razie nie wiesz...

— Plany nie plany, — słyszy wreszcie zdaleka słowa plenipotenty, Kaziczka najdroższego czujny poseł Deptuła, — ale przy tych wydatkach, przy dzisiejszych moich obowiązkach, świeżo zaciągniętych nie będzie mi wygodnie zostać się bez pieniędzy.

Poseł Deptuła słyszy te słowa z ogromnej odległości, następnych słów nie słyszy... Rozdzierają go żywcem. Strzęgorz zwierza się swemu przyjacielowi, że ma nowe wydatki z powodu Lolki Romek, bardzo wielkie wydatki!

— Chcę z niej człowieka zrobić. Materiał bardzo dobry i bardzo wdzięczny. Pod słowami materiał wdzięczny, — chrypi słodziutko Strzęgorz, — nie mam na myśli ciała. Ciała jako takiego. Ileż to kobiet ma ciało! Jeśli chodzi o Lolkę, — tu Strzęgorz opisuje Deptule, jakie ma Lolka ciało. — Dobrze, no, owszem, dobre, białe niebieskie, w pachwinach, aż perliste, ale cóż, ostatecznie...

Żółta gęba Deptuły staje <sup>42</sup> purpurową. Strzęgorz wciąż opisuje, dodając — „jak sam wiesz”, „jak to chyba pamiętasz”, „jak mi to sam mówiłeś”. Gęba Deptuły staje się czarno-siną a tłuste wargi drżą.

— Ciało, ciało i ciało, — zamyśla się pan Strzęgorz, — postanowiłem w to miłe, białe ciało tchnąć mego ducha. Rozumiesz, Władek, ducha?! Mojego ducha...

Zaczynają się śmiać, obydwaj, przyczem Deptu-

ła patrzy, ale nie widzi; krew mu zalewa oczy. Odczuwa pustkę w piersiach. Wodzi i bodzie czołem, a równocześnie, jakgdyby szedł pod górę... Co ujdzie kawałeczek, to go zaraz spychają w czarną, bezdenną przepaść następujące słowa:

— Wynałazłem jej damę do towarzystwa, rzeczywistą hrabinę. Lolka wyjdzie na ludzi. Ogłada towarzyska, pewien polot wewnętrzny, bo tam zadatki są, powiadam ci, że są...

Otwarło się w Deptule, dunęło i ziunęło, znowu zadreptał na obolałych piętach. Strzęgorz mówi i lśni i powiada (stało się to pod ścianą, krokiem stąd nie ruszyli, tu ich dopiero zdybał młody Mieniewski) raz jeszcze:

— Chcę dziewczynę wyprowadzić na ludzi, tchnąć w nią innego ducha. Romantyzm jeśli chcesz, ale taki już jestem. Inna rzecz, że jeśli bez tej dziewczyny nie możesz żyć, jeżeli cierpisz bez niej, — Strzęgorz połyska czystością kołnierzyka, — no, to ci ją odeślę. Bo dla mnie taka Lolka, — zwyczajny eksperyment. — Strzęgorz syci się zemstą ostrożnie, pocichutku. Szepcze matowym głosem przyjemnie zachrypniętym. Serce mu przestępuje z jednej strony na drugą —

Jemu serce aż przestępuje, Deptule nie, tylko łapka zajęcza ociera się o serce, ociera się miarowo i łaskocze, łaskocze...

— Czemu ty mnie podjeżdżasz, Władek, — powiada znowu Strzęgorz, — zupełnie nie rozumiem. Lachowski, polityka, to jest oddzielny rozdział. A Loleczka oddzielny. Jeśli ci trudno bez niej, bez tej Romek, mogę ci ją odesłać.

Posel Deptuła zawisł nad Kazimierzem Strzęgorzem wielką dynią kadłuba i całą zgrozą pyśką, strasznym oddechem, bezwstydem czoła, żarem całej istności: Strzęgorz mu ją odeśle, jego Lolkę, jak psa odeśle, jak sukę, albo świnię, przyrząd, czy jak strzykawkę!? Deptuła stał, gulgotał, mieszało się w nim wszystko, zdychał za Lolką, zdychał przez tyle nocy, a tu miał dostać Lolkę z ręki Strzęgorza, z kosmatej ręki pana plenipotenta?!

— Jesteś bankrut, stuprocentowy bankrut, — uśmiecha się Deptuła. To jest właśnie zabawne, bankrut zaofiarował Lolkę. Powiedzieć jedno słowo, cóż, poprostu poprosić: oddaj mi ją. Deptuła nie mógł prosić, nazbyt ją chyba kochał, nie mógł prosić rywala. Za żadne skarby świata!

— Jesteś bankrut, zwyczajny bankrut, — kwiczał nad Strzęgorzem, pchając go wprost na ścianę.

— To nie ma nic do rzeczy, — zwierzał się rzewnie Strzęgorz.

Deptule przyszło na myśl, że Strzęgorz „tylko mówi“, lecz nie odeśle Lolki. Chce zmusić Deptułę do proszenia, później prośbę odrzuci, kopnie Deptułę w serce. Deptuła nie oddycha i Strzęgorz nie oddycha. Stoją naprzeciw siebie i dławią się i duszą.

— Idę zaraz do Bigdy — mówi Deptuła. — Możebym mógł jeszcze tam cię ratować? Co każesz mój Kaziczku? Powiedz tylko, co każesz? No, co? No, co?!

Panu plenipotentowi Strzęgorzowi serce zmieniło nogę, jak to określał sam w chwilach dla siebie trudnych. Zmieniło ze zmęczonej strony na wypoczętą. Nie wszystko było chyba stracone, gdy miał w rozpo-

rządzeniu Lolkę. Rzekł więc uprzejmie:—Możesz nie iść do Bigdy, pozwolisz jednak, że w takim razie zamelduję już sam twojemu prezesowi, że nie masz czasu dla niego, bo starasz się o Lolkę u mnie.

Deptuła krzyknął głucho, odwrócił się na pięcie i pobiegł za posłami w stronę gabinetu wicemarszałka Ciaracha do Bigdy. Bigda jeden jedyny, Bigda gdy zechce potrafi wszystko! Kwestja Lolki, to kwestja kilku dni. Deptuła wiedział, że poprosi Strzęgorza. Nieprawda, nie poprosi! Zgnoi, zgnoi Strzęgorza za pośrednictwem Bigdy, zgnoi całkiem do reszty.

Oddasz mi moją Lolkę, inaczej won z roboty, won na złamanie karku! Lolka wróci, dostanie w papę, dostanie, oj, dostanie, później odesła wszystko, co ma od Strzęgorza, fatalachy, pieniądze, wszystko, wszystko odesła. Hrabinę się zatrzyma, niech służy pilnie dalej, ciotka Strzęgorza na służbie u Deptuły, Lolce raz jeszcze w papę nakłaść... Deptuła biegnąc, wyrzwał rozprostowaną dłońią o ścianę korytarza a równocześnie dzikie ubóstwienie dla Lolki zahuczało mu w piersiach.

Zatrzymał się, jak wryty, przed drzwiami gabinetu. Czeka za niemi Bigda. Co ma się mówić Bigdzie? Córkę ma teraz wbijać do głowy jaknajprędzej, pchać mu do głowy córkę... Odpoczniesz Mateuszu, a wnuk twój, to już szlachcic... Instykt mówi Deptule, — wpychać Mateuszowi córkę na gwałt. Cóż jednak znaczy instykt wobec Bigdy?

Nic, głupstwo, marna słomka. Deptuła poczuł się przed drzwiami gabinetu, jakby miał płynąć przez głębinę na słomce. Nie pracować instyktem z Bigdą, działać rozumem, wiedzą, inteligencją, dwoma dokto-



ratami, doświadczeniem, praktyką! Sytuacja: Lachowski się przyłączył, strzelali Stachowszczycy, czy są tam trupy, jakie, ile?! Obiło się o uszy Deptule, że trupy są, podobno dwa, niedużo. Dolański ze swoimi dzisiaj — zupełny bankrut. Mieniewski był w porządku, fornale, Tyczka — nie istnieją! Ty, Mateuszu, obejmujesz rząd, z podpisem prezydenta, Zamek, sala Prezydjum... Nie zamek, żaden Zamek, nie potraćć już o to, jechać wyłącznie córką, jechać wciąż naprzód Zośką, tamto wszystko zostawić.

Teraz dopiero Deptuła nic nie wiedział. Tyle razem przeżyli a oto w decydującej chwili waha się przed drzwiami. Albowiem mieli rachunki stare, braterskie i złodziejskie, swoje własne, przeróżne, nikomu nic do tego, rachunki osobliwe, co się nie kończą nigdy i zawsze, zawsze trwają.

Pchnęło Deptułę ztyłu, — chyba doprawdy siła przeznaczenia. Wszedł. W poczekalni gabinetu wice-marszałka Ciaracha gniotło się ludzi i przeróżnych ludzisków i wysłanników obcych stronnictw i dziennikarzy i różnych odprysniętychmacherów i jeszcze innej branży nieustalonej! Deptuła okiem obrzuciwszy to wszystko, mógł odrazu osądzić rozmiar zwycięstwa odniesionego dzisiaj. Uwijał się pomiędzy tymi ludźmi młody Stasio Mieniewski, — Deptuła przywitał się serdecznie, — dzień dobry, panie Stasiu, — i bez żadnej kolejki wszedł do środka, do Bigdy.

— Wiesz, co ty teraz zrobisz? — skrzeczał Bigda z kanapy, rozmamłany, rozbebeszony, w kamizeli rozpiętej, w portkach porozpinanych, — zagnasz mi teraz wszystko, aby z tem koniec był. Co ci mam mówić, jak? Stachowski jest już chory, Ciarach tam

przewodniczy, głosujcie sobie za porządkiem, przez drzwi. Pamiętaj, już po wszystkim, kiedy będziecie wychodzili z sejmu, chcę się pokazać mojemu narodowi, ale tak, od niechcienia. Popiłeś sobie bracie za pięć złotych? — Wszystko powiedziane jednym ciągiem, głosem nadzwyczaj kwaśnym.

Deptuła znał się na takich tonach Bigdy. Gdy Mateusz przemawia jęczącym słowem, bezmyślny, zagapiony, kiedy gada, nibyto niepotrzebnie, — niech ręka boska broni sprzeciwić się, czy nie wykonać, czyli też nie zrozumieć!... Deptuła wyciągnął się słuźbiście, z kpiną w oczach, ale z posłuchem wyrażonym na gębie. Stanął przed Mateuszem na baczność, służywał w wojsku (mówili w partji, że buty wtedy ukradł) wiedział, jak się przyjmuje „postawę zasadniczą“.

Przyjął taką postawę, w kościach swoich wyprostowany w cielsku owisty i skłębiony. Cóż wielkiego? Zabawa.

Bigda tymczasem, jakże się nie poderwie, przerażony!! Przed kanapiskiem, na którym Bigda siedział, był stół, nakryty kapą. Ów stół odskoczył o dwa kroki na pokój, kapa się z niego spłozła, niby skóra odarta. Bigda trwa nad tem wszystkim najeżony, okropny, tylko mu cienie latają pod szczękami, cienie straszego bigdowego zacisku.

— Czego ty chcesz ode mnie?!! — wrzeszczy głośno Mateusz.

Deptuła skulił się, zdjęty ogromnym strachem. Choćby najbardziej pragnął, nie potrafi się skulić, bo cóż ma zrobić z cielskiem, gdzie podzieje swój tłuszcz i jak i gdzie go utka? Stał tu cicho, ale zarazem mię-

tosi się sam w sobie. W miętoszeniu owem, bezradnem ugniataniu odkrył ku niespożytej radości, że to nie tylko on Deptuła boi się Mateusza, — że również Bigda obawia się Deptuły.

Szanse są może równe, gdy jest strach zobopólny?...

— Niczego nie chcę, kochany Mateuszu, — mówi grzecznie Deptuła, — ty mówisz, a ja słucham. Niczego więcej nie chcę. Nie mam żadnej pretensji.— Ledwie to wypowiedział, gdy poczuł całe piekło rozmaitych pretensyj: że go Bigda zostawił przez pół dnia na trybunie, czekającego o Reformie Rolnej, że mu pięć złotych rzucił, jak zwyczajnemu fagasowi, że go w ogrodzie lachowickim psami dzikimi szczuł, że go nad barem „Klasa“, nocą w bocianiem gnieździe omało nie zadusił. Z tych rozlicznych pretensyj, wyłoniło się w Deptule tak dawno zaniechane poczucie bezpieczeństwa. Bardzo wielkie, zupełne! Że aż w gardle od niego zasycha... Poczucie bezpieczeństwa wobec Bigdy, nie Strzęgorza, lecz Bigdy, Mateusza, lidera, prezesa wszystkich spółek, poczucie bezpieczeństwa tak ogromne, zupełne, że aż się straszno robi, cicho, głucho i straszno...

— Czegożbym chciał od ciebie, — zaśmiewa się Deptuła, uszczęśliwiony nagłym przerażeniem Bigdy, — wiesz, że niczego nie chcę. — Te słowa całkiem proste, wcześniej, czy później nieomylnie prowadzą do Loleczki Romeckiej. Deptuła już wie o tem: do Loleczki Romeckiej można się teraz dogadać przez gąszcz kłopotów, zmartwień i przeciwności. Zarzucić Mateusza takim miałem, zniecierpliwic, rozżalic, korzyść wydobyć z tego wszystkiego nie-

spodzianie. Deptuła zaczyna z innej beczki: trupy, pierwsza, najpierwsza sprawa. Izba się burzy z powodu ulicznej strzelaniny, wszyscy sobie podają wiadomości o trupach. Trupy łakoma rzecz: trup się już nie odezwie, a do gęby mu każdy włoży to, czego potrzebuje. Trupy, — potrawa łakoma politycznie, bo to jest potem pogrzeb i wiele mów bezkarnych, jeśli kto umie dobrze grać taką rzeczą.

Na szczęście tutaj zabawy takiej nie może być. Kto ma większość, zawsze na tego korzyść przypadają też trupy; a znów zawsze na zło takiego, który został w mniejszości. Stachowszczycy zaczęli a nie mają większości, wszystka krew spada na nich. Z tego zaraz o procedurze głosowania przez drzwi, że to dość długo potrwa. Moznaby oddać do wykonania Gruszcze. Popatrzył się Władysław na Mateusza i dał spokój ze wszystkim. Bigda siedział za stołem, zapatrzony, nie słuchający wcale, zapewne śledził znów wszystkie sprawy swoje, które za niego idą, działają, gospodarzą....

Deptuła przypatrzył się swojemu prezesowi zagapionemu, zmartwialemu, jakby zabłąkanemu w myślach niepoczytalnych. Wzruszenie czułe, połączone z najusilniejszą nienawiścią zakopiało w Deptule. Powstrzymał się jednakże. Łysnął ogromnem czołem i odszedł stąd na palcach na posiedzenie do głównej sali obrad.

Garus, hałas i krzyki, wołania, odmęt głosów. Ciarach króluje z marszałkowskiego krzesła zgóry, stajnia leaderów dookoła trybuny wzburzona, rozjuszona. Z galeryj bije żarem. Nie da się to uchwycić,

zmierzyć, posłowie jednak wyczuwali dokładnie, kiedy z galerji wionie żar ciekawości.

Wszystkie światła się palą, woźni snują się dalej wśród ławek, jak granatowe muchy, lecz ruch woźnych nie może zmylić znawcy. Szykuje się już wszędzie awantura. Dosyć spojrzeć na rząd, obalony przez Bigdę. W rządowych ławach ministrowie, podsekretarze stanu siedzą, wszyscy, jak trupy. Za kwadrans, za godzinę odpłyną wszyscy w nicość. Któż to lubi?!!

Ciarach zgóry, Deputa wszystko prowadzi w sali z dołu.

Zagania i wygania w głównej sali posiedzeń, chodzą, wracają, głosują, idą, punkt po punkcie, całą nową l e x B i g d a. Incydenty wynikają raz po raz, straż marszałkowska czuwa, biuro sejmowe liczy, wicemarszałek Ciarach unosi się wysoko na swym pięknym fotelu. Nowy incydent z Gruszką, — są dwa trupy przed sejmem, Gruszka nie daje wiary, zaprzecza najwyraźniej a tymczasem dwa trupy są!

— Na wasze głowy spada ta krew!! — krzyczy Gruszka w długiej czamarze czarnej.

Stare bydlę, idjota! — wścieka się znów Deputa. Mobilizacja trupów zupełnie niepotrzebna. Pano wie z opozycji rzucają się na Gruszkę, Deputa zauważa, że Rząd opuszcza ławy. Poseł Deputa podlatuje do Gruszki, woła, — przestań, idjoto! — na szczęście nikt nie słyszy, Gruszka chce zostać koniecznie męczennikiem, umiarkowali go nareszcie Rosławski i Lachowski. Gdyby nie oni, byłby się tu dziś dawał rąbać za Bigdę, cwany lis, cwany drań!

Wicemarszałek Ciarach ogłasza już wyniki głosowania. Po każdym ogłoszeniu rozlegają się brawa

nowej większości Bigdy i Lachowskiego. Większa część sali stoi, bije brawo, ludzie krzyczą, śpiewają, a znowu mniejszość wyje w bezsilnej pasji.

Dopiero pod sam koniec głosowania nad Lex Bigda zaczęli komuniści bić w pulpity, rzucać kałamarnicami. Wchodzi straż marszałkowska! Więc już, już prawie koniec, Deptuła czeka, sam jeszcze nie wie, na co? Śmieje się w głębi serca do Bigdy, nieobecnego tutaj i gdy na zakończenie, trzy czwarte sali ryczy vivat, vivat, vivat lex Bigda, — Deptułę aż zatyka ze śmiechu.

Rozkraczył nogi, pięści podniósł do góry i niewidzący, głuchy na wszystko inne, spocony, w sobie samym rozdęty, przejęty wstrętem, radością i odrazą śmieje się gardłem, przeponą brzusznią, całą piersią — vivat, niech żyje Bigda!!! — śmieje się jeszcze więcej, kiedy ze środka sali wyskakuje na pulpit poseł fornalski Tyczka.

Gdyby nie Tyczka, nie skończyłoby się chyba nigdy to całodniowe posiedzenie izby ustawodawczej w przedmiocie całkiem nowych poprawek do ustawy o Reformie Rolnej, objętych skromną nazwą lex Bigda.

Tyczka, niby ów dawny legendarny szczurołap, wywiódł posłów ze sali posiedzeń, ba, sam nie wiedział, że to tak składnie zrobił i że się tak przysłużył. Stało się zresztą wszystko bardzo prosto. Tyczka wylazłszy znienacka na swój pulpit jął, jak człowiek, którego obdzierają ze skóry, ryczeć i hałasować. Deptuła rechotał tu niedawno, okropnym, ale bądź co bądź ludzkim jeszcze głosem. Tyczka — ryczał.

Wysoka Izba ustawodawcza słyszała już prze-

różne krzyki: komunistów, czy narodowców, czy czasem, zwłaszcza dawniej, socjalistów. Okropny bas Deptuły, wstrętny dyszkant Ciaracha. Takiego jednakowoż wołania, — Rosławski, Cynwajs siedzący wówczas w bufecie twierdzili, że takiego wołania w swem życiu nie słyszeli, jedynie u tonących! Budynek sejmu, mury, ławy, marmury, dywany, posągi, czy spluwaczki sejmowe nie były poprostu przystosowane do czegoś tak dziwnego! Wysoka Izba wiedziała, że gdy podczas prac Izby strzelano na ulicy, odbijało się owo strzelanie w gmachu sejmowym szczególnymi echami; jakby ktoś pięścią kamienną walił w mury. Ale takiego krzyku „pustego“, warjackiego krzyku z bezludnej wyspy?!

Tyczka ryczał, oczy mu na wierzch wyszły. Ryczał zalany potem, ze stojącymi na łbie złotemi włosami, z uszami, które drżały nieustannie. Wrzeszczał, palił się w krzyku. Wzywał pomocy, ratunku czyjego, wobec kogo?! Wołał na księżyc, czy do Marsa?! Bełkotał przytem ciągle zawiłe słowa. Niewiele z nich słyszano, gdyż Ciarach puścił wielkie dzwonki elektryczne, które wzywają do porządku dziennego.

Niespożyty ryk Tyczki wybił się nad te dzwonki, siła rozpaczy ludzkiej przemogła siłę elektryczną. Tyczka wzywał nie chłopów i nie panów, bo na nich pluł oddawna i nie księży, bo księża, wiadomo, że pijawki... Wołał na socjalistów, przeklinał socjalistów do dziesiątego pokolenia.

Socjalistów na sali posiedzeń już nie było. Wiadomo przecież, że jeszcze wcześniej, przy dyskusji nad lex Bigda obrazili się, wyszli i uwięzili w bufecie. Pod koniec głosowania nie wytrzymali i po jednym,

po dwóch, po trzech wracali, by się przypatrzeć coraz nowym wypadkom. Byli tu tylko na „obserwatorów“, i aby patrzeć, czy im nie ubliżono?

Wśród obecnych mniej ważnych socjalistów był także poseł Koza, który dnia tego czuł się bardzo bojowym, jako, że trzymał rękę i to przez kilka godzin na głównym sterze partji. Trzymał i ster utrzymał w najcięższej chwili, gdy mdlała już dłoń inna, lidera Mieniewskiego.

Gdyby był Koza dał się wygadać posłowi Tyczcze czy nawet wybełkotać dowoli?! Czy to szlachetność odczucia obowiązków, czy też nadmierne przywiązanie do partji, czy zbytnia wiara w ludzi, w owych właśnie leaderów, czy też poprostu naiwne, zbędne w Izbie Ustawodawczej poczucie tak zwanego honoru?... Dość, że Alojzy Koza nie wytrzymał! Gdy poseł fornalski Tyczka, obezwawszy już socjalistów, ryknął na posła Mieniewskiego, lunął na wielkie imię lidera ohydą strasznych wyzwisk, Koza tak szanujący dotąd honor ustawodawstwa, zawrzał z pod ściany:

— Milcz głupi, gruby chamie!!!

Zapadła cisza, wówczas zaś Koza, jakgdyby postawiony wobec samej istoty parlamentaryzmu wzruszył się niepomiernie. Chciał się teraz poprawić, powiedzieć coś o pracy. O pracy, o cierpieniu. Utulić Tyczkę. Zamiast tego wszystkiego porwany odruchowym rozpędem dodał wrzaskliwie w ciszy zdumionych, zaskoczonych posłów:

— Milcz głupi chamie. Za Mieniewskiego możesz dostać po mordzie.

Przebieg dalszych wypadków zwolnił wicemar-



szałka Ciaracha od wszystkiego: i od pieśni klasowo-rolniczych, których obawiano się po głosowaniu i od nabożnych pieśni Stachowszczyków i od klasowych hasel komunistów. Tyczka bowiem, usłyszawszy głos Kozy, skoczył zgóry po lśniących pulpitach, zachwiał się, wyprostował i już pędzi, zaraz dopadnie biednego sekretarza. Pędził, skakał ów Tyczka, jak rozjuszony byk, ale kto widział na świecie byka z pod którego nóg leciałyby z furkotem papiery i djarjusze, wyciągi mów, cały arsenał wniosków posiedzenia Izby Ustawodawczej?!

Huk, łomot, piski wzburzone na galerji, cała gromada posłów huzia, huzia, — za Tyczką, a poseł Koza w nogi. Co się działo w jego zdrożonem sercu, nikt nigdy nie wypowie. Czyż można twierdzić, iż poseł Alojzy Koza, były sekretarz Związków Górniczych i Metalowych, były karowacz na czwartym pokładzie kopalni Flory wogóle uciekał, a uciekając modlił się jaknajrzewniej?! Nie uwierzonoby, że się modlił w tej chwili. A jednak, jeśli właśnie o prawdę chodzi — tak było, nie inaczej!

Koza uciekał, wymijał krzesła, ławki, wpadał między ciche drzwi wojłokowe, zakręcił się po hallu, pomiędzy filarami odbił się raz i drugi od marszałkowskich strażników. W biegu tym słysząc za sobą nieludzkie wrzaski Tyczki i gęsty tupot nóg, modlił się sam do siebie znanym sobie bolesnym skurczem rozpędanego serca. Modlił się do biednego, może świętego, kochanego i zawsze, zewsząd ściganego Kozy... Do tego Kozy, który jest sprawiedliwy, wierny i zasłużony, gdyż ciągle go ścigają, ciągle poniewierają i zabić chcą!

Myślał, że pogna prosto, potem raz jeszcze skręci koło bufetu, w lewo, tam będzie więcej ludzi, ludzie ci zatrzymają Tyczkę. Tyczka wrzeszczał przeciągle, — zapłacisz mi za Mieniewskiego!

Koza wbiegł niespodzianie do szatni. Prowadziła stąd droga do hallu, gdzie stał brązowy pomnik marszałka Stachowskiego. Koza wpadł tam, w nadziei, że stamtąd wybiegnie znów schodami pod górę i skryje się we własnym klubie, to jest socjalistycznym.

Nieszczęście chciało, że właśnie z owych schodów zstępował klub socjalistycznych posłów, Cynwajs z Mieniewskim na czele, wszyscy w płaszczach. Już opuszczali sejm. Bardzo godni i obrażeni na cały dzień dzisiejszych obrad. Zgryźliwy śmiech Cynwajsa rozlegał się donośnie, leader Mieniewski kroczył w milczeniu, jak posąg, gdyby posągi przechadzały się żywcem po sejmie.

Koza, zoczywszy swój klub, podał się w tył, olśniony, zawstydzony! Dlaczego w owej chwili pomyślał o orkiestrze z Osady Górniczej? O trąbach, wielkich helikonach, które tu odsyłali towarzysze z Osady do Warszawy dla reparacji. Była to myśl uboczna, nieprzytomna i błyskawiczna, która natychmiast zgąsła, przeistoczona w rozpaczliwe, strachem świszczące męstwo. W ogniu owego męstwa poseł Alojzy Koza zatrzymał się pośrodku hallu, naprzeciw długich rzęsiście oświetlonych szatni, z których miał lada moment wypaść rozjuszony Tyczka.

— Tyczka, Tyczka, — wołał Alojzy Koza, bładny, jak śmierć, — Tyczka, obywatelu, towarzyszu, kolego!!!

Jeszcze chwila, ostatnia już, jedyna, gdy Koza

myśli, że któryś z posłów socjalistycznych podbiegnie. Może jeden a może kilku! Podbiegną, poratują!... Nie podbiegli, teraz chyba zapóźno...

— Zapłacisz mi za Mieniewskiego, pokażę ci kolegę, — ryczał Tyczka, wrywając się granatowo-amarantowym strażnikiem marszałkowskim.

— Nie rozumiecie Tyczka, — wołał rozdzierającym głosem Koza, — to jest parlamentaryzm, to jest parlamentaryzm!!!

Jeszcze sekunda, minimalny ułamek sekundy, w którym Alojzy zdołał zobaczyć, że hall cały jest już wypchany ludźmi, główny stenograf sejmu stoi na samym brzegu z białym papierem korekt. Po drugiej stronie, na czele klubu Cynwajs, Mieniewski w popielatych narzutkach.

— To jest parlamen...

Straszna pięść Tyczki gwizdnęła Kożę w ucho, pod oko, sekretarz w przemożnym dźwięku uderzenia zachwiał się i zatoczył. Bronił się, krzyczał, — parlamentaryzm, — uchwycił rękaw napastnika, jeszcze raz sala przewróciła się Kożę w widzeniu zakrwawionem. Później już tylko ciosy, każdy oddech i okrzyk wbija mu pięść Tyczki zpowrotem w płuca, światło hallu rozptylać się poczęło i ciec przez usta krwią. Gdy oto nagle poczuł towarzysz Alojzy Koza błogosławioną ulgę... Olbrzymi ciężar Tyczki spadł z Koży, równocześnie zaś w całym hallu rozległ się apatyczny głos pana prezesa Bigdy.

Poseł Bigda w towarzystwie swej świty, a więc Deptuły, Ciaracha, Gruszki, Kosa i kilku innych poważniejszych w stronnictwie, zjawił się tu, ażeby się pokazać dobrym ludziom Bigdy, społeczeń-

stwu i dziennikarzom, którzy tu już czekali na pierwsze słowa nowego męża władzy. Szedł tutaj Bigda w majestacie spokoju a co zastał?! Gdzież jest straż marszałkowska?

— Gdzież jest straż marszałkowska?! — zawołał na widok burdy gorszącej pomiędzy przedstawicielem fernali i klasy robotniczej.

Poseł Deptuła, który szedł tuż za Bigdą, na widok Kozy, bitego straszliwie przez Tyczkę, przypomniał sobie własne przeżycie w Lachowicach pod ogrodem warzywnym, — jak tam Bigda pokopał rozwścieżoną sukę.

— Mateuszu, — Deptuła nie potrafił zachować wobec Bigdy dość zimnej krwi, wyrwał się z rzeczami, z którymi przed kimś innym nie wyrwałby się, — kopnijże tego fernala, jak to umiesz! Ładnie rozpoczniesz władzę. — Władza władzą, Deptuła słuchać nie mógł, bo to brzmiało i grzmiało, plackało i świstało, jakby mięso surowe ktoś ubijał, — tak tłukł Tyczka nieszczęśliwego Koze, siedząc straszonym ciężarem na ciele umartwionego socjalisty.

Inni panowie posłowie podrywali się niby z pomocą, wszystkich jednakże zatrzymał niesamowity głos Mateusza. — A gdzież straż marszałkowska, czemuż jej tu nie widzę, gdzież jest ta straż właściwie?!

Jak z pod ziemi wyrosli strażnicy i w pięknych amarantowych rabatach skoczyli między kolisko posłów, ku schylonemu nad Kozą grzbietowi Tyczki. Gdy się to działo i gdy nareszcie rozjuszonego byka fornalskiego odciągali od nieszczęsnego posła socjalistycznego, Bigda półgębkiem rzekł do Deptuły. —

Po cóż mam kopać? Teraz bić sam nie potrzebuję, mam wyrękę, władza będzie to robić za mnie.

Strażnicy z oszalałym Tyczką wywlekli się z hallu, Bigda stał chwilę bez ruchu, spokojny, przyglądając się to Cynwajowski, który huczał rozgłośnie, to Kozie, któremu z nosa krew płynęła i z twarzy. Prezes Bigda nachylił się i trzeba przyznać, sam własnoręcznie uniósł za ramię pokrwawionego Kozę. Koza to był, na Boga, jeszcze, — czy strzęp ludzki? Ów strzęp ludzki podał pan prezes Bigda posłowi Mieniewskiemu, mówiąc: — Zaopiekujcie się tym posłem, bo to przecie wasz człowiek. — Ani cienia szyderstwa, czy pozorów uśmiechu na twarzy posła Bigdy: zupełna sprawiedliwość, dostojna i spokojna.

Wrodzy posłowie rozeszli się coprędzej, ale słyszeli jeszcze, jak w tymże hallu poseł Deptuła zwoływał dziennikarzy.

— Fama narodowa, — skomlił Ciarach. Pękał z zazdrości, żeby jemu dali przemówić! Liczył, że to nastąpi, gdy zostanie marszałkiem. Za usługę, którą oddał a propos Lachowskiego u osoby duchownej możnaby było wymagać. Coby to mówił do dziennikarzy Ciarach: tu rozruchy (z dymu i krwi powstaje nowy świat!...) tu obalenie rządu, tu wielka zgoda narodowa, chłopci razem z panami, marzenie setek lat! Tu jeszcze ten incydent wymowny, Koza — Tyczka.

Ciarach z ubolewaniem patrzył, jak to załatwia Bigda. Dziennikarze stanęli w korytarzu, prezes Bigda nie poprosił ich dalej. Zapalał papierosa, majstrował koło papierośnicy, a kiedy zaczęli stawiać pytania, Bigda zastygł w bezruchu. Stali cierpliwie, chociaż przejęci głęboką ciekawością, Bigda zaś, —

jak kiedy swoim posłom pierwszy raz okazywał oblicze po zwycięstwie, — błyszczał pomiędzy żurnalistami twardą płaską gębą, niby tarczą. Nic nie powiedział. Wymawiał różne słowa, przewidziane, ale nic w nich nie było. Wychodziło z wszystkiego, — że będzie tak, albo będzie inaczej...

Dziennikarze chcieli notować, papier w rękę trzymali, ołówki, wieczne pióra. Do zapisywania jednak nie doszło. Gruszka opowiadał później na uczcie, że w hallu znaleźli się wszyscy dziennikarze, jak na tureckim kazaniu.

— Dążyć będę, — rzekł im nakoniec Bigda, — ku dobru powszechnemu.

Gdy wypowiedział słowa o dobru powszechnem, wszystkim, — wedle Gruszki, — straszno się zrobiło. Winnymi się poczuli i zawstydzili się. Bigda tylko potrafił powiedzieć coś znanego, co dawno nic nie znaczy a tak przestrasza ludzi. Poczem rozwiązał audjencję, zupełnie po swojemu. Gdy panowie redaktorzy czekali jeszcze, aby się może dowiedzieć, na czem polegać będzie dobro powszechne, rzekł Bigda: — No, tośmy się zgadali. — Koniec: ruszył „bagnistym“ krokiem, w stronę gabinetu Ciaracha. Szedł s a m o t n i e, jakby się przy nim wcale nie pętała wielka gromada ludzka cwaniaków i łakomców, fagasów, liżyklamków. Nie wiedział, że go czeka przed gabinetem Ciaracha nowy jeszcze incydent. Może posłowie, z tyłu za nim idący, pierwsi to zobaczyli, gdyż się cofnęli, co dość dziwacznie wyglądało...

Bigda widział tak samo, jak oni: stała przed drzwiami wicemarszałkowskiego gabinetu w towarzy-

stwie Kapuścika i jeszcze kilku typków pani dyrektora Kostryniowa. Na tle szerokich lakierowanych białych drzwi, w powłóczystej żałobie, smukła, wysoka, o twarzy pomnikowej, wyglądała jak posąg żałobny, ustawiony naprędce w przygodnym miejscu.

Istna cholera, — pomyślał Bigda, lecz szedł dalej. Po cóż miał myśleć o tej pani, skoro mu inne, dawniejsze sprawy przypominała wysmukłą swą osobą?... Szedł głuchym korytarzem, wspaniale oświetlonym (czy nie za dużo świecą w sejmie, od dzisiejszego dnia wszystkie światła, które kosztują, na które się wydaje, należą też do Bigdy!) przypominając sobie, jak kiedyś, dawno, gdy go dziwki pokłuły szpilkami od włosów, leżał w pustych czworakach, ropiał, w gorączce płonął i któraś z Lachowskich pań rany mu przemyła, nim go do szpitala odwieźli i tam nożami medycznymi dokumentnie popruili.

O tem myślał, idąc po korytarzu, z temi myślami doszedł do Kostryniowej.

Posłowie utworzyli za Bigdą półkole. Mateusz przestał wspominać dziwki, co go pokłuły, bo uświadomił sobie, że obecnie, przy władzy, wciąż będzie czuł na grzbiecie ciężar takiego ludzkiego półkoliska.

Deptuła głębę wyszczerzył w stronę Kapuścika, Kapuścik bezradnie wzruszył ramionami, zapóźno! Kostryniowa już wysunęła przed siebie ręce w opiętych rękawiczkach. Miała zaraz przemówić...

Bigda lubił, aby się przepowiednie jego sprawdzały. Sprawdzają się! Czyż Kostryniowa, kobieta z ziemian, z bogaczy pochodząca, nie należała do tak zwa-

nych gruszek szlacheckich o których swego czasu wspominał? Spadają do fartucha, już zaczynają spadać! Wiedział też Bigda, że w życiu sejmowem przydatne są żywiołowe odruchy publiczności; no więc jest odruch żywiołowy i to ze strony ziemian, bogaczy, w postaci delegacji pań. Miał swe paniusie Lejek Dolański, może mieć Bigda swoje. Deptuła toto podsunął znowu?! Znowu rai?! Zasadzki chce urządzić Mateuszowi Deptuła?

Bigda wiedział, co zrobi zaraz: nie posmakuje nawet tej potrawy. Tak też uczynił.

Pani Kostryniowa wzniosła ręce w obcistych czarnych rękawiczkach, przejęta wstydem i boleścią. Siedziała dziś od rana na galerji sejmowej. Nikt jej nie namawiał, — masz tam być, masz tam iść. Nikt, nikt! Strzęgorz dał jej bilety. Zawsze dawał na ciekawsze posiedzenia, od czasu, gdy mu oświadczyła, że naukowo zajmuje się sprawami społecznymi.

Pani Stanisława przysłała do sejmu z własnego impulsu. Na galerji spotkała się z kilku znajomymi paniami, bliskimi partji ordynata Lachowskiego. Panie te dały się porwać głębi odczuwania byłej dyrektorowej Kostryniowej. Incydent z Tyczką pouczył je wyraźnie, po której stronie była dziś w sejmie słusność. Coby się działo z kulturą, z przeszłością, z religją, słowem z całą tradycją narodową, gdyby Lachowski nie wspomógł swemi głosami Bigdy?! Takie Tyczki poniszczyłyby wszystko. Wtedy to, na galerji, wyrzekła pani Stanisława słowa, które zelektryzowały każdą z tych pań do głębi. Pani Kostryniowa nawiązując do Tyczki powiedziała bez



najmniejszego namysłu: — Kamień na kamieniu-by nie został.

Dzięki tym słowom postanowiły „te panie” pod przewodnictwem pani Kostryniowej udać się na dół i dać wyraz swoim uczuciom dla ordynata Lachowskiego i Bigdy. Służba nie chciała ich przepuścić. Dopomógł Kapuścik. Lachowskiego nie zastały, ale oto powracał prezes Bigda po rozmowie z dziennikarzami.

Na widok Bigdy straciła się niestety pani Kostryniowa całkowicie. Miała była powiedzieć parę słów w imieniu zdrowo myślących pań, w imieniu matek - polek. Na widok Bigdy ogarnął ją lęk straszny. Przypomniała sobie rozmowę z posłem w pensjonacie, że wspominał o Bogu, ani razu nie popatrzył na nią, zbył niczem, kazał się modlić, choć losy jej i Zuzy trzymał poniekąd w ręku.

Uniosła teraz dłonie do pana posła Mateusza Bigdy, aby wypowiedzieć słowa o społeczeństwie, zgodzie, o matkach, — tymczasem łzy wezbrały w pani Kostryniowej i byłaby się rozplakała niewstrzymanym szlochem... Poseł Bigda do tego nawet nie dopuścił! I n a t o nie miał czasu. Kostryniowa zachwiała się, jak ugodzona w serce, gdy Bigda ruchem ramienia przekreślił na wskos całą jej postać.

Ruch taki uczyniwszy, otworzył Bigda drzwi do gabinetu i wołając za siebie w tył, — Deptuła! — wszedł do dalszego pokoju, w którym przez dzień dzisiejszy urzędował. Nie zamknął drzwi za sobą. Kroczył machinalnie, prosto przed siebie, jakby miał na mur wyleźć. Zatrzymał się przy oknie, nie oglądając się, czy Deptuła wszedł za nim. Bigda nie

potrzebował się oglądać, — słyszał zamknięcie drzwi. Słyszał też, poprzez siąpienie deszczu za oknami uciążliwy oddech przyjaciela.

Byli więc znowu razem. Coprawda, nie n a p r z e c i w s i e b i e siedzieli, lecz stali, odwrócenii plecami. Deptuła przyglądał się portretowi Ciaracha, rozpatrując malunek, jak się mapę jakiegoś kraju nieznanego przegląda. Bigda patrzył na deszcz. Nie myślał nic obecnie i chyba nie czuł nic i nie pamiętał nic, — patrzył przecie na deszcz. Dziennikarze mu wywietrzeli z głowy, co tam to było dla Bigdy spławienie kilkunastu matołów?! Głupstwo. Co tam było dla Bigdy spotkanie z taką panią, rajoną przez Deptułę. Biodra kobiety i piersi w wielkiej jeszcze urodzie — na co się to zda komu? Najważniejszy jest — spokój.

Bigda nakazał sobie myśleć o spokoju. Był zmęczony? Może trochę przepity, a trochę przepalony papierosami. Wewnątrz jednak spokojny. Dzisiejszy dzień o wiele mniej kosztował Mateusza, niż rachowali z Deptułą. Wszystkie ważniejsze sztuki na hakach zawieszzone skruszały w samoprawie. Nie było z tem wielkiego ambarasu. Może z jednym Stachowskim, ale to przydawało różnaitości. Stachowski będzie wybornym sojusznikiem... Bigda ucieszył się na myśl, jak to ze sobą będą grali. Z Mieniewskim łatwo poszło, wszyscy swoi dobrze się postavili, a Kozia z Tyczką, — samo złoto, warci, każdy z osobna po pięć dolarów.

Swoi służyli? Chcą zarobić, nic więcej. Nie trzeba, by za dużo zarobili, bo na później nie starczy. Bigda szukał w pamięci, kto na czem, ile stracił?...

Gruszka stracił. Lachowski stracił. Strzęgorz stracił. Stary Mieniewski nic. Deptuła nic. Kos nic. Przyszło Mateuszowi na myśl, że nie będzie musiał nikogo wynagradzać. Rzucić tych, którzy stracili dużo, albo przynajmniej trochę, na tych, którzy nie musieli dokładać do wierności. Niech się żrą, nim się zgodzą dobrych kilka tygodni upłynie! Przez ten czas nic się płacić nie będzie, jedni i drudzy spełniać będą robotę znacznie pilniej.

Zatknęło Bigdę, spostrzegł bowiem, że wobec tytułu potrzeb, pretensyj i kłopotów zaczyna znów przeliczać mienie! Nie swoje własne, lecz ogólniejsze, jakby do niego tylko należało, do Bigdy! I już mu żal obdzielać onem mieniem obiboków, latawców politycznych, okpiświatów. W żalu szczerym i słusznym postanowił Mateusz: — Niech się przedtem pomiędzy sobą wyżrą.

W postanowienie to wpadły słowa Deptuły: — Tam nas czekają z wielką ucztą w PATRJI. Roślowski i Lachowski, nasi i przemysłowcy, powiadam ci, będzie zabawa, jakiej jeszcze nie było. — Zawsze tak miał z Bigdą poseł Deptuła. Za dużo mówił, tem się grażył, szkodził sobie ogromnie, ale nie mógł inaczej wobec Mateusza.

Bigda nie odpowiedział nic. Stał tyłem do Deptuły, twarzą do szyb okiennych. Można się było może już odwrócić? Przypomniał sobie jednak, że miał o niczem innem nie myśleć, patrzeć na deszcz i odpoczywać, potrzebował przyrody. Przyrody i powietrza. O powietrzu niema co marzyć, otworzy okno (gabinet na parterze), a tam nuż kto podsłucha na do-

le?! Widok jednak mieć można. Widok ciemności zlewanej gęstym deszczem.

Łało strugami, a Bigda słuchał wody, tak jak lubił: bez żadnej woli, chęci, jakby się po nim łało. Po długiej chwili, — długo, czy krótko trwają takie chwile, — Bigda już nową miarę gotuje w sobie... Miara będzie pojemna na dokładniejsze rozmieszczenie wszystkich następnych spraw. Bigda miarę szykuje i takie słyszy słowa, rzeczony przez Deptułę:

— Najlepiej chyba urządziliśmy dziś Strzęgorza.

Trzeba uważać, — powiada sobie Bigda. Gadanie o Strzęgorzu ma gdzie dalej prowadzić! Dokąd? — Bigda przestraszył się, jak wtedy, gdy Deptuła stanął przed nim na baczność i z pod szklącej, rozlanej gęby pokazał drugą chudą, łakomie wyostrzoną. Nie mógł zmiarkować Mateusz, czego się znów przestraszył teraz? Czy myśli jego o żarcu się skrzywdzonych z tymi, co do wierności wcale nie dołożyli, odgaduje Deptuła?... Czy też czegoś innego przestraszył się? No, czego?!

Bigda nie wyczuł w danym momencie swej miary i pewności. To nie jest dobre, żeby pierwszego dnia tracić już równowagę. Zapytał więc spokojnie, bez związku, tak, odrazu: — Więc to miał być ich zamach? Czy co? Co toś mi mówił kiedyś, jeszcze przez Kapuścika? Ciekawym, — trupy są? Podczas manifestacji?

— Dwa.

— Czyje?

— Nie pamiętam nazwisk. Śledztwo już ustaliło. Sami się postrzelili.

— Śledztwo już ustaliło?

— Tak, ustaliło, — odrzekł spokojnie Deptuła.

— Ale kobiecych trupów, — podgarnął się Mateusz, — niema?

— Niema. Skądże?

— Napewno?

— Tak, napewno, — gadał Deptuła. — Rozumiem cię, coś tego, matka dzieciom, to zawsze nieprzyjemne.

Należało zakończyć, rozmówić się z Deptułą. Złamać Władka raz jeszcze i na nowo podciągnąć. Przed nową erą ciężkiej pracy wytworzyć nowy nacisk. Bigda rozliczał, — dwa, pięć porządných batów wystarczy „dla nacisku”. Albo Władek wytrzyma... Jeżeli nie wytrzyma, niktby go nie zastąpił. Gruszka? Kos? Ciarach? Nikt. Baty jednak być muszą zwłaszcza po Lachowicach. Psy w alei strzyżonej to nie jest jeszcze dosyć wobec odpowiedzialnych nowych obowiązków.

Bigda, jak się do czego wzięł, to załatwiał odrazu. Deptuła musi teraz przedewszystkiem poczuć się bardzo winnym. Od tego się zaczyna każda robota z ludźmi. Bigda odwrócił się na pięcie. Wsparty o parapet plecami, chciał popatrzeć Deptule w oczy. Nie mógł.

Deptuła zaś, chociaż w takich wypadkach mógł doskonale posługiwać się czołem, odwrócił głowę. Okazało się tedy, że się wzajemnie unikają, wytrzymać się nie mogą. To, co się stało dnia dzisiejszego, po tylu latach, — przechodziło ich siły, przerastało nadzieje. Deptuła wspomniał nagle, jak, kiedy się w ordynacji umawiali z Strzęgorzem. Mówił plenipotentowi — władza, siła, zabawa, samo zdrowie!

Wspomniawszy tamtą chwilę, nypał teraz ogromną głową, jak niedźwiedź, kiedy uderza łbem w żelazne pręty klatki.

Bigda nie mógłby spojrzeć komukolwiek w oczy? Nie mógł! Czuł się znowu, jak w lesie. Nasłuchiwał, jakby to było w puszczy. Dobrze zrobił, że słuchał. Cisza mu przynosiła głosy zamierającego sejmu, gdyż ten gmach, na podobieństwo warsztatu, czy fabryki, nie odrazu zamierał. Cichnął, stygnął stopniowo. Tu jeszcze drzwi kłapnęły, tam znowu ktoś przeleciał po schodach i jeszcze kilka głosów zbłąkanych huknęło w korytarzu i jeszcze, znowu, jeszcze, niby drgawki. Potem jeden przeciągły huk, zgłuszony, niespodziany, jakgdyby z łona pustki wszystkich przebrzmiałych obrad.

Odgłosy cichnącego sejmu przypomniały Mateuszowi, jak to siedzieli tutaj dawno w klubie swego stronnictwa. Tak samo było wieczorem i deszcz padał. Nie deszcz a śnieg spóźniony. Plucha, jak dziś. We dwóch tu pozostali, Bigda z Deptułą po trudnem posiedzeniu wszystkich chłopskich klubów na temat oferty ziemian, co to proponowano dwa miliony hektarów. Bigda powiedział wtedy Deptule, — żebyś siedział naprzeciw mnie, to wszystko będzie dobrze. Coś takiego powiedział. Teraz o wiele wyższa polityka! W dniach przełomowych nawet, jak przypuścmy dzisiejszy, żadne, — „naprzeciw“! Musieli już pracować w zaocznem zaufaniu, bardzo, bardzo gruntownem. Rozłąka przymusowa będzie przy pracy coraz większa...

Bigda znów postanowił i znów sobie nakazał przepróbować Deptułę na powyższe okoliczności.

Chwiała się w Mateuszu ta idea, kołował jeszcze, od-  
dalał chwilę próby, z powodu szczególniejszej czu-  
łości. Sroga była, wiadomo, bardzo sroga czułość ma-  
teuszowa; gdy nie znajdzie oddźwięku, zabije przy-  
jaciela, zdepta raz na zawsze!

Stali naprzeciw siebie, w ciszy całkowitej, sejm  
przestał huczeć, przestało w nim kołatać życie.  
Deszcz za oknami ściekał zespolonym pogłosem  
wody.

— Patrzcie się, mój Deptuła, — rzekł Bigda ci-  
chem słowem — znowu tutaj jesteśmy n a p r z e -  
c i w. To dobre jest!...

Deptuła patrzył na Bigdę. Opanował się, nie da-  
wał poznać, chociaż na wnętrzu rozrywało Deptułę  
z ciekawości. Co tam szacunek dla siły, dla pomy-  
słów, chwytów, kawałów, podejść! To wszystko je-  
szcze głupstwo. Najgorsza rzecz i najstraszniejsza to  
ta dzika ciekawość: co się może stać z Bigdą i co on,  
Bigda, sam z sobą może zrobić... Ciekawość, przepel-  
niająca wszystkie myśli!

— Mają teraz nareszcie, — rzekł Deptuła dla  
zmylenia wrażenia, — swoją kochaną jedność. Stu-  
procentowa jedność.

Bigda nic.

— Zrobiliśmy to wszystko dla nich, — ciągnie  
dalej Deptuła, — nie mogą nam zarzucić... — Prze-  
stał mówić, gdyż nie to chciał powiedzieć. Wolałby  
chyba milczeć. Tyle razy w ciągu ostatnich tygodni  
przerzucali się temi słowami: jednością i terminem  
„własna Rzeczpospolita“. Oklepane to było, zużyte  
a już pomiędzy nimi dwoma, do niczego doprowadzić  
nie mogło. Po cóż zawracać głowę?!

Deptuła miałby tu coś innego do powiedzenia, nie takie brechty puste. Trzebaby układ zrobić, byłoby to ciekawsze. Układ następujący: zniszczymy raz na zawsze Strzęgorza, wylejemy na pysk, ślad po tym draniu nie zostanie już nigdzie. Pomóż mi w tem, odrazu, prędko, a ja, Deptuła, będę ci za to służył, jak nigdy dotąd jeszcze, wiesz co potrafi, kiedy chce. twój Deptuła.

Układajże się z Bigdą! Jakby się człowiek ze ścianą miał układać. Najgorsze zaś w tem wszystkim, że przy takich układach Deptuła mało pilnował własnego interesu. Ciekawszy był, co powie tamten, jak zagra, z której strony?...

— Słuchaj Władek, — powiada nagle Bigda.—  
Więc tak stoimy teraz, niby tego, naprzeciw. Widzisz, jak rzeczy poszły? I to, co mi mówiłeś, że ma być zamach, że się zbierają, knują... Masz ten ich zamach. Nie tylko nic, ale do tego jeszcze zostałem męczennikiem. Biją się przecież o krzyż a ja nic, cierpię nad tem. Kto cierpi, ten męczennik. Powiadasz, że są trupy? Więc obrazili mnie bezczelnie w postanowionem i miłosiernem przebaczeniu. Chciałem chyba przebaczać?! Więc znowu jestem męczennikiem. Teraz mogę, co chcę. Ma się rozumieć. Idziemy dalej, Deptuła, znowu wyżej. Teraz już — całe państwo!  
× Taki warsztat ogromny dla naszych żartych chamów. Mam swój plan, tak, jak zawsze. Jestem sobą we wszystkim. To już postanowione. Swobodnie i wygodnie. To dobre jest, rozumiesz? Tak jestem już ze wszystkich stron okrutnie przywiązany, że bynajmniej nie marzę o jakichś tam, rozumiesz, jak to mówią: o jakichś tam wolnościach.



— To jest najlepsze, — uśmiechnął się Deptuła. I tak został z wyrazem zachwyconego uśmiechu, albowiem już nie wierzył żadnym, najprostszym choćby słowom przyjaciela. Deptuła oddech wstrzymał, zaczynała się wielka gra przyjacielska. — Najlepsze jest, — dodał Deptuła, — że to czujesz, co mówisz. Bo to jest właśnie wolność, ludzie gadają o tem dużo, nic zaś nie rozumieją. Tymczasem to jest proste: być tak zewsząd związanym, aby się nie móc ruszyć.

— Idzie teraz o ciebie, — mówił cicho Mateusz, — czem chcesz być, co wybierasz? — I tu nagle ów bat, cios, uderzenie nagłe pomiędzy oczy: — Chcesz zostać posłem w Watykanie, może ministrem, czego, czego ministrem, jakich naprzykład spraw? Czy też może, — bo niewiem? A może wolisz zostać, ba, kiedy znowu nie wiem?! Nieprawda, niczem takim nie zostaniesz. Mógłbym cię zrobić wszystkim, wolę jednak nie robić. Masz zostać, — brązowe oczy Bigdy przekrzywiły się czerwienią, — masz zostać wciąż tem samem, to jest jedynie przy mnie: belfrem pana premjera. Tylko, że teraz, Władek, trzeba byś się podciągnął. Urzędu ja ci nie dam żadnego. Zostaniesz nadal w sejmie. Mój poufny doradca. Kawalek mózgu pana premjera Bigdy. Mało ci jeszcze tego? Chybaś więcej nie marzył! Zaszczyt i piękna praca. Musisz się szczerze liczyć, że to jest wielki zaszczyt. Od jutra więc, — bo dzisiejszego wieczora nie będę jeszcze liczył, — dosyć już kryminału, awantur, świństw i hec. Pan profesor Deptuła! Uporządkujesz wszystko! Odszukaj swoją matkę. Nie może być dziadówką. Dalej: będziesz miesięcznie posyłał jej

pieniądze, mnie masz pokazać kwit. Co miesiąc. Teraz dalej: dość dziwek, wszystkich dziwek. Pętaniny i świństwa!

Bigda wciąż patrzył w oczy Deptule, który spojrzenia te odbierał wielką gładzizną czoła. Gładzizna czoła, — jak zauważył Bigda, — pęcznieje, czerwienieje... Mateusz chrząknął. Zamilkł. Czekał. Czekał z wielką rozkoszą, słysząc znowu wyraźnie odgłos swych bosych pięt, idących późną nocą po ścieżce do Lachowic. Właśnie tak, takim głosem, miękkim, chociaż stanowczym biło serce prezesa Mateusza Bigdy. Mówił po cichu dalej:

— Uważam, mój kochany, żeś się powinien przenieść na mieszkanie do sejmu. Albo na mieście, owszem, możesz mieszkać na mieście, ale nie incognito; po ludzku, przyzwoicie. I zrobisz to. Pokoje nad tym barem, nad KLASĄ, musisz mi to skasować jaknajprędzej!

Gdy Mateusz wspomniał mieszkanie nad KLASĄ, czyli bocianie gniazdo, poderwało Deptułę. Podał się naprzód, jęknął. Bigda oczu nie spuszczał z przyjaciela. Wymierzał nowe baty:

— Pijaństwa, świństwa, wrzaski po knajpach, orgje w bajzlach, o tem wszystkim zapomnisz. Musisz mi zostać poważnym profesorem. Doradca premiera, rozumiesz to?! Sobą i tak nie będziesz nigdy, — mówił cicho Mateusz — i sił ci na to nie stać i sam nie wiesz, kim być. Dawno. ci to mówiłem. Tymczasem belfrem, moim belfrem, — w sam raz. Jak mi tak życzysz, niby ze względu na dobro naszych bliźnich, abym był uwiązany, to i ty musisz uwiązać się porządnie. Jak poczujesz niewolę, zaraz się uspokoisz. Wiem to z własnej praktyki. Przez całe życie

X

swoje jestem przecie w niewoli. I to w jakiej niewoli!... Coby tam jeszcze krążyło między ludźmi o twej Spółce Kujawskiej, o figlach rozmaitych, to się zawczasu z papierów wydobędzie, teraz gdy mamy dostęp, jeśli to leży gdzie, w tajnych teczkach po biurkach. Spławimy to, zniszczymy i będziesz odrodzony. Powiadam ci, mój Władku.

Bigda się dziwił samemu sobie jak mu to tchnie z każdego słowa pożytkiem i naprawą, — ani mucha nie siądzie. Wypowiedział i patrzył, słuchał, wciągał czujnie do płuc powietrze ich przyjaźni. Powietrze było puste, jałowe, że choć się znali z Deptułą tyle lat, niczego nie domyślił się Bigda.

Deptuła wahał się, poczem ruszył ku oknu. Szedł, jakby worki centnarowe na plecach swoich dźwigał, łabato, ciężko, z głośnem echem, jako że sejm już zaciął i każdy krok rozlegał się donośnie, niby w pustym kościele.

— A czy ty myślisz, Bigda, — zaczął wreszcie Deptuła, olbrzymie swoje czoło naprzód wysuwając, — że to tak można zaraz odradzać się?! Miałeś mi przecież pierwaj dawać sam do wyboru miejsce, jakiego zechcę? Watykan, Urząd Ziemi, czy Ministerstwo Handlu, mogę się nadać wszędzie...

— Jesteś za mądry, dlatego roztargniony — uśmiechnął się Mateusz, — musiałem wybrać sam. Wybrałem już za ciebie.

Gdyby się był przynajmniej nie uśmiechnął w tej chwili! Gęba została Mateuszowi po dawnemu, płaska i nieruchoma, ale uśmiech przeleciał szeregiem żółtych zębów, jak ostry poblask zgryzu potężnych szczęk. Deptuła skulił się i zamyczał nosowo:

— To tak mi każesz żyć, w takiej niewoli? Sam chyba nie wytrzymasz, ażebym miał tak żyć. Sam nie wytrzymasz! — nie działało się pomiędzy nimi, aby sobie jeden, czy drugi pozwolił na jakikolwiek odcięcie czułości. Wszystko o sobie wiedzieli, widzieli się w obrotach wzajemnego działania i rozumieli się milcząco. Może nawet w takim stosunku dopatrywali się niemożonego zdrowia swej dwuznacznej przyjaźni?!

Zdrowie to nadwątlone zostało jednym niebacznym ruchem, który się wydał Mateuszowi wstrętnym: oto Deptuła położył lekko, prosząco olbrzymią swoją łapę na piersiach Mateusza. Bigda stracił tę łapę i nie patrząc już więcej na Deptułę, jął zbierać ze stołu swoje manatki: papierośnicę, drewnianą cygarniczkę, zapalki, nóż, którym obierał był przedtem kielbasę. Pozbierawszy, układał to w kieszeniach dokładnie, po swojemu, jakby każdy z przedmiotów na zawsze pozostać miał w swem miejscu.

— To znaczy, — rzekł Deptuła, — że pięć złotych dałeś mi już na pożegnanie mej pijackiej kariery?

— A tak, na pożegnanie.

— No więc chodźmy, — bąknął grubym głosem Deptuła.

— Chodźmy, — potwierdził Bigda.

Niesporo było jednemu i drugiemu. Nie byli to zaprawdę marzyciele, wszelkie zaś efekciarstwo liryczne było im zawsze obce. Niemniej przeto myśleli kiedyś obaj, jak to będzie, gdy nastanie wreszcie dzień przełomowy: jak opuszczać będą pobojuwisko sejmu,

jak wyjdą już po wszystkich, ostatni, po odwalonej robocie. Dawniej mówili nawet, jak padną sobie w objęcia, i urzną się dnia tego. Dzień wielki nastał, przyszedł: jakże trzeźwo, spokojnie opuszczają miejsce wspólnych wysiłków, oraz piekielnej pracy!

— Nie zapomniałeś czego? — spytał Deptuła, widząc, że Bigda idzie ku drzwiom.

— Nie, — Bigda kroczył pierwszy, Deptuła gasił za nim światło w gabinecie, w salonie wicemarszałka, w poczekalni i w przedpokoju. Na korytarzu raz jeszcze zatrzymał Mateusza.

— Co chcesz? — zapytał Bigda.

Deptuła stał, już nie „naprzeciw“, — obok swego prezesa. Jakby szli w równym rzędzie i nagle zatrzymało ich tu c o ś i n n e g o, nowego a wynikłego niespodzianie.

— Myślę jeszcze, — mówił Deptuła, — czy dobrze dla mnie wybrałeś? Czy to postanowiłeś —

Bigda w śmiech i potężną dłonią bac, bac, w plecy Deptuły, już wesół i w humorze, jak tylko on potrafił, Mateusz. Niby w humorze, a ludzi aż mroziło ze strachu wobec tej wesołości.

Szli teraz koło brązowego biustu marszałka Stachowskiego. Deptuła wspomniał, jak kiedyś walał Mateusz w czoło tę posągową pałę. Było to tego wieczora, gdy rozstrzygali na posiedzeniu aferę dwóch milionów hektarów.

Prezes nie spojrział nawet na biust Stachowskiego, a cóżby obchodziły Mateusza takie szczegóły?! Weszli do przedsionka i tu, — doprawdy nie wiadomo dlaczego, — wystraszyli się obaj z powodu in-

cydentu, w gruncie rzeczy drobnego... Odskoczyli od siebie, w dwie strony, rzekłbyś złapani na gorącym uczynku... Z za filara wysunął się Kapuścik, po cywilnemu odziany, w gumowem palcie, ociekający wodą, przylizany, usłużny.

Bigda opanował się pierwszy, zły na siebie, że mu się tak wydarza tego wieczora. Raz po raz zbiegi okoliczności i spotkania, może nawet korzystne, ale nieprzewidziane... Tak mu się dzisiaj napatoczył Lachowski w gabinecie Ciaracha, tak mu się Staś Mierniewski nadarzył, teraz Kapuścik. Bigda myślał poważnie, przewidywał udatnie, a tymczasem w przebiegu rzeczy wciąż inaczej wychodzi! Czy to władza przynosi z sobą?

Wsadził ręce w kieszenie, — miał też na sobie gumowy płaszcz. Wypiął się srogo naprzód i spytał: — Czego pan potrzebuje?

Deptuła patrzył na Kapuścika srożej. — Czegoż pan chce, najdroższe moje dziecko? — podchwycił. Deptuła spostrzegł konkretnie, że teraz każde zbliżenie zausznika, czy typka może mieć większe, niżli dawniej następstwa.

Kapuścik, pochyliwszy się między barki Deptuły i Bigdy, jął szeptać bardzo dwuznacznie. Obaj panowie posłowie z niemałym zdziwieniem popatrzyli na pełne światła hallu.

— Droga zbadana, pewna, — szeptał śpiesznie Kapuścik, — stąd aż do samego hotelu PATRIA. Panowie posłowie mogą jechać spokojnie. Przed sejmem niema już nigdzie żadnych obaw. Co do ofiar manifestacji, — Kapuścik pilnie donosił — postrzelili jedni drugich, przeglądano najskrupulatniej broń plutonu

policyjnego, który t a m służyć pełnił. Nie może być najmniejszych wątpliwości. W samym hotelu PATRIA „swoi ludzie“, to znaczy zaufani pana Kapuścika uzyskali już pewność, że panu prezesowi nic nie grozi.

Zwierzenia redaktora Kapuścika orzeźwiły Bigdę. Znowu słuchał, a myślał „naprzód“, o czem innym: o tem, co będzie mówił za chwilę, w hotelu PATRIA. Zadał nagle pytanie: — No dobrze, a cóż milicja Mieniewskiego? Mieliście z tem, naprzykład, wiele kramu?

Pytanie uderzyło, jak grom. Kapuścik pracował „w kierunku“ Stachowskiego, o socjalistach zapomniał. Działali, — nie działali? Nie przypuszczał, że będą mu potrzebni na wypadek donosu.

— Widzisz pan, widzisz, — rzekł Bigda, wzruszając ramionami.

Wówczas Kapuścik: — Panie prezesie!! — Poniósł Kapuścika dzisiaj szczególna atmosfera sejmu. Takim człowiekiem był już Kapuścik zawsze: bardzo porywczym i zapatrzonym w nieosiągalne ideały. Kiedyś sportom oddawał całą duszę, później wybory w Osadzie Górniczej emocjonowały go namiętnie! Potem przymierze z Francją, — był taki krótki okres. Później, niespodziewanie, sprawa wózcзка dla Janusza Pecyńsko-Domagało-Kapuścika, z celulojdomem obramieniem, a potem wielkie tragedje teatralne. A teraz sejm: Mowa, trybuna, każdy krok decyduje, każde słowo rozstrzyga! Straż marszałkowska to chyba aniołowie-stróże wielkiego toku obrad. Publika? Tutaj niema publiki w rozumieniu ulicznym, poszczególny członek zwykłej publiki w sejmie, to wy-

braniec narodu, zawsze wyłącznie poseł. Coś tak pięknego, coś tak wyjątkowego. Dowódca straży marszałkowskiej...

— Panie prezesie, — szeptał Kapuścik, — poseł Deptuła może zaświadczyć, jak wiernie pracowałem. Dziś, gdyby straż tutejsza stanęła na wyżynie, nie byłoby mitręgi, ani tej szarpaniny z posłami. Panie prezesie, jeśli tu ma być wreszcie ludzki porządek, prosiłbym bardzo, teraz, przy tylu nowych zmianach o takie stanowisko...

Bigda udaje, że nie wie, o co chodzi. Pyta: — Jakie?

— O stanowisko dowódcy straży marszałkowskiej.

Słyszał chyba przed chwilą prezes Bigda, o co rzecz szła, skoro przytomnie pytał. Teraz jednak nie słyszy. Nie słyszy i nie widzi. Nie widzi nawet chętnych gestów Deptuły. Mateusz ma dwa słuchy od dziś wieczór, które włącza, wyłącza, nikt nie wie, jak i kiedy. Słuch osobisty i drugi słuch, państwowy. Być może Bigda słyszał Kapuścika słuchem osobistym? Państwowym już nie słyszał.

Wyszli na podjazd, deszcz ciurkał z wszystkich stron. Światła ulic i reklam odległych zdały się stąd opuchłe i przedziwnie rozmiękle.

— Trzeba wołać dorożkę, — powiada Bigda i stawia kołnierz gumowego płaszcza.

— Trzeba, idę, — mówi Deptuła, lecz drzwi się za nim wyszarpują z hałasem. Ze schodów zbiega uprzejmy pan Kapuścik. Dobiegł do krwawej kropli światła utajonego w prawym końcu podwórca. Okazuje się, że to samochód. Już zajeżdżają. Kapu-



ścik zeskakuje ze stopnia i szepcze obu postom: — Szofer odpowiedzialny, całkiem odpowiedzialny. Pannie prezesie, przepraszam jak najmocniej, że ośmielałem się mówić. Jedno pragnę powiedzieć, — otwierał równocześnie drzwiczki samochodowe, — jedno pragnę powiedzieć: że dla pana prezesa, nie mówiąc już o sprawie, gotówbym zawsze z radością oddać życie!!

Ruszyli. Bigda rzekł w samochodzie, gdy mijali sejmowe sztachety: — W każdym razie chce służyć.

Deptuła odsunął się, by nie zawadzać na poduszkach. Miał jeszcze dotąd siniaki na biodrach i palec prawej stopy czarny z jazdy do Lachowic; co to wyruszali z pod KLASY, Bigda usiadł wówczas w samochodzie nie rozejrzawszy się i przygniótł Deptułę. Niechcący, wiadoma rzecz, któż jednak może na sobie bezkarnie wytrzymać ciężar Bigdy. Deptuła odsunął się teraz, przeświadczony, że Mateusz sam się przybliży.

Niewiele może znaczy, gdy się zetkną brzegi odzieży ludzi, którzy się umysłami i sercami stykają. Gdy jednak mózgi, dusze stronią od siebie, — zwykłe nawet otwarcie szwu o szew, czy rękawa o rękaw może dość dużo znaczyć. Deptuła czekał. Była to już ostatnia chwila. Czekał całą przyjaźnią swą i bezgranicznym podziwem dla Bigdy i wiary w chłopskość nieskłamana i całym natężeniem jaknajżyyczliwszej woli.

Wzdłuż okien samochodu jakgdyby miazga utarta z światła, kamienia i asfaltu przesuwała się szybko. Jechali w stronę hotelu PATRIA. Jedno słowo, jeden chociażby ruch Bigdy, jeden znak, zbliżenie zabło-

conego płaszcz, żądanie jakiegokolwiek... Zdawało się Deptule, że każdy szczegół, najdrobniejszy, najmniejszy mógłby jeszcze ocalić sytuację i przyjaźń i ocalić ich obu. Zapoczątkować nowe życie!

Termin to niebywały, — „nowe życie”, — w przepaścistym, otchłannym kominie, pełnym śmiecia i huk. Nowe życie, — warczał i gnębił się i dusił poseł Deptuła. Nowe życie! Poseł Deptuła nigdy o nic nie prosił Mateusza. Ani też Bigda nigdy o nic nie prosił Deptuły. Zmawiali się ze sobą, było to najważniejsze. Zmowa była najwyższą cechą ich przedziwnej przyjaźni. Deptuła byłby gotów poświęcić zmowę i prosić Bigdę o inną nową przyjaźń. Bigda milczał. Trwał w samochodzie nieporuszony. Gdy tymczasem Deptuła zerwał się, — by z powrotem opaść na poduszki. Zapóźno, już zapóźno... Zroszone szyby samochodu nabrzmiały światłem rześcisie oświetlonego podjazdu hotelu PATRIA.

Gdy się auto zatrzymało począł Deptuła wysiadać pierwszy. Zdziwił się niepomieranie: wysiadało mu się bowiem lekko, jakby nie ważył nic. Jakby był pusty wewnątrz, aż łaskotanie czuł w rękach i stopach od niezwykłej, niebywałej lekkości.

Dwóch portjerów w złotych galonach stało na podjeździe. Mieli ciemno-zielone fraki. Palili papierosy. Na widok wysiadającego Bigdy rzucili papierosy, zdeptując troskliwie.

Wydało się to Deptule bardzo dziwne, gdyż padał deszcz, niema więc chyba żadnej obawy co do pożaru. Wydało się też Deptule rzeczą osobliwą, że ruch uliczny odbywa się normalnie. Dopiero, gdy Bigda otrząsnął z chrzęstem gumowe palcisko, przy-

pomniał sobie Deptuła, dlaczego obaj portjerzy przydeptali papierosy. Przecież to Bigda, Bigda, jutro, pojutrze premier!

Obaj posłowie (nawet Bigda) chcieli zapłacić za samochód. Był to wóz ministerstwa, czy policji, szofer nie chciał przyjąć pieniędzy.

— No, to dziękuję, — rzekł Bigda. I już głowę wyciągnął i już chce iść.

Deptuła zaś, jako że się czuje pustym w środku, ma puste, lekkie myśli. Powiada: — Musimy dać na piwo szoferowi.

Bigda: — A po co?

Deptuła: — Na dobrą wróżbę musimy dać, mam taki przesąd.

Bigda nie pyta o przesąd, lecz o sumę: — Ile?

Deptuła z wielką radością: — Myślę, że pięć złotych.

Na to Bigda: — Za dużo.

Deptuła: — Nie, nie za dużo.

Bigda przypomniał sobie, że dziś dawał komuś pięć złotych. Jakże?! Deptule dawał. Myśli przez chwilę, poczem nie odwracając głowy, rzecze: — No, to mu daj.

Po tych słowach prezesa wydaje się Deptule, że stał się jeszcze lżejszym. Zbliży się do szofera stopami ziemi nie dotykając, czy co?!...

Auto furknęło. Obaj posłowie mają teraz wejść do hotelu PATRIA. Która godzina obecnie, niewiadomo. Deptule bardzo zależy na tem, aby się dowiedzieć, która godzina? Nie sięgnie po zegarek. Doznaje bowiem wrażenia, że gdyby sięgnął do kieszeni, ręka pofrunęłaby mu w górę. Lekkość prze-

dziwna ogarnia pana posła. Kiedy atoli ujął Deptuła Bigdę za ramię, poczuł w swem ciele normalny ciężar ludzki.

Już są o cztery kroki od szklanych wrót hotelu „Patria”. Wrota obracają się właśnie, wypychając na chodnik stołeczne towarzystwo: dwie panie w puchach wieczornych, trzech panów czarno ubranych.

Deptuła nie dosłyszał po jakiemu ci ludzie rozmawiają, w każdym razie nie mówili po polsku. Cudzoziemcy. Przeświadczenie, że to są cudzoziemcy, że istnieje na świecie wogóle „cudzoziemskość”, zda się posłowi Deptule utęsknioną przystanią wypoczynku. Pół życia, murowane pół życia oddaje Deptuła za jeden wieczór z cudzoziemcami w PA-TRII. Dlaczego w tym samym momencie zwidziało się posłowi jego bocianie gniazdo, dwa pokoje, pełne perkalikowych makat, balkon naprzeciw dworca centralnego, pod balkonem, na kupułce baru KLASA wiadomy, zaufany poniekąd śmietniczek z szkieletem parasola, tekturowemi pudełkami po papierosach?...

Portjerzy pokłonili się nisko, jeden z nich rzekł czołobitnie: — Sługa pana prezesa.

Usłyszawszy pozdrowienie, Bigda przypomniał sobie coś ważnego. Wziął Deptułę pod rękę, odciągnął w bok i tu powiada: — Nie żal ci Stachowskiego? Mnie bo żal. Teraz już będzie się działo, jak u nas w naszej spółdzielni „Masło”. Będziemy doglądali, a oni rzygać będą, różne spece, inżynierzy, prokuratorzy. W imię naszej jedności! Rozumiesz to?

— Rozumiem. — Deptuła wypowiedział przytomnie słowo „rozumiem”, lecz równocześnie prze-

raził się potwornym rozmiarem tego słowa. Rozumiem, — huczało w Deptule, gdy weszli i gdy przez salę główną skręcali do skrzydłowych ubikacyj.

— Rozumiem, doskonale rozumiem. — Deptuła opuścił Bigdę na progu Sali Zielonej, w której książkę Rosławski zgromadził najważniejszych zwycięzców dnia dzisiejszego na ucztę triumfalną.

Byli tu wszyscy leaderzy Bigdy, Gruszka, Kos, Ciarach uduchowiony, byli nawet pomniejsi, były inteligenty bigdowe, donajęte profesory, doktory, rajce pokątne. Były też hrabie w odpowiedniej ilości. Rosławski ze swoimi, ma się rozumieć Strzęgorz, a w to wszystko wrzepione gęsto bańdziochy pizemysłowe, przeróżne redaktory, kupa sałaty ludzkiej, pstrej, rozmaitej, czort ich wie, skąd się brali i kiedy się zwiedzieli? Już żarli i już pili.

Deptuła patrzył, jak się prowadzi Bigda. Mróz tam wynikał przy Bigdzie, gdyż ludzie się garnęli, ale się wgarnąć dostatecznie nie mogli i tak to wszystko krzepło, choć sam Mateusz jadł i popijał chętnie. Spuszczał jedzenie, picie, jak czynił w Lachowicach i wszędzie indziej podczas uroczystości większych: że niby wszyscy inni są tu razem zgonieni na kupę, on zaś osobno, zawsze całkiem oddzielnie, jakby za swoje własne a nie wspólne pieniądze.

Deptuła patrzy, Bigda jest coraz dalej, teraz pije z Lachowskim, teraz pije z Strzęgorzem. Mateusz coraz dalej, Deptuła ciągle na dawnym miejscu w zupełnym zrozumieniu dość szczególnego faktu, — że jest zupełnie sam. Deptuła jest samotny, nikt się do niego nie pcha, nikt się nie przy-

pochlebia. Nawet Gruszka popija z Stanisławem Mieniewskim.

Pustka ma to do siebie, że słycać w niej za dobrze, czy teź wcale nie słycać? Deptuła czuje się lekkim i tak pustym, że słyca teraz za dobrze, za dokładnie — i nic z tego nie słyca. Nie znał się Deptuła, — powiada sam do siebie. Dziś jeszcze Bigda pozwala pić Deptule. Pić, żreć i bawić się. Pozwala!!! Deptuła pije z kaźdym, wypada zaś zabawnie, jakby z nikim nie pił...

Gwar, wrzask i szczekotanie naczynia, huk żarcia, trzask łykania. Wała się góry potraw, — żyły na skroniach drzą. Wydaje się Deptule, — że jest zupełnie pusty. Nie składa się z niczego. Jedyna rzecz istotna, — żyły na skroni, które się same zawiązują na grube czarne supły.

Cały komin otwarty: ogromnemi ścianami rwie w górę przeciąg potraw, homarów, posłów i zielonego groszku i sekretarzy, konfidentów i szpicłów i jeszcze będzie „melba” i cielęcina z lubelskiego, owa nauczycielka! Przyjdzie kolej i na nią, ma się rozumieć później. Cały komin otwarty huczy straszonym rozgłosem, lecz rozgłos ów jest pusty. Deptuła może z łatwością porzucić te hałasy, zatrzymać się, przypatrzeć postaci własnej i znów powiedzieć: — nie znał się, Deptuła...

Jakże wynikło z tego, że rozpaczając nad utratą przyjaźni, podszedł znienacka do Strzęgorza? Stanąwszy jaknajbliżej powtórzył znów z uporem:— Władza, Kaziczku, siła, zabawa, samo zdrowie! Mówię ci to, jak matka! — Rzekłszy, wczepił się w postać Strzęgorza, ogromnemi łapskami chwycił

plenipotenta za ramiona, czując zarazem, że nie Strzęgorza, że jedyne go Bigdę pragnąłby tak uchwycić i potrząsnąć, — potrząsnąć!

Strzęgorz zaś odpowiada: — Nudzisz się widzę, Władek. Nie wiem, czemu się nudzisz? Jeśli ci... — Strzęgorz przestaje mówić i uśmiecha się miło. Czy tylko łśni, ale łśni tak powabnie! I znów powiada:— Jeśli się tutaj nudzisz, to przecie masz na sali głównej dobrych swoich znajomych!... Wyjdź, zobacz, kto tam siedzi?!

Jakże się nie domyślić?! Nic prostszego, Deputała jednak nie ma jeszcze odwagi. Plecie, wydziwia, chowa wstydliwie czoło, nie śmie popatrzeć w oczy. Boi się swego wroga, który znowu powtarza: — Wyjdź, zobacz, kto tam siedzi?!

Deputała głośno udaje, że nic nie wie, ale wypełni rozkaz. Wychodzi stąd z udaną, śmieszoną subordynacją. Udaje, że nie wie, ktoby to mógł tam siedzieć! Dla zabawy jednakże gotów wypełnić polecenie, już je wypełnia, już! Przytyka palce do głowy, salutuje przed Strzęgorzem, obraca się na pięcie, odwała służbistego żołnierza, — w gruncie rzeczy ucieka! Po drodze złapał Kosa.

Idą we dwóch, po drodze rozmawiają. Kos się nie orientuje w niczem, idjota! Jedno tylko pojmuje, że pragnie bilans Państwa poprawić domem gry, który powinien stanąć w miejscu kuracyjnem. W którym?!

Deputała idzie przez gabinety, loggiety, galeryjki do głównej sali restauracyjnej hotelu PATRIA. Wie kogo tam zastanie. Wie, ale nie chce wiedzieć, chociaż musi tam iść. Z tych rozlicznych powodów

myśli Deptuła nagle o sercu ludzkim. Nic śmiesznieszego na świecie od tych myśli! Tak zwane serce, czyli zdeptany kalosz, który wisi samotnie w pustych piersiach Deptuły. Lepiej nie myśleć o tem i gadać z głupim Kosem.

Przyzwyczajenie jest doprawdy drugą naturą człowieka. Przyzwyczajenie niepotrzebne, wzgardzone, to ci dopiero rozkosz! Deptuła dawno przywykł nie opuszczać żadnej okazji, przy której można zjednać kogoś dla Bigdy. Czyni to również tutaj, przez drogę po ubocznych lokalach hotelu Rosławskiego.

— Teraz możecie,—powiada Deptuła do dziobatego Kosa, — prowadzić sprawę dalej, tylko musisz to zręcznie poddać Mateuszowi, co się ma tyczyć miejscowości. Przypomnij sobie Kos, gdzie ma Mateusz ziemię, co ją przepisał Zośce? Przypomnij sobie, stary ślepy gamoniu. Nie gospodarstwo dawne Mateusza, ale tę ziemię w górach. — Musiał się poseł Deptuła rozejrzeć wkoło, tak mu się dziwnem zdało, że wspomina imię córki bigdowej: szczególnie mocno dźwięczy w opustoszałym Deptule imię mateuszowej córki.

— Żebyś o tem pomyślał, ty głupi stary koniu,—powiada znów Deptuła na progu wielkiej restauracyjnej sali, pomiędzy tłumem lśniących lokajskich fraków, — tobyś już miał dom gry, miejscowosćby powstała nowa, poprawiłby się bilans, oczywiście! A znowu grunty przepisane na Zośkę poszłyby prędko w cenie. Ale ty tylko wrzeszczeć umiesz i przeklinać.

Powiedział, — urwał. Wyszedł na środek sali,



między liczne stoliki i zobaczył, co wiedział, że musi tu zobaczyć. Lolka Romek-Romecka! Artystka Lolka Romek. Deptuła zapomniał w tejże chwili, o czem rozmawiał z Kosem, że jest na świecie człowiek pod tytułem poseł Onufry Kos. Że jest na świecie „Patria” Rosławskiego!

Uciekał! Wracał jeszcze lżejszy niż dotąd, uskrzydłony widokiem zaprawdę niebywałym: Loleczka w rękawiczkach skórzanych, długich, prześlicznie uczesana, siedząca jak hrabina, — co tam głupie hrabiny, — siedząca niby panna na wydaniu w białej błyszczącej sukni. Naprzeciw niej wazonem dyskretnie przesłonięta rudera, trefiona, pudrowana, typowa zdiera hrabska, pewno ta stara ciotka pana Kazia Strzęgorza.

— Więc to jest Lolka, — pomyślał znów Deptuła—z damą de compagnie, z damą de compagnie... Z damą de compagnie!!! Deptuła uciekł z powrotem — do Strzęgorza.

Pan plenipotent rozmawiał z Bigdą. Deptuła czeka, aż przestaną rozmawiać. Nie przestają. Co więcej: Bigda wytwarza na twarzy swej drewnianej czuły uśmiech dobroci. Jest to specjalny uśmiech, można go poznać po prawej brwi, która się zawsze wtedy odsuwa Bigdzie w górę i zostaje wysoko nad przymrużonem okiem. Nie przestają rozmawiać, Deptuła czeka, czeka, doczekać się nie może... Strzęgorz łśni nieustannie. Do hrabiego tak nie łśnił, do nikogo tak nie łśni!

Kolacja! Deptuła żre z innymi, pono ostatni raz! Żre i wychyla się przez stół z swojego miejsca, Strzęgorz łśni nieustannie, prawa brew Bigdy pozo-

staje wysoko nad przymrużonem okiem. Deptuła żre i pije, jak chyba nigdy w życiu. On tylko jeden załadować potrafi takie kopiaste porcje. On chyba jeden potrafi łykać takie olbrzymie hausty. Dlaczego? Bo jest pustką. W pustce przepada wszystko.

Pustka, deptułowata pustka — podnosi się od stołu i znów wraca na salę głównej restauracji. Nie idzie, skrada się, przypominając sobie, że kiedyś, kiedyś, chociaż pono niedawno, rozmawiał tu z pewnym idjotą a mianowicie Kosem, o domu gry, o gruntach, vulgo terenach górskich córki pana prezesa, Zośki! Tak to już pozostało we wspomnieniu Deptuły: grunty córki bigdowej i rozmowa nad różowymi gwoździkami stolika panny Romek-Romeckiej.

Loleczka popatrzyła na posła Władysława Deptułę wzrokiem najwytworniejszej uprzejmości. Deptuła przedstawił się hrabiowskiej zdzierze, jako dawny profesor (!!!) Lolki, profesor filozofji, który pannę Romecką sposobił do szkoły dramatycznej. Po tym obrzędzie przedstawień jął wypytywać Deptuła pannę Romek-Romecką o stosunki rodzinne, a naturalnie, jakże! Pamiętał doskonale...

Jakże mamusia? Co porabia braciszek? A papa? Jak zasiewy? I cóż tam z tym procesem, bo to nigdy nie warto procesować się „zbyttnio”. Pytał też o kuzynów, Alfreda i Stefana. Specjalnie o Stefana!

Wszystko wyssane z palca, nieprawda i bezczelność, nieistniejący krewni, nieistniejąca sfera! Ziemiańska, kolatorska rodzina Lolki Romek. Kpiny a nie rodzina, bajzel a nie rodzina! Deptuła patrzy uważnie na kończyny arystokratki

Lolki. Deserowe wymogi rasowych pięknoduchów co do obróbki kończyn nie doznałyby specjalnego zadowolenia z powodu rączek Lolki.

Loleczka słucha profesora Deptuły. W zaciśniętej pięści miażdży kilka łydżek fijołków alpejskich. Wymalowanym dzióbkiem uśmiecha się uprzejmie. Odpowiada spokojnie, że mamusia „już lepiej“, tatuś zakończył proces polubownie, kuzyn Alfred „szykuje się obecnie“ do egzaminów — i cóż jeszcze?

Wystarczy, by w Deptule nieszczęsny stary kałosz rozdeptanego serca aż zamierał z zachwytu. Niepodobna nic myśleć, trzeba patrzeć na skórę szyi. Lolka ma szyję jędrną, a jeżeli pod brodą wypadnie mała fałdka, — fałdeczka owa będzie jednolita, że tylko wątlą nitkę niebieskiego cienia zakreśli poprzez ciało.

Deptuła marzy nieprzytomnie, aby tę wąską niteczkę cienia dotknąć, lub pocałować. Przynajmniej widzieć, patrzeć. Nic nie mówić: własnym domysłem tkać dalej ciało Lolki. Jeszcze niedawno miał jej Mógł ją sobie zawołać. Mógł jej żądać, jak się potrawy żąda. Cieszyła się, służyła i jeszcze dziękowała! Tkać dalej ciało Lolki od szyi w dół ku pierśsiom, przez brzuch, dalej przez biodra, poprzez uda... Patrzył, tocząc spojrzeniem. Loleczka uśmiechała się, — jak panna na wydaniu.

Panna Romecka patrzy kryształowem spojrzeniem, pomieścić się to w głowie Deptuły nie może. Lolka dodaje kryształowym głosem, że koleżanka, „ta z lubelskiego“ występuje obecnie i to w poważ-

nych rolach w teatrze na prowincji. Ma doskonałą gaźę! W teatrze dramatycznym.

Dobrze, że w tym momencie stara hrabiowska zdziera zagulgotała. Gdyby nie to, paznogie Lolki Romek wdałyby się w Deptułę. Albo pan poseł biłby już pięścią pomiędzy okrągłutkie, niebieskie oczy Lolki. Pięciami, mocno w mordę!

Hrabiowska zdziera przegulgotała swoje. O czym? O Fitku, małym rasowym piesku Fitku. Deptuła aż osłupiał: już nie hrabiowska zdziera w firanczanych koronkach, sama Lolka, (przykrywając kolana suknią, by się nie odsłaniały, patrzcie no, jaka skromna!) opowiada o piesku Fitku, że to nie takiej rasy, jakby myślał pan poseł, nie niemieckiej — angielskiej. Ona, Lolka nie zniosłaby niemieckiej, nie zniosłaby też nigdy z przymieszką belgijską. Fitek jest czysty anglik, ma najlepsze metryki, istny hrabia. Uszko, ogonek, Fitek to czysty anglik!

Lolka z perlistej torebeczki wyciąga fotografie arcypięknego Fitka, Deptuła patrzy pilnie, — nic nie widzi. Zapiekły ogień wali przez cały komin, wszystkie spojenia trzeszczą. Deptuła widzi siebie, siebie samego w lustrze na schodach PATRII, jak to wtedy uciekał... Widzi się w tamtem lustrze, jak zapada się w komin, leci w samego siebie, grąży się w samym sobie, gubi się, tonie, już tonie w samym sobie.

Deptuła zwiśł nad odstawionym tortem, patrzy na Lolkę, patrzy na jej pantofle, patrzy na różę tortową z lukru, otoczoną kandyzowanym tatarakiem. Woń tataraku, pomieszanego z lukrem przepaja płuca Deptuły zapachem nowym, — wonią perfu-

mowanej okropności. Rzecz niemożliwa i zestawienie zupełnie nieistotne. Deptuła jednak czuje, iż owa niemożliwość spełnia się w nim obecnie. Słyszy przytem, że panie rozprawiają o Fitku, który pozostał sam w mieszkaniu, Fiteczek nasz kochany!

Ukazuje się Strzęgorz. Całuje w rękę damy, Deptuła wie już tylko jedno: że jest dzisiaj za lekki. Uczucie tajemnicze, które trzeba pokonać. Za wielka to pokusa nie ważyć nic, nie znaczyć nic, być pustką tak rozległą...

Odchodzą we dwóch od stołu Lolki Romek. Strzęgorz poradził paniom, by wracały do domu. Lolka mówi do swej hrabiowskiej zdiery, — ciciu. Deptuła wraca z Strzęgorzem do stołu polityków, mają pojechać jeszcze do biblioteki hrabiego Lachowskiego. Lachowski nie da się zakasować Rosławskiemu, wydaje poprawiny u siebie. Oczywiście skromniejsze, niż bankiet w PATRII, jeżeli jednak przyjąć, że lachowicki zjazd kosztował „parę złotych“, to poprawiny nie muszą być zbyt szumne.

Podczas powrotnej drogi z głównej sali do gabinetu Zielonego, gdzie siedzą wszyscy z Bigdą, próbuje sobie przypomnieć pan Deptuła wszystkich amantów Lolki, o których wiedział sam. Niepodobna nic mówić, — zasada dżentelmena, — o amantach, o których się nic nie wie. Trzymają się we dwóch z plenipotentem pod rękę, tak drugorzędnie pierwszorzędni, tak pierwszorzędnie drugorzędni... Uwięzli podczas drogi między pustymi stolikami, niema tu wcale służby, sala pusta, bo to nie jest ta sala. Inna! Na ścianach wielkie guziki kryształowe ciemno-brązowe, które przypominają Dep-

tule blask bigdowego wzroku. Jakby to Bigda patrzył ze ściany! Ile ich jest? Jest tych krążków szesnaście.

Szesnastu źrenicami patrzy Bigda ze ściany, — trudno i darmo, trzeba powiedzieć prawdę! Zabiera się Deptuła do mówienia tej prawdy. Mówi starosłowiańskim basem, raz po raz całując się z Strzęgorzem. Mówi tak: — Teraz cię zrujnujemy po cichutku, ale nie martw się nic. Nie my, to Lolka Romek zrujnuje cię doszczętnie. Lepiej więc, że to my. Bo twoja Lolka, widzisz ze studentami spała, no i z Kapuścikiem. Siebie tu nie wyliczam. Także z oficerami. Z rynsztoku ją podniosłem. I z paskarzami spała. Tak, kochany, z rynsztoku. Podniosłem, nakarmiłem, ogrzałem. Teraz ty ją zabierasz... — Deptuła „patrzy“ olbrzymiem czołem.

Mało mu czoła! Pragnie patrzeć oczami. Unosi więc powieki, które ważą za wiele. Cały Deptuła ze wszystkim, co tu wypił, ze wszystkim, co tu zjadł, nie waży prawie nic. Ważą tylko powieki, grube, ciężkie, kamienne. Od czegoż jest jednakże w człowieku silna wola? Deptuła wznosi powieki, winduje aż ku brwiom i patrzy źrenicami żywemi, zielonemi w czarno-bronzowe prążki. Temi to źrenicami patrzy się na Strzęgorza.

A Strzęgorz zbladł. A Strzęgorz zbladł, nieboże! Trzeba mu znów powtórzyć, jeszcze raz i raz jeszcze z iloma spała, ile jej płacili, ile płacił Deptuła. A Strzęgorz zbladł. A Strzęgorz zbladł, nieboże!... Jeszcze raz mu powtórzyć, wdeptać Loleczkę w błoto, wdeptać mocno, zdeptać.

Deptuła depce, zdeptuje Loleczkę, poczem co-

prędzej wynagradza Strzęgorza braterskim pocałunkiem. I powiada z westchnieniem: — Obaj kochamy, my obaj ją kochamy. — Deptuła teraz dopiero ma nadzieję poczuć się w swojej wadze. Poczucie bezpieczeństwa zupełne! Zwraca się do Strzęgorza całą twarzą, z najtkliwszym pocałunkiem. Obejmują się, śmieszni potwornie jeden dla drugiego. Poczucie bezpieczeństwa rozwija się w zupełnej pustce...

Jak było i co, kiedy, w jakim porządku, po pocałunku ze Strzęgorzem, — Deptuła nie pamiętał. Pamiętał, że gdy w całym towarzystwie bankietu stanęli na podjeździe hotelu PATRIA, nad asfaltem ulicy leciał wśród podjeżdżających samochodów krzyk częstotliwy: Bigda, — Mateusz Bigda, — poseł Mateusz Bigda, — dodatek nadzwyczajny, formuje nową większość, — poseł Mateusz Bigda!!!

Należało przypuszczać, że to roznosiciele gazet biegają po ulicach z numerami dodatków nadzwyczajnych. Tak było przecież zawsze po wszystkich przesileniach, rozgrywkach i t. d. Dziś jednak poseł Deptuła nie mógł dostrzec chłopców, choć słyszał ustawicznie wołania:

— Zwycięstwo posła Bigdy, Bigda, — Bigda formuje rząd. — Zwycięstwo posła Bigdy. — Całe powietrze miasta, wszystkie ulice, zaułki, restauracje wołały już zapewne, — Bigda, Bigda, — zwycięstwo posła Bigdy.

— Zlituj się, Mateuszu, — szumiało w Deptule, gdy jechali do biblioteki Lachowskich, — drogi, kochany bracie, chłopie śmierdzący, nieoskrobany chamie. — Deptuła dobrze pamiętał, że tak wołało

w nim gdy jechał, gdy trzasnął drzwiczkami samochodu, oraz gdy kroczył uroczyście przez amfiladę sal bibliotecznych. — Zlituj się Mateuszu! — oto jedyne słowa.

Oprócz tych słów pamiętał poseł Deptuła wszystko inne, chociaż nie chciał pamiętać i wszystkim innym zasadniczo w danej chwili pogardzał. Potrafiłby wyliczyć wszystkich obecnych do ostatniego. Potrafiłby narysować z pamięci krój liberji fagasów. Pamiętał, gdzie, jak, przy którym stole lśnił plenipotent Strzęgorz. Pamiętał nawet napisy tomów niektórych, poprawianych w skórę. Pamiętał, co tu pili, jakie koniaki, że dano kawę po francusku, to znaczy z filtru, gdy on Deptuła wołałby po turecku, by była lepka, słodka, możliwie jaknajśłodsza. Pamiętał wszystko, ale nie o tem myślał. Myślał o jednym: — Zmiłuj się, Mateuszu! Zmiłuj się, Mateuszu!...

W wołaniu tem wewnętrznem nastąpiła nagle przerwa, która omal nie zwiodła Deputły z samotnej drogi. Stało się to, gdy pan Lachowski zaczął tłumaczyć Bigdzie, gdzie tu trzeba pozmieniać i co przebudować.

— Gdyż solucje są dwie, — powiadał pan Lachowski. — Dwie mogą być solucje.

Wyrażenie „solucje” poderwało Deptułę, znów odbierając właściwość ciężaru, równowagi i masy. Poczucie bezpieczeństwa w nieogarnionej pustce... Zmiłuj się Mateuszu!!!

Deptuła krążył wśród sal bibliotecznych. Pił jeszcze, uśmiechał się szeroko, stąpił jednak po dywanach ostrożnie, by nie podfrunąć... Trzymał przy



sobie Kosa, unikał skrzętnie Gruszki. Do Kosa mówił starosłowiańskim basem o domu gry. Gdy oto nagle przerwa w rozlicznem pamiętaniu! Jeden tylko fakt pewny: przyszły pan premier Bigda rozpoczyna zwiedzanie biblioteki. Oprawdzał go Strzęgorz.

Był to straszliwy widok dla Deptuły: Bigda wśród takich książek, Bigda wśród starych wieków i wiekopomnych druków. Prezes Mateusz Bigda stąpa miękkim chodnikiem, pan plenipotent Strzęgorz to z tej to z tamtej strony przedkłada grube tomy, tuż za Bigdą suną Rosławski i ordynat Lachowski, dalej Gruszka, Kos, Ciarach, dalej przeróżne bańdziochy przemysłowe.

Bigda pierwszy: wielki, drewniany w ciężkiej owisłej bluzie idzie naprzód i idzie. Książki się wciąż od niego odbijają, na żadną nie popatrzy. Deptuła czai się, zdumiony, przerażony: można zwalić na Bigdę książki tej biblioteki i wszystkie tomy kraju i wszystkie dzieła świata. Będą się odbijały tak samo. Zamrą mu pod dotknięciem, rozplyną się, rozwieją.

Strzęgorz łśni z obu stron, po prawej, to po lewej. Lachowski i Rosławski mienia się dostojnością tuż za plecami Bigdy. On zaś niezatrzymany niczem, nietknięty, niecofnięty idzie spokojnie naprzód, wśród ksiąg, cenneści, zbiorów, starych zbroi, szyszaków, strzał i mieczów. Nie idzie — k r o c z y. Stawia nogi odmiennie, niż zawsze dotąd było. Zgóry je stawia, mocno następuje... Rzekłbyś po żywych ciałach, czy głowach ludzkich depcze. Figura Mateusza nie raczy nawet wiedzieć, że miażdży sobą wszystko.

Zmiłuj się, Mateuszu, barmocze wciąż Deptuła,— boś to już jest nie ty! Deptuła mówi sobie takie żałosne słowa. Pustem, ogromnem cielskiem przemija pośród książek, trzy razy, cztery razy, odczytując tytuły z przed dwustu, trzystu lat, trzystu, albo czterystu, czterystu lub pięciuset.

Bigda już wszystko zwiedził i powiada na progu: — To dobre jest. — I czeka. Spoziera, jak się przed nim goście rozstępują, chociaż wszyscy pijani. Rozstąpili się. Jeszcze kamerdynerzy stoją blisko, przy obu skrzydłach drzwi. Na tych kamerdynerów kieruje wzrok Deptuła. Goście chociaż pijani, wstydzą się czegoś bardzo. Bigda nic się nie wstydzi. Powtarza znowu: — To dobre jest. I wychodzi z kupy zauszników, magnatów i bańdziochów, obiboków, dygnitarzy i profesorów, sam jeden w sobie samym, jedyny i samotny...

Odjeżdżają. Prowadzi Gruszka, gdyż odjeżdżają sami. Sami chłopci. Już późno, prawie dzień: godzina trzecia. Pod biblioteką czekają samochody. Czyje są niewiadomo, władza nie potrzebuje myśleć o tem. Huk drzwiczek jednych, drugich tętni w Deptule i nie może się skończyć.

Powrót do baru „Klasa”. Bar zamknięty. Na ulicy, asfalcie i przed wrotami „Klasy” tułają się dododatki nadzwyczajne z krótkim nazwiskiem Bigdy.

— Pięć liter, cóż, pięć liter, a to są przecież dzieje. B-i-g-d-a, lex Bigda. — Deptuła pokazuje Kosowi, Ciarachowi, ile tu tego Bigdy wala się po ulicy. Daleko, aż po jezdni, gdzie trwają wytężone znaki elektrycznego czerwonego napisu: KLASA. Drobne czarne literki Bigdy drukowane w dodatkach nad-

zwyczajnych płaczą się wśród czerwonych pręgów reklamy „Klasa”.

— „Klasa” ma też pięć liter. Tam pięć, tu pięć, czyli, że pięć na pięć, — mówi nagle Deptuła i drży. Postawił kołnierz.

KLASA jest już zamknięta, w bufecie jednak można wszystkiego dostać. Nakupił tego Gruszka z Ciarachem, ostrych zakąsek, wódek, piwa. Poszli z tem dobrem na szóste piętro. Deptuła bez trzymania, aby sobie zaświadczyć, jak się czuje? Jeszcze lżej, ciągle lżej, aż w piersiach obco, pusto od ogromnej lekkości.

Ranek już się przesila. Na torach manewrują czarne lokomotywy. Drzwi od balkonu bocianiego gniazda są szeroko otwarte, nad gzymsem buja makata perkalowa, zadrukowana perskim deseniem. Podnosi się, opada, rzekłbyś skrzydło zemdlone, które zamiera w ruchu.

Bigda milczy za stołem. Siedzi, oddycha, czeka. Teraz sobie przypomniał: Zośka nie przyjechała i nic nie daje znać. Wagony ropy kazał Mateusz nabyć Stanisławowi, ma się rozumieć, nabyć. Nie o to tutaj chodzi. Czemu nie przyjechała Zośka?! Dostała chyba drugi telegram. Nie przyjechała... Będzie to wadzić w myślach Mateusza, które mają być wolne. Tyle nowego czeka, tyle ludzi, tyle nowego mienia. Myśli muszą być wolne. Dla ludzi i dla mienia trzeba wytworzyć miarę czasu i rzeczy, sposobu i przeszłości. Nie jest to dawna miara czasu, lecz nowa, miara władzy: że ja nad tobą zawsze dla twojego pożytku siedzę na twoim karku. To jest władza.

Zośka nie przyjechała i wadzi w myślach. Ma-

teusz postanowił pogadać o tem z żoną, gdy sami pozostaną. Jeszcze nie pora: teraz, choćby przelotnie, dla przetarcia gęby można zaczynać różne myśli, nie kończyć. Gromadzi się spiżarnia nowa, większa od dawnej. Gruszka, Ciarach i Kortys i Kos i Strzęgorz pchają się już na haki. Krają się, solą sami, sami się już ćwiartują, byleby jaknajprędzej. Ilu się pcha przeróżnych innych. Tylko wytrzymać: nie dać się zmanić. Pamiętać tamto pierwsze, co się myślało w sejmie. Ci, których wierność dla stanowiska Bigdy nie kosztowała wcale i ci, którzy tę wierność przypłacili obficie: rzucić jednych na drugich, — jedni i drudzy kosztować nic nie będą. Haki w danym wypadku trzeba wynaleźć grubsze, miejsca o wiele wyższe.

Gruszka z Ciarachem, — Deptuła widzi te siuchy domorosłe, proszą Bigdzinę, by ukazała się, by wyszła ze sypialki do gości. Bigda nie mówi nic, depeszy nie otrzymał, pogada z żoną później, teraz dokazał, że już nie słyszy, co ci tu powiadają, wystarczy patrzeć: służyć.

Wchodzi wreszcie Bigdzina, spłoszona, drżąca, blada zawsze przy mężu. Mają pomiędzy sobą porachunki i sprawy, kto może mieć podobne?!

Bigdzina wchodzi i zaraz się przemyka do Gruszki. Woli starego Gruszkę, Ciarach chociaż się starał w ostatnich dniach, nie przekonał Ludwiki. Utrudził ją, umęczył. Choć w samochodzie woził do Wilanowa, Łazienki pokazywał, po Zamku oprowadzał, na kawę prosił, na pierwszym miejscu sadzał, niczego jednak tak bardzo nie uzyskał. Gruszka zaś co innego. Bynajmniej nie z przyczyny, że to ich kum

dawniejszy, synów do chrztu im trzymał. Ale człowiek poczciwy, bardzo wyrozumiały.

Gruszce zwierzyła się Bigdzina, jak rzeczy stoją z Zośką. Że mają się niedobrze. Nic tu nikt nie poradzi, chociażby sam Mateusz, bo Zośka, kropla w kroplę uparta, jak Mateusz. Gdy coś postanowiła, rozstąpi się ziemia, nikt nie zdoła odrobić.

Ludwika wymawiała imię małżonka swego, jak go nikt nie wymawiał. Wszyscy mówią „Mateusz“ ona zaś zakończeniem imienia, czyli spółgłoską „usz“ szastnie, że człowiek się ogląda, — skądże to, na co, po co?! Z jakiej dziwnej przyczyny?! Córka nie chce do miasta, pragnie pozostać na wsi, ma tam upatrzonego swego i komu co do tego, chociażby nawet ojcu?!

Gruszka bał się tych zwierzeń, nie chciał nic o tem wiedzieć i z niczem się nie zdradzał, co o tem wszystkiem myśli. Niczego też nie radził. Dobrze było, że wiedział. Uważał, że to dobrze, bo jak się wie „na kogoś“, jak stoją jego sprawy, to się już ma na niego kapitał, co nigdy nie zaszkodzi. Byle, jak zawsze, postępować ostrożnie.

Mimo, że też pijany i to jak, całkiem prawie, — postępował ostrożnie stary wytrawny Gruszka. Zagrywał pijanego, więc nie musiał przyświadczać Ludwice. Przepili z nią raz drugi, nazwali ministrową, lub nawet premierową, czego nie rozumiała, jak trzeba. Chcieli następnie gadać o swoich sprawach politycznych i personalnych, gabinetowych, tyle było tych spraw, że Kos płakał.

Ludwika nie dała im rozmawiać o tych sprawach, przerywając w pół słowa. Miała swoje do po-

wiedzenia. Co? O czym?! Jak to kobieta, o niczem bardzo ważnem. Uprze się, niema rady. Zaczęła bez powodu, skończyła bez przyczyny. Posłowie spozierali na Bigdę, co o tem myśli?

Ludwika im przerwała w te słowa: że tu wołali od samego wieczora, gdy spać się ułożyła, takim wołaniem obudzili ją ze snu, — Bigda, Bigda i Bigda. Zwycięstwo posła Bigdy! Bigda, Bigda i Bigda! — Powtarzała udatnie, jak wołają z dodatkiem nadzwyczajnym. Udatnie choć nie głośno, głos się jej rwał raz po raz.

Kos, Gruszka, Kortys patrzyli, co Mateusz? Podniósł głowę, jakgdyby go wzywano, a on tu nadśluchiwał, zadziwiony wołaniem. Machali ręką na te wołania kobiety, ściszała ją, jak mogli i pytali prezesa swego, co zamierza? Chcieliby może wiedzieć, jak sobie, co ułożył, choćby skład gabinetu, jeżeli można już o tem mówić zawczasu.

Pili na ten rachunek już naprzód, na rachunek przyszłego gabinetu, makata balkonowa powiewała zadrukowanym fałdem. Bigda nie mówi nic i nic już dziś nie powie. Pewno cieszy się bardzo, gdyż jak się Bigda cieszy, by tego nie pokazać, gnębi zawsze swą radość. Wiedzieli to już o nim. Będzie siedział strapiony, to znaczy, że się cieszy.

Nic się już nie dowiedzą. Lepiej wracać do domu. Ładziło się niesporo wyjście, bo im Mateusz nic nie powiedział, a Bigdzina szemrała po kątach, to z tym to z owym, najwięcej właśnie z Gruszką. Głupio to wyglądało i sama sprawa głupia i co komu do tego, ale babina przypiera wciąż do muru to Gruszkę, to znów Kosa, czy Ciaracha i zwierza

się: aby mu powiedzieli, Mateuszowi, że Zośka nie przyjedzie i telegramy na nic się nie przydadzą. Zośka ma na wsi swego narzeczonego.

Gdy to Ludwika mówi, wydłuża szczurzą twarz, chudziutką i żalowaną, z oczu ciemność wysnuwa i drży i drży, jakgdyby urzeczona. Niktby się nie spodziewał, co ma z tego wyniknąć. Rzecz była prosta: pożegnali się wreszcie, któżby na siebie brał rodzinne sprawy Bigdów? Nie chciał tego ani Kos, ani Ciarach, ani Gruszka. Woleli iść do domu. Bigda zatrzymał Deptułę, który się też nie śpieszył. Chociaż widzieli wszyscy dzisiejszego wieczora, że Bigda Władka odstawił, trudno aby Deptuła „sam z siebie” miał pokazać, iż został odstawiony.

Gdy tamci szli, Władek się ani ruszył, niby że ma tu prawo pozostawać, jako wtajemniczony więcej, Władek, — wtajemniczony!... Wkońcu jednakże on ich do przedpokoju wyprowadził. Bigda się nie poruszył. Bigdzina pierwsza wyszła za gośćmi do przedpokoju. Gdzie tu pokój, a gdzie przedpokój, skoro drzwi niema nigdzie? Gdy otwarli wejściowe na schody, zaraz przeciąg się zrobił, makaty się wydeły, deseniami wionęły, rzekłybyś, że sfrunąć miały za tymi, co odchodzą. Ci zaś, gdy się znaleźli w szleszczącym powiewie, a Bigda nic nie mówi i trwa za stołem, szczękami przerabiając, — jakby zmówieni byli przeciw Mateuszowi. Tak wypadło, wydawać się tak mogło...

Ludwika ich wstrzymuje, boi się bardzo męża, a chce załatwić zaraz do reszty z córką. Woli z pomocą posłów. Ze swoimi kumami. Kumowie zaś nie głupi: któżby to brał na siebie rodzinne sprawy

zwłaszcza, gdy wszyscy wiedzą, jak się Mateusz odnosi do jedynaczki, Zośki.

Tak źle i tak niedobrze, o niczem nie chcą słuchać, a Ludwika im szepce, prosi nawet ze łzami. Z nogi na nogę przestępuje ze strachu. Śmieszna babcina: małe to, kuce, szare, spłonione, zaplątane w gadanie, w cichy poszum makat porozwieszanych, w przebieg mowy i w postów, w Mateusza, we wszystko, ludzie, ludzie!

— Ludzie, ludzie, — szemrze do nich Bigdzina.—  
Ludzie, ludzie...

Gruszka miał jej twarz zatkać dłonią, rękę nawet wyciągał, aby to już uczynić, a tu się już wyłania z pod makaty sam Bigda!

Ludwika, jak nie krzyknie, posłowie nie czekają, śmieją się i rechocą, odchodzą. Słyszą nawet, że się wałą ze schodów, gdyż pijane to wszystko! Bigda powraca za stół, innym, już nowym krokiem, od czego znów w Deptule rozstępuje się pustka. Krok Mateusza spada z wysoka, jakby po żywym stąpał. Ludwika i Deptuła czekają w przedpokoju niedługo, kilka sekund. Czegóż tu wyglądają?

Ludwika znów o Zośce. Deptuła nie chce słuchać, wolałby wrócić do jadalni, nie przedłużać tej chwili. Patrzy się na Bigdzinę, aż mu ręce spotniały z rozpaczy i z bezradności. Ludwika opowiada znowu, że teraz musi wyjawić Mateuszowi wszystko!

Powrócili do stołu, makaty się wzdymają, lokomotywy huczą po torach gdzieś daleko, słyszą odgłos straszliwy żelaziwa, ze stacyjnych warsztatów. Kują tam, czy spajają, niewiadomo, co robią, ale raz po raz taki się brzęk podnosi rozgłośny i ponury.



— No, teraz wypijemy, — powiada nagle Bigda i nalewa kieliszki.

Piją, nie mówią nic, Deptuła patrzy nie czołem, źrenicami. Widzi jeszcze dokładnie, ma jednak zatrudnienie z patrzeniem swoim teraz. Widzi całym dokładnie, jednakże czuje przy tem, że mu się już źrenice rozpryskują na boki. Dostrzegają podwójnie wszystko, w dwóch konturach, lub w trzech. Naprzykład głowa Bigdy obraca się na szyi Bigdy, ale zarazem chwieje się na makacie?!... Moznaby to wytrzymać, gdyby nic nie mówili. Bigda jednak powiada:

— No i jakże to będzie? Namysliłeś się chociaż, belfrze pana premiera?

Deptuła powstał. Powiedzenie „belfrze pana premiera“ nie znaczy nic. Nie szkodzi nic. Ale, jak opanować lekkość, lekkość wewnętrzną, która się staje niebywałą pokusą...

Bigda powiada znowu: — Jak poczujesz niewolę, zaraz się uspokoisz.

Od jutra już — niewola, a tu tymczasem mógłby Deptuła wznieść się pod niebo ze wszystkiem, co dziś pożarł, co wypił i wypalił, ba, nawet z Lolką Romek, zachowaną w kaloszu, w starym, brudnym kaloszu, jakim jest serce człowieka, który kocha.

— No i jakże to będzie? — zapytuje znów Bigda.

Odpowiada Bigdzina. Oni mężczyźni swoje, a ona znowu swoje.

— Wołali Bigda, Bigda, — rzecze cicho Ludwika, — wołali Bigda, Bigda. Uciekłam. Niech wołają. Ale przejrzałam wtedy i muszę ci powiedzieć, boś

jest mąż, boś jest ojciec, bo córkę masz, masz córkę jedynaczkę —

Mateusz zerwał się na równe nogi. Twarz zawsze taka sama, brązowa i błyszcząca, jak wyslizgana deska. Oczy nawet te same, czyste, szklane i jasne. Tylko brwi poleciały wysoko aż ku włosom, razem z brózdami czoła. Zdziwienie bezgraniczne na twarzy Mateusza.

Deptuła stoi z boku, czuje się znowu obszernie w samym sobie. W swem ciele i ciężarze. Jeszcze tylko po sercu, jeszcze tylko przez piersi przewala mu się pustka, ale w głowie równa się dawny ład wiadomy, i potrzebny. Deptuła stoi z boku i daje znak Ludwice, by tego nie mówiła. Daje znak drugi, trzeci. Po cóż jednak te znaki?!

Ludwika już nie widzi, nie słyszy i nie czuje. Otworło ją, przerwało, oczy pozamykało i uszy za-  
lepiło a rękami zatrzęsło i woła z niej i woła: —  
Krzyczą Bigda, poseł Mateusz Bigda, nie ustają.  
Zwycięstwo posła Bigdy, Bigda, Bigda i Bigda, —  
krzyczą ze wszystkich stron. Ale co prawdą jest?...  
Że twoja córka —

— No! Że co moja córka?!!

Ludwika przywarła do makaty. Nie śmie powiedzieć, więc prędko chrast! kontaktem o podłogę. Światło się zagasilo, ale na polu świta. Widać wszystko dokładnie, w pierwszym brzasku wiosennym. Widać Ludwikę, plecy, ramiona i włosy odgarnięte z nad czoła, jednym ciemnym połyskiem oblepione wzdłuż głowy. Widać dobrze Ludwikę, jak poprzez drukowaną makatę balkonową hycnęła wprost na balkon.

Deptuła patrzy z boku, przepełniony lekkością dziwną, straszliwą, że śmiech w nim wzbiera nikły, kwilący, jak u dziecka. Bigda zaryczał nagle. Swym dawnym starym krokiem, bągnistym, pochylonym przechodzi stąd, od stołu, szybko w stronę balkonu. Zdziera na dół makatę. Oplątany tym ła-chem warjackim, drukowanym, stoi już na balkonie.

Deptuła idzie za nim, pełen straszliwej radości a niewiadomo z czego?! Ciągnie w Deptule wszystko od zarania do końca, prędkie, porwane, dzikie, rozkołysane nagle, po niebie rozszastane! Deptuła kroczy naprzód w dymie przedziwnym pragnień. Bo to jest dym, już dym! Dym wewnętrzny, duchowy. Przez owe smugi ducha widzi Deptuła, co się tu teraz dzieje:

Bigda stoi spokojnie, przyparł żonę do balustrady i zapytuje cicho: — Co Zośka, no, co Zośka?!...

Bigdzina się wydziera chrzęstem suchej postaci, spętaniem ciałem, błahym poruchem ręki. Plecie coś i znów płacze i znów pod górę, prędko po balustradzie żelaznej, bardzo mocnej, ale się pcha pod górę, jakby wyskoczyć chciała.

Deptuła jest przytomny, ma się rozumieć! Pił, ale jest przytomny. Gdy się kto pcha po balustradzie takiego to balkonu, to jest z szóstego piętra, niepodobna nie spojrzeć z takiego piętra w dół. Niepodobna nie spojrzeć, gdyż mierzyć trzeba wszystko. Deptuła mierzy: bardzo, bardzo wysoko z szóstego piętra na dół. Okropne, straszne rzeczy!

Deptuła chytrze miarkuje, że t a m t a lekkość była dużą pokusą. Na dole chodzą ludzie. Szary samochód przejeżdża wolno między czerwienią liter

baru KLASA. Asfalt błyszczy głęboko, jak czarna, gęsta woda. Pod balkonem widać kopułkę znaną, ze znanymi śmieciami, pudełkami, gratami, wśród których, jak od dawna spoczywa szkielet zdartego parasola. Gdyby nie ten parasol nie wierzyłby Deputała, iż dzieje się to wszystko, co się tu właśnie dzieje.

Bigda prosi Ludwikę, zaklina, znowu prosi. Ludwika wzdycha, płacze.

Deputała patrzy. W niebywalej lekkości?... unoszę w powietrze?!...

Małżeństwo już się bije, szamoce. Biją się i targają. Ludwika się wychyla. Mateusz mówi cicho: — Droga, kochano żono, ty wiesz co dla mnie znaczysz... Powiedz teraz —

Deputała się poderwał, chlusnęło w nim, bryznęło zewsząd, ze wszystkich stron. Podsunął się pod Bigdę i ręce mu odczepił nagle od balustrady. Związali się, skłębili we troje, znów obydwaj i nagle, — ciało żony, Ludwiki, żony Bigdy, wysunęło się naprzód z balustrady w powietrze.

Jedna sekunda! Łomot, szkło i malutkie uderzenie o bruk, jakby szmata upadła, czy zawiniątko. Zwarli się na balkonie obaj, zczepili, przewrócili, splątali się rękami, ramionami, nogami. Wiją się, śmieci z balkonu rozganiają, charczą, rżęzą i wyją i znów patrzą na siebie. Opadli z sił. Leżeli tu przez chwilę, potem ich znów zczepiło szaleństwo, czy pijaństwo, czy nagłe obłąkanie?! I znów patrzą na siebie przekrwionymi oczyma. Deputała szepcze pierwszy: — No, teraz jesteś wolny.

Leżą blisko, najbliżej, powieka przy powiece,  
twarz przy twarzy, bełkołą równocześnie:

— To ty!

— Ścierwo, to ty!

— To ty, draniu!

Deptuła nieprzytomny, wywala nagle z siebie  
nowe słowa, okropne: — To jest ta jedność... Ma  
połamane gnaty. To jest —

Bigda go dławii, dusi i znowu powtarzają:

— To ty!

— To ty!

— To ty!

Mateusz wstaje pierwszy. Trzęsie się całym so-  
bą. Deptuła znacznie wolniej zbiera się z swego  
miejsca.

Niebo, — pierze z sadzami. Ranek niepewny,  
mglisty. Dokoła jeszcze cisza. Drży w niej całe mie-  
szkanie. Mateusz otrzepuje kamizelkę i portki.  
Grdyka mu chodzi ostro, słychać ucisk przetyku.  
Opuścił ręce. Deptuła mu podrasta z boku, pod pa-  
chą, pod ramiona. Wychylają się obaj.

Na dole pod kopułką znanego baru KLASA wi-  
dać szarawą plamę, która przybiera, pęcznieje co-  
raz szersza. To ludzie się gromadzą wkoło trupa  
Bigdziny, sprzedawcy, nocni stróże, rozmaita ho-  
łota.

Deptuła szczęka dziurawemi zębami, wodzi do-  
koła czołem, ociera je o drżące ramię Mateusza  
i powtarza raz po raz ogromny, świeży, nowy: —  
Teraz już jesteś wolny, Mateuszu. Teraz już jesteś  
wolny!...

KONIEC.

INSTYTUT

WYDAWNICTWA

<http://rcin.org.pl>

Biblioteka

WYDAWNICTWA

WYDAWNICTWA



ANTONI SŁONIMSKI

# MOJE WALKI NAD BZDURĄ

CENA ZŁ. 10.—

Któż nie zaczytywał się w „Kronikach Tygodniowych” Słonimskiego, któż nie zachwycał się celnością jego dowcipu, głęboką a zjadliwą ironją i pierwszorzędną swadą? „Moje walki nad Bzdurą”, — to jedna z tych książek, które najskuteczniej przyczyniają się do „oczyszczenia atmosfery”: wszystkie rozwielenione w naszym życiu frazesy, wszystkie fałszy, jakie na życiu współczesnem ciążyą, cała obłuda dzisiejszego świata i cała absurdalność jego urzędzeń — jednym celnem ukłuciem sprowadzone są tutaj do swych właściwych, jakże żałosnych wymiarów i ukazane w całej swojej nędzy.

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE

„RÓJ”

ZOFJA KOSSAK-SZCZUCKA

# NIEZNANY KRAJ

CENA ZŁ. 10.—

GŁOSY PRASY.

Powieść Kossak - Szczuckiej, nagrodzona pierwszą nagrodą na Konkursie śląskim, wypełnia dotkliwą lukę w literaturze polskiej. Nikt nie był bardziej uprawniony do tego, by pokazać czytelnikowi polskiemu „nieznany kraj”, tę ziemię tak nam bliską, a tak dotychczas obcą dla wielu. Powstaje z tej pięknej książki obraz Śląska w całym swem bogactwie, w całym przepychu barw. Historja tej ziemi, dzieje jej rozwoju, nieustraszona jej walka o czystość duszy narodowej — wszystko to znalazło w Kossak-Szczuckiej nie tylko sumiennego badacza i gorliwego rzecznika, lecz przede wszystkim współczujące serce, płomień miłości, ogarniającej tę ziemię od krańca do krańca.

Książka ta, zalecona do bibliotek szkolnych i żołnierskich, znaleźć się powinna w każdym polskim domu. ar.

„Nieznany kraj” zaleca się nie tylko wysoką wartością artystyczną, lecz posiada znaczenie szerszej miary: pisany gorąco, daje pokrzepienie serc. („Czas”)

Czytajmy tę książkę — niech jej tytuł przestanie być dla współczesnego pokolenia wyrzutem gnuśności, obojętności i ignorancji! Wacław Rogowicz („Dzień Polski”)

W epoce, kiedy każda z szanujących się kobiet-pisarek za swój obowiązek uważa pisać wyłącznie i jedynie o zagadnieniach psychiki kobiecej, odkrywając co chwilę Amerykę różnych wieków i doznań niewieścich — Kossak-Szczucka wychodzi poza ten wąski — ach, jakże wąski! — zakres zainteresowań, przechodzi śmiało, nieustraszenie do problemów szerszych, ogólnych, leżących na płaszczyźnie powszechnych zainteresowań ludzi... bez różnicy płci. Jest to indywidualność pisarska odważna — właśnie dlatego, że konsekwentnie, może nawet upornie ima się tematów, leżących poza linią banalnego zainteresowania dnia. („Kurjer Polski”)

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE

„RÓJ”

<http://rcin.org.pl>



TADEUSZ DOŁĘGA-MOSTOWICZ

# OSTATNIA BRYGADA

CENA ZŁ. 9.-

— My wszyscy jesteśmy ostatnią brygadą wielkiej wojny, ostatnią brygadą niewoli—mówi autor przez usta jednego z bohaterów, charakteryzując w ten sposób dzisiejsze pokolenie „dojutraków”, żyjące pod dyktando kompromisu etycznego, pokolenie łamliwych zasad i giętkich kręgosłupów.

T. Dołęga-Mostowicz, którego żywiołowy talent wstępnym bojem zdobył pełnię uznania całej krytyki i rekordową poczytność jego „Karyery Nikodema Dyzmy”, w „Ostatniej brygadzie” daje jakgdyby drugą część syntezy epoki Dyzmów. Śmiałym i wnikliwym piórem, na tle pasjonującej fabuły, maluje soczysty obraz współczesnego życia, podanego bez obstępów i wstydlivych niedomówień.

---

## PROKURATOR ALICJA HORN

T. I i II.

CENA ZŁ. 14.-

Są to dzieje nawskroś dzisiejszej kobiety, której niewyżyta płciowość splótła się z burzliwym losem. To dzieje jej miłości do człowieka, dla którego wolność jest jedynym prawem, a życie pełne przygód jedyną namiętnością.

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE

„RÓJ”

<http://rcin.org.pl>

TAD. DOŁĘGA MOSTOWICZ

# KARJERA NIKODEMA DYZMY

CENA ZŁ. 10. –

„Karjera Nikodema Dyzmy” jest powieścią zarówno pod względem formy jak i treści nową w literaturze współczesnej.

Autor znakomity publicysta i świetny satyryk, daje w niej na tle frapującej mocnej fabuły, śmiały przekrój dzisiejszej psychiki i obyczajowości polskiej. Z całą bezkompromisowością swego tęgiego talentu odsłania i demaskuje istotne walory naszego życia publicznego i prywatnego.

Powieść T. Dołęgi Mostowicza czyta się jednym tchem tak ze względu na „sensacyjną” treść jak i na pogodną lekkość narracji, pełną raso-  
wego humoru.

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE

„RÓJ”

<http://rcin.org.pl>

WŁ. ZAMBRZYCKI

# NASZA PANI RADOSNA

CZYLI

„DZIWNE PRZYGODY PUŁKOWNIKA  
ARMJI BELGIJSKIEJ GASTONA BODINEAU”

CENA ZŁ. 7.-

Jakie refleksje nasunęłyby się człowiekowi współczesnemu, gdyby znalazł się w świecie antycznym? Oto pytanie, które stawia Wł. Zambrzycki w tej książce.

Wprowadzając czwórkę zawadźaków do starożytnej Pompei, autor odśtania nam nietylko szczegóły codziennego życia w świecie greckorzymskim, lecz pozwala wniknąć w psychikę ówczesnego społeczeństwa, pozwala obserwować narodziny kultów, zwłaszcza chrześcijaństwa. Ten ostatni moment jest wprost rewelacyjny. Książka jest napisana lekko, barwnie, tryska swoistym humorem i promieniuje szczególnie atmosferą wdzięku.

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE

„RÓJ”

# ANTONI SŁONIMSKI

## MOJA PODRÓŻ DO ROSJI

CENA ZŁ. 5.-

Cała książka Słonimskiego, począwszy od czerwonej bramy wjazdowej, zdobnej w napis powitalny dla proletarjuszy wszystkich krajów, aż do grozą przejmującego pisku zdziczałego dziecka, ukrywającego się pod wagonami na stacji Niegoriołoje, jest takim „patrzeniem w oczy” tamtemu światu. Bez żadnych cyfr, statystyk i wyliczeń. Czujemy nastrój zatłoczonych ulic „złotogłowej” niegdyś Moskwy, urok wiecznie młodego teatru rosyjskiego i swobodę proletariatu, przechadzającego się po lustrzanych i złoconych poczekalniach, czujemy też zaduch komunalnej „kwartiry”, ohydę nieustannej kontroli G. P. U., ucisk militarysty i rozpanoszonej biurokracji, a obok tego uzdrowienie stosunków seksualnych przy łatwym i prostym zawieraniu i rozwiązywaniu małżeństw, nastroje wśród pisarzy, polot szturmowych oddziałów... i czar wspomnień przedziwnych białych nocy Piotrowego Grodu.

Słonimski przez kontrast bynajmniej nie idealizuje ustroju kapitalistycznego. — „Cały świat jest dzisiaj chory, powiada, ale wydaje mi się, że nasz kryzys i nasze dolegliwości można porównać do cierpienia na własnych betach ze szklanką herbaty na nocnym stoliku i starym romanssem pod poduszką... Tu w Rosji chory leży na stole operacyjnym. Podlega zabiegom chirurgicznym bez znieczulenia...”

Autor „Wieży Babel” wrócił smutniejszy do Warszawy, niż wyjechał. Nie znalazł w Rosji rozwiązania zagadki: Tak czy nie? — Całą treścią człowieka, pozbawionego chleba i pracy w Europie, rozmyśla, jest wiara w rewolucję; tej prawdzie nie można przeciwstawić słów zimnego rozumowania... ale namawiać do przewrotu ciemny proletariąt wsi i wynędzniałych robotników? W imię czego? W imię tej nędzy i niewoli, które tam panują po 15 latach najstraszniejszych ofiar? W imię obietnic piatiletki?

Po przeczytaniu pięknej i pełnej umiaru książki Słonimskiego, chciałoby się rzucić wodzom nowej rosyjskiej rzeczywistości Konradowe pytanie: Czy też na milion ludzi, krzyczących ratunku, Nie patrzysz, jak w zawile zrównanie rachunku?

*Marja Czapska („Kob. Współcz.”)*

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE

RÓJ”  
<http://rcin.org.pl>







F  
89